



Fisher Carrie
Pocztówki znad krawędzi



Dla matki i brata



PROLOG

Bracie Thomasie,

Chyba jestem człowiekiem, który ciągle musi z czymś walczyć. Nawet wtedy, gdy sytuacja wcale tego nie wymaga. Wiesz o tym, prawda? Cóż, w końcu znalazłam takie miejsce, gdzie moja potrzeba nieustannego zmagania się ze światem wygląda na coś zupełnie naturalnego. To słoneczny Bliski Wschód. W Izraelu, Egipcie czy Turcji ustawiczne wyszukiwanie problemów lub rozmyślanie o kłopotach nie wydaje się ani przesadne, ani zaskakujące. Wczoraj zatrzymałam się na dworcu kolejowym, który niedawno wyleciał w powietrze podczas zamachu bombowego. Spojrzałam na osmalone, poskręcane kawałki metalu i pomyślałam sobie: Nareszcie otoczenie pasuje do mojego wnętrza. Może powinnam objechać wszystkie niespokojne miejsca na świecie, aby móc się naprawdę rozluźnić? Do zobaczenia wkrótce.

Całuję,
siostra Suzanne

Droga Lucy,

W porządku, powiem ci, co w tej chwili sędzę na temat swojego życia. Jesteś gotowa? Otóż czuję się tak, jakbym znalazła się za burtą. Tej jesieni kończę trzydzieści lat. Docieram do mety dla

dwudziestolatków. Powinnam więc chyba ustalić sobie jakiś ogólny plan na przyszłość. Chciałabym mieć chociaż zielone pojęcie o tym, czym właściwie jest moje życie.

Oto, co jak dotąd, przyszło mi do głowy:

a) wrócę do wizyt u psychoterapeuty, może tym razem u terapeuty kobiety,

b) przestanę malować włosy i ufarbuję je z powrotem na swój naturalny kolor - w ten sposób sztucznie stanę się znów naturalna,

c) będę się umawiać wyłącznie z ludźmi, których lubię, co powinno nadać tym spotkaniom jakiś sens,

d) dobioreę sobie dietę i będę się jej trzymać,

e) spróbuję raz na zawsze wyrwać się z objęć środków chemicznych i odtąd nie szukać już pociechy w ich kojącym uścisku - Nigdy Więcej Narkotyków.

Będę też codziennie wcześniej wstawać, więcej czytać, pisać pamiętnik, mniej gadać przez telefon i mniej kupować, a także chcę mieć dziecko.

Oczywiście to dopiero pierwszy szkic mojego planu. Będę go poprawiać i informować cię o postępach. Jestem gotowa do działania jak podróżnik siedzący na walizkach przed wielką wyprawą.

A zatem, ruszam w drogę, moja droga.

Twoja malutka przyjaciółka S.

Kochana Babciu,

Oto jeszcze jedna propozycja do twojej kolekcji moich wierszy.

Och, jak świetnie.

To zrobiłam.

Zamieszania narobiłam.

I jak głupiec czuję się.

I natrętnie dręczy mnie.

Co założę, gdy dotrzemy.

Do tej dobrej części mnie?

Moje serce jest na miejscu.

Bo schowałam sama je.

Działam teraz po swojemu.

Nierealne trochę to.
Mnóstwo pracy, choć w efekcie.
Nic wielkiego, ot i co.
Moje serce jest na miejscu.
Tyka sobie wewnątrz mnie.
Choć jak inni taka sama.
Czuję mocniej, bardziej chcę.
Przypominam sama sobie.
Kogoś, kogo nie spotkałam.
Kogoś, kogo spotkać chciałam.
I kogo zapomnieć nie mogę.
Jeszcze nie zwariowałam.
Choć drogi przebyłam połowę.
Poznasz to po moich włosach.
Bo roztopione dymią na głowie.
Więc chodź za mną wewnętrzną drogą.
Widoki wzdłuż niej pokażę Ci liczne.
Ja, ten błysk krótki i zapal słomiany.
Dobrego dnia Ci życzę.
Ucałuj od mnie dziadka, jeśli wciąż mnie pamięta.
Jestem teraz na urlopie.
To taki rodzaj urlopu, po którym mogę potrzebować
następnego.
Zadzwoń, gdy będę już w domu.
Twoja zawsze kochająca Suzanne

POCZTÓWKI ZNAD KRAWĘDZI

SUZANNE

Dzień pierwszy

Być może nie powinnam była dawać swojego numeru telefonu temu facetowi, który robił mi płukanie żołądka. Może nie. Co to za różnica? Tak czy inaczej, moje życie się skończyło. A poza tym, co miałam wtedy zrobić? Byłam dwanaście godzin po przedawkowaniu, leżałam w łóżku, kiedy on wszedł do mojego pokoju i podarował mi to idiotyczne wypchane zwierzątko, którego kształt kojarzył mi się wyłącznie z kciukiem. Czulałam, że nie wyglądam szczególnie pociągająco. Poprzedniej nocy w izbie przyjęć pogotowia ratunkowego zwymiotowałam na niego wszystkie zjedzone na kolację małże, a także całą zażytą wtedy dawkę percodanu*. Sądziłam, że w tej sytuacji po prostu nie mogę nie podać mu tego numeru. Byłoby to z mojej strony wprost niegrzecznie. Zresztą, najprawdopodobniej i tak nie zadzwoni. Nikt już nigdy więcej do mnie nie zadzwoni.

Dzień drugi

Nie spałam całą noc. Krążyłam niespokojnie po korytarzach tam i z powrotem, pogrążona w przerażających myślach. Dzwoniło

mi od nich w głowie. Po szóstym nawrocie znalazłam się w tym miejscu, skąd rozpoczęłam nocną wędrówkę, pomachałam ręką do pielęgniarki pełniącej nocny dyżur. Bezsilnie opuściłam głowę.

Rano na oddział weszła jedna z terapeutek, aby dołączyć mnie do swojej grupy. Zapytała, jak długo jestem uzależniona od narkotyku. Odpowiedziałam, że chyba wcale nie jestem

* Percodan - oksykodon, lek przeciwbólowy z grupy syntetycznych opiatów, zażywany przez narkomanów jako środek halucynogeny.

uzależniona, gdyż nie brałam wyłącznie jednego konkretnego narkotyku. „W takim razie jesteś uzależniona od narkotyków” - odrzekła. Zapytała też, czy zażywając tak dużą dawkę, próbowałam się zabić. Obraziło mnie to pytanie. Tak, zgadzam się, że przedawkowanie zawsze wskazuje na to, iż z twoim życiem coś jest nie w porządku, ale ja nie planowałam przedawkowania. Nie jestem typem samobójcy. Moje zachowanie być może na to wskazuje, ale osobowość z pewnością nie. Jutro wychodzę z oddziału detoksykacyjnego i zaczynam terapię grupową. Nienawidzę własnego życia.

Dzień trzeci

Wszyscy terapeuci sprawiają wrażenie byłych narkomanów. Otacza ich jakaś szczególna aura wyższego wtajemniczenia. Narkomani bez narkotyków w roli specjalistów od nie brania narkotyków. Podczas lunchu rozmawiałam z Irenej, która tkwi tu już od dwu tygodni. Powiedziała mi, że na początku jedyną formą aktywności pacjentów tej kliniki jest brak aktywności. Po prostu nie narkotyzujesz się. Nic więcej. Właśnie to wszyscy tutaj robią - nie biorą żadnych narkotyków.

Kobieta, która wprowadziła mnie do grupy, Julie, będzie miała ze mną także seanse indywidualne. Właściwie nie wiem, czy ją lubię, czy nie, ale chciałabym ją polubić. Po prostu muszę ją polubić, ponieważ powinnam wzorować się na kimś takim jak ona, kto w przeszłości brał narkotyki, lecz potrafił z tym zerwać.

Trzy osoby z naszej grupy, to znaczy Carl, Sam i Irenej zaliczyli już pobyt w więzieniu. Jest z nami także Sid, wydawca jakiegoś czasopisma, oraz Carol, żona agenta pewnego przedsiębiorstwa. I jeszcze kilkanaście innych osób, których imion na razie nie pamiętam. Większość z nich trafiła tutaj z powodu zwykłej kokainy lub kraka*, ale mamy tu również całkiem pokaźną grupę amatorów wszelkiego rodzaju opiatów.

Kokainiści niemal bez przerwy śpią, ponieważ zanim się tutaj znaleźli, nie spali tygodniami. My, zwolennicy opiatów, przedtem spaliśmy aż nadto, więc teraz, na głódzie narkotycznym, błakamy się nocami po korytarzach, wstrząsani przez kurczowe drgawki. Myślę, że powinniśmy zorganizować się w drużyny i rozgrywać mecze. Zwolennicy Opiatów kontra Amfetaminiści. Ci pierwsi machaliby chorągiewkami i zapisywali punkty, a ci drudzy biegaliby po boisku, okrążając z wrzaskiem wszystkie cztery bazy. Byłaby to gra bez reguł, ale za to angażująca wielką liczbę zawodników.

Jutro po południu, po filmie wideo o kokainie, wszyscy, którzy nie są na detoksie, idą z pielęgniarką do parku na niedzielny spacer.

Dzień czwarty

Na dworze było przyjemnie. Poza kliniką zapominasz, że przebywasz za karę w zamknięciu. Stajesz się znowu porządnym obywatelem. W klinice odwykowej dla narkomanów masz wrażenie, że jesteś poza nawiasem społeczeństwa. Zdaje się, że jestem jedyną osobą, której robiono płukanie żołądka. Ciekawe wyróżnienie, co?

W parku siedziałam na jednym kocu z Carlem. Carl to pięćdziesięcio-pięcioletni Murzyn, który pracował jako strażnik gruntów. Rzekomo nie jest już uzależniony od kraka. Wygląda jak zasuszony komar. Zapytałam go, jak to możliwe, że stać go było na pobyt tutaj. Odparł, że zlikwidował polisę ubezpieczeniową żony na wypadek utraty zdrowia. Carl gadał bez przerwy, aż mi się żyć odechciewało. Niemal wyłącznie o narkotykach. Opowiadał, jak samemu zrobić krak, podgrzewając zwykłą kokainę w specjalnym roztworze. Zachwycał się smakiem fajki z domieszką kraka. Potem mówił o swojej pracy, o ciężkiej harówce od wtorku do piątku, aby zarobić dość pieniędzy na palenie kraka przez cały weekend.

* Krak (ang. crack, rock lub free-base) - kokaina pozbawiona domieszek, 20 do 50 razy czystsza niż zwykła, palona w specjalnej fajce lub rozgrzewana na łyżce w celu uzyskania oparów do wdychania

Na pytanie, jak sobie radzi z tym okropnym rozdygotaniem po kokainie, odpowiedział, że nie lubi środków uspokajających. One tylko wywołują zatwardzenie, nic więcej - stwierdził.

Sid mimo potężnej tuszy okazał się facetem z klasą. Znalazł się tutaj z powodu jakichś tajemniczych prochów. Nazwał je lodes. Kiedy zapytałam go, co to właściwie jest, jego oczy rozbliły. Narkomani opowiadają o swoich ulubionych narkotykach, jakby mówili o jakimś świętym obrzędzie. „Brałaś prochy i nie znasz lodesT' - zdziwił się. Okazało się, że jest to mieszanina czterech silnych leków przeciwbólowych z jakimś środkiem nasennym.

Działają podobnie jak heroina, doprowadzając do uzależnienia fizycznego. Powodują komplikacje żołądkowe. Sid także na nie cierpi. Niewiarygodne, że przegapiłam coś takiego.

Najdziwniejszy w tym wszystkim wydaje się fakt, że całymi miesiącami nie brałam narkotyków. Ani w Londynie, podczas kręcenia „Sleight of Head”, ani później, na urlopie. Potem wróciłam do domu i nagle trach! - cztery tygodnie ćpania. Nienawidziłam tego, chciałam przestać, ale po prostu nie mogłam. Czułam się jak samochód prowadzony przez jakiegoś maniaka. Pozwalałam sobie kierować, mimo że nie miałam pojęcia, kto to robi.

Dzień piąty

Zgodziłam się, aby Irene obcięła mi włosy. To jakiś koszmar. Ta dziewczyna skończyła zaledwie dwadzieścia lat, a wygląda okropnie. Całą skórę ma popękana od PCP* i heroiny. Opowiadała mi o swoim burzliwym życiu - utraty przytomności, aresztowania za prostytutkę. Tak mnie to wciągnęło, że nawet nie zauważyłam, jak źle jej idzie strzyżenie.

Julie jest taka radosna, że mam ochotę jej przyłożyć. A Roger i Colin, ci dwaj faceci, którzy wychodzą w przyszłym tygodniu, puszą się jak pawie. Jasne, że są od nas lepsi. Nie ćpali już prawie przez miesiąc. Oni teraz naprawdę wiedzą, że można żyć bez narkotyków. Grube ryby na małym oddziale rehabilitacyjnym.

Przez cały czas jestem rozdygotana jak chomik na swoim kołowrotku. Zżera mnie strach, że wszyscy dowiedzą się, gdzie wylądowałam, a wtedy znienawidzą mnie albo będą się ze mnie śmiać. Albo, co byłoby zdecydowanie najgorsze, zaczną mi współczuć. Z politowaniem będą myśleć o tym, że wzięłam od świata wszystko co człowiek może otrzymać i zwróciłam ten hojny dar w postaci częściowo strawionych małży i percodanu na podłogę izby przyjęć.

Wiem, że innym moje życie mogłoby wydać się wspaniałe. Dlaczego ja tak go nie oceniam? Przez cały czas mam wrażenie, że postępując źle ponoszę konsekwencje. Ale w przeciwieństwie do wszystkich otrzymuję od losu nie kary, lecz nagrody. Jakiś wewnętrzny głos bez przerwy mi powtarza: Popatrz, jaka jesteś zepsuta. No, dalej, weź kolejną wspaniałą rzecz. Ale powiedz, co zamierzasz z nią zrobić? Właśnie, co zamierzasz z nią zrobić?

Jeśli miało się to wszystko, co mnie dane było mieć, należałoby też zostać wyposażonym w umiejętność wykorzystania tego stanu posiadania. Może istnieją ludzie, którzy wiedzą, jak to się robi. Prawdopodobnie tak. Śmieją się teraz z nas, którzy mieliśmy wszystko, lecz nie potrafiliśmy uczynić z tego pożytku.

Jest jedna pozytywna strona sytuacji, w której się znalazłam. Osiągnęłam dno i już nie może być gorzej. Może być tylko lepiej. Już bywało lepiej, a nawet całkiem dobrze. Czułam się wtedy jak winowajca, jak ktoś, kto bezprawnie zakrada się na cudzy teren. Chwilowy gość na niedostępnym szczycie.

* PCP - fencyklidyna, krystaliczny proszek do posypywania tytoniu lub marihuany. Bywa także dostępny w postaci pigułek lub płynu do wstrzykiwania.

Miałam wrażenie, i ciągle je mam, że do krainy szczęścia dano mi tylko czasową wizję, a do państwa smutku przepustkę ważną przez całe życie. Nie wiem nawet, kiedy przestałam być dwudziestolatką. Prześlizgnęłam się przez ten okres jak lśniąca nitka przez ciemne ucho igielne. Jak jeden krótki błysk przemknęłam w kierunku swego przeznaczenia. Donikąd.

Dzień szósty

Mam wrażenie, że w moim wnętrzu latają jakieś natrętne owady. Nie mogę tego znieść. Zadzwoiłam dzisiaj do mojej przyjaciółki Wallis. Próbowałam nakłonić operatora centrali, aby powiedział: Telefon z piekła. Czy zgadza się pani płacić za rozmowę?

Kiedy ćpałam, nie czułam nic. Przez całe lata. Teraz wydaje mi się, że uczestniczę w jakimś Festiwalu Uczuć. Narkotyki przestają działać i uczucia zwałają się na mnie jak lawina. Wcale nie te radosna, tylko te wszystkie, których szczególnie chciałam uniknąć, właśnie te, od których uciekałam w ćpanie, doprowadzając się niemal do śmierci. Te, które każą ci wierzyć, że jesteś tylko marnym pyłkiem pod czyjś butem. Na dodatek ten ktoś wcale nie jest specjalnie interesujący.

Rozmawiałam dzisiaj ze swoim agentem. Pod koniec nie mogłam się powstrzymać i wybuchnęłam płaczem. Wspaniale! Odsłoniłam się całkowicie, i to wobec kogo! Własnego agenta. Wspaniale. Bardzo się starałam opanować, ale nie miałam szans. Chyba zużyłam już cały zapas o nazwie „Nie płakać”, w który zostałam wyposażona przy urodzeniu. Teraz nadszedł czas płakania.

Mówiłam też krótko z mamą. Bałam się, że będzie na mnie wściekła za to, co zrobiłam z życiem, które mi dała, ale zachowała się sympatycznie. Powiedziała mi jedną „wspaniałą” rzecz. Kiedy przyznałam się, że czuję się tu wyjątkowo podle,

odrzekła: „No cóż, jako dziecko byłaś szczęśliwa. Mogę to udowodnić. Mam filmy”.

Co i dlaczego poszło źle? Dlaczego nie potrafiłam wykorzystać tego, co ona mi dała?

Dzień siódmy

Ile trzeba mieć lat, aby uwolnić się nareszcie od nadopiekuńczości innych ludzi? Sid spojrział dziś na mnie podczas lunchu i powiedział: „Okropnie żałośnie wyglądasz”.

Nieprzyjemnie mnie to zaskoczyło. Noszę w sobie obraz, który przedstawia mnie jako energiczną, zwariowaną, a przede wszystkim radosną dziewczynę. Kurczowo trzymam się tego wyobrażenia, zwłaszcza gdy wszystko mówi mi, że jest zupełnie odwrotnie.

Jak mogłam dopuścić do tego, że wszystko ułożyło się źle? Przecież jestem inteligentna. Zdaje się jednak, że używałam złych części mózgu - tych, które namawiały: Bierz LSD i prochy. To dobry pomysł”. Chciałam uniknąć bólu i przestawić szare komórki na wyższe obroty. Wyszło dokładnie na odwrót. Więcej cierpienia i otepienie. Teraz wszystko boli i nic nie ma sensu.

Dzień ósmy

Tragedia w sali numer 6 dla narkomanów.

Dziś wywalono z oddziału Irenę. Paliła trawkę w pokoju. Namawiała Carol, tę, co ma męża agenta. Carol rozplakała się i przyszła mnie zapytać, co powinna teraz zrobić. Powiedziałam, że najlepiej będzie, jeśli jednak wydamy Irenę, więc poszliśmy z tym do Stana, dyżurnego terapeuty.

Stan poprosił Irenę na rozmowę. Kiedy wchodziła do dyżurnego, na jej twarzy malował się wyraz szlachetnego buntu, jaki zwykle gości na obliczach bohaterów prowadzonych na egzekucję. Carol ciągle płakała, a ja siedziałam przy niej i trzymałam ją za rękę. Stan zwrócił się do Irenę:

- Słyszałem, że paliłaś trawkę?

- Nie wiedziałam, co mnie czeka, kiedy stąd wyjdę. Czy zostanę przeniesiona do ośrodka przejściowego, czy jeszcze gdzie indziej. Czułam się zagubiona, więc zapaliłam - odparła Irene.

- Można wymyślić tysiąc wymówek na swoją obronę, ale ostatecznie nie istnieje żaden przekonujący powód, który usprawiedliwiłby sięganie po narkotyki - odpowiedział Stan.

Większość pacjentów kliniki prześladuje jedno wspólne pragnienie. Chcieliby wyglądać na takich twardzieli, co to niczym się nie przejmują i ze wszystkim znakomicie sobie radzą. Mogą się skrecać na głodzie narkotycznym, ale zapytani o samopoczucie zwykle mówią: „Całkiem nieźle, bracie. Jakoś leci”. Odpowiadają o wiele za szybko, pośpiesznie przywołują na twarz szeroki uśmiech, ale wszystko na próżno. Z bezdennej otchłani ich wewnętrznego piekła nieubłagane wзира rozpaczliwa samotność, która - przyczajona gdzieś ponad tym uśmiechem - bezlitośnie obnaża jego nieszczerść. Jest tylko jedna rzecz gorsza niż cierpienie - świadomość, że wszyscy wiedzą o tym, że cierpisz.

Dzień dziewiąty

Tak, tym razem naprawdę mogłam się wykończyć. Zresztą, nie tylko tym razem. Niejednokrotnie już ópanie wymykało mi się z rąk. Zapominałam, ile wzięłam, kiedy wzięłam, nie mówiąc już o tym, że nie miałam pojęcia, dlaczego w ogóle brałam. Czy chciałam coś uczcić, czy utopić smutki? A może smutki zamierzałam uczcić?

Ópuny wstały dzisiaj w bojowym nastroju. Część z nich nie chciała gadać ani z Carol, ani ze mną, ponieważ doniosłyśmy na Irene do terapeuty. Pozostali uważali, że palenie marihuany na oddziale odwykowym jest po prostu idiotyczne. Aby trochę rozładować sytuację, terapeuci zwołali specjalne zebranie. Narkomani na odwyku nie należą do ludzi, którzy potrafią trzymać emocje na wodzy. Bez chemicznego wsparcia zupełnie nie panują nad swoimi nastrojami, a wtedy - ratuj się kto może.

Atmosfera w grupie nie jest raz zimna, raz gorąca, tylko gorąca albo jeszcze gorętsza. Bart, ten homoseksualista spod znaku Skorpiona, powiedział mi w sali do ping-ponga, że jestem dupa.

Okazało się, że Irene dostała marihuanę od jednego ze sprzątaczy, z którym pieprzyła się na klatce schodowej podczas lunchu. Ech, rozumiem ich. Bratnie dusze.

Dzień dziesiąty

Przyjęto dzisiaj na oddział troje nowych ludzi. Marvin, emerytowany kierowca, dobrze po pięćdziesiątce, znalazł się tu prawdopodobnie z powodu alkoholizmu. Wanda jest uzależniona od heroiny. Twierdzi, że jest modelką. Aby to udowodnić, zabrała do kliniki zestaw kosmetyków. I jeszcze Mark, szalony chłopak z Vacaville. Nie wiem, co brał. Pewnie nie ma to teraz żadnego znaczenia. Znalazł się więc tutaj zestaw półgłówek z całego stanu. Wygląda na to, że wszyscy, którzy kiedykolwiek byli porządnie naćpani na jakimś przyjęciu, zostali zgromadzeni w jednym miejscu - na naszym oddziale.

Po terapii grupowej Bart przeprosił mnie za to, że nazwał mnie dupą. Opowiedział mi przy okazji śmieszłą historyjkę. Pewnego razu niechcący rozlał sobie azotyn amylu* na jądra i w wyniku jakiejś reakcji chemicznej jaja po prostu wtopiły mu się w prześcieradło. Nie mógł ich odkleić. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko zabrać jaja wraz z prześcieradłem do szpitala i poszukać tam fachowej pomocy. Powiedziałam mu, że byłby to świetny pomysł na scenariusz filmowy.

Zjedliśmy lunch, a potem obejrzelśmy film „The Outer Limits”. Jeśli chodzi o telewizję, większość narkomanów ma bardzo podobny gust - niemal każdy z nas wybiera programy fantastyczno-naukowe lub MTV. To naprawdę groteskowe, że wszyscy zachowujemy się tak, jakbyśmy byli w jakimś zwyczajnym miejscu, a przecież to jest klinika leczenia uzależnień.

* Azotyn amylu - żółtawy płyn sprzedawany w małych szklanych ampułkach, które tłucze się, aby wdychać opary. Środek tłumiący.

Dzień jedenasty

Nowi wyszli dzisiaj z detoksu i dołączyli do naszej grupy. Marvin twierdzi, że wcale nie jest alkoholikiem, ale i tak mu się tutaj podoba. Uważa, że jesteśmy ciekawymi ludźmi. Wszyscy. Wydaje mu się, że uczestniczy w eksperymencie z zakresu psychologii współczesnej lub bierze udział w programie, który polega na wysłaniu zdrowej osoby do kliniki odwykowej i umieszczeniu jej tam w sali pełnej narkomanów tylko po to, aby sprawdzić, czy ktoś w ogóle potrafi ją od nich odróżnić.

Wanda trafiła do szpitala po nieudanej próbie samobójczej (zatrucie tlenkiem węgla w samochodzie). Poprosiła dealera, aby jej przyniósł trochę heroiny, bo nie może spać. Przedawkowała, więc wprost ze szpitala przywieźli ją tutaj.

Marka przywiózł kurator prosto z Vacaville. Wygląda tak, jakby brał prochy niemal od urodzenia. Ma tłuste blond włosy z przedziałkiem pośrodku i złe spojrzenie. Skończył dziewiętnaście lat. Kiedy idzie przez korytarz, zawsze trzyma się bardzo blisko ściany. Carl mówi, że to nawyk wyniesiony z więzienia. Mark spędził w więzieniu trzy lata - za stawianie oporu podczas aresztowania i czynną napaść na policjanta. A teraz jest w klinice odwykowej. Dzisiaj odwiedził go ojciec i przyniósł mu trochę ubrań. Wydawał się głęboko rozczarowany swoim synem.

Moja mama też nie jest mną zachwycona, ale nie pokazuje tego. Wpadła tu dzisiaj. Przywiozła moją kołdrę. Tę z aksamitu i satyny. To niewiarygodne, że bez tej kołdry w ogóle udało mi się przeżyć detoksykację. Przed spotkaniem z mamą byłam bardzo zdenerwowana, ale jakoś poszło. Mama sądzi, że obwiniam ją o to, iż się tutaj znalazłam, ale to nieprawda. Oskarżam głównie swojego dealera, lekarza i siebie samą,

niekoniecznie w takiej kolejności. Nie bardzo spodobała jej się moja nowa fryzura, ale udawała, że tak nie jest. Powiedziała, że jest „interesująca”. Mama uważa, że mogłaby mi pomóc zmiana agenta. Oczywiście pod warunkiem, że potrafiłby lepiej zadbać o moje interesy niż obecny. Wyprała mi bieliznę i się pożegnała.

W ciągu ostatnich kilku lat w najlepszym razie stałam się dziwaczką, którą z trudem można zaakceptować, a w najgorszym absolutnie spieprzyłam swoje życie. Myślę, że jeśli teraz zmienię postępowanie, to sprawię zawód niektórym ludziom. Oni już przywykli do tego, aby mnie potępiać. Starają się narzucić mi dyscyplinę, a ja dalej jestem niezdiscyplinowana. Sprzeciwiają się, a ja budzę sprzeciw. Role zostały rozdane.

Julie opowiadała nam dzisiaj o sytuacji rodzin i przyjaciół ludzi dotkniętych nałogiem oraz o ruchu Al-Anon*. Stwierdziła, że nałóg jest jak wir, który wciąga w dół, aż do śmierci. Nie tylko samego nałogowca, ale i jego otoczenie, które jest skazane na przypatrywanie się jego powolnemu umieraniu. Nałóg jednego człowieka staje się zasadniczą treścią życia jego najbliższych. Uzależniają się od uzależnionego. „To trochę tak, jakby ktoś z Al-Anonu wyskoczył przez okno i - zamiast własnego - przed oczami przemknęłoby mu cudze życie” - wtrącił Sid. Żałowałam, że nie ja to powiedziałam, ale pewnie kiedyś to powtórzę.

Prześladuje mnie natrętna myśl, że gdyby udało mi się wyjść za mąż, to mój pobyt tutaj stałby się mniej żenujący. Tak bardzo zazdrościsz Carol, że ma męża. Dzięki temu leczenie w klinice odwykowej nie wydaje się końcowym etapem. Małżeństwo stwarza jej szansę powrotu do normalnego życia. Ma nie tylko gdzie, ale przede wszystkim do kogo wrócić. Nie mówiąc o tym, że może wzorować się na mężu. W moim życiu nie ma nikogo ani niczego, co wymagałoby stania się kimś innym niż jestem.

* Al-Anon - ruch obejmujący rodziny osób uzależnionych. W ramach tego ruchu organizowane są spotkania, podczas których

ich uczestnicy uczą się żyć z osobą uzależnioną i próbują udzielić sobie nawzajem pomocy i wsparcia.

Tak, dochodzę do wniosku, że jeśli dwoje ludzi zwiąże się ze sobą na dobre i złe, to nic nie może ich unieszczęśliwić. Chyba żeby ich dziecko zamordowało inne dziecko lub zrobiło coś równie potwornego.

Naprawdę zazdroszczę każdemu, kto potrafi tak po prostu siedzieć z drugim człowiekiem i na dodatek uważać, że ten człowiek jest niezwykle interesujący. Ja wolę raczej oglądać telewizję. Niestety, prędzej czy później ta druga osoba dowiaduje się o tym. Kiedyś powiedziałam Jonathanowi, że gdyby nadawał lepszy program, poświęcałabym mu więcej uwagi. Gdy zaczynasz się z kimś spotykać, to wszystko, co on robi, wydaje ci się wspaniałe. Drażni cię tylko jedna rzecz - że widujecie się zbyt rzadko. W końcu nieuchronnie dochodzi do takiego momentu, kiedy chciałbyś mu tylko powiedzieć: „Idź już sobie, dobrze?”

Zresztą, co to za różnica? Z taką fryzurą i tak nikt się ze mną nie ożeni.

Dzień dwunasty

Brian, chłopak, który dzisiaj się pojawił, został przywieziony przez matkę i ciotkę. Nosił czerwony, robiony na drutach kapelusz i śmierdział piwem. Miał około osiemnastu lat. Nie chciał słyszeć o oddziale odwykowym. Chciał się wybrać na koncert w środę wieczorem.

W zeszłym roku jego brat zginął w wypadku samochodowym. Leżał na ulicy, zbyt naćpany, aby się ruszyć, kiedy ktoś przypadkiem zwolnił hamulec w samochodzie, który po prostu przetoczył się po nim.

Carol, Bart i ja mieliśmy za zadanie przekonać Briana, aby został w klinice. Zaczęliśmy rozmawiać. Chłopak zwierzył się nam, że on także kiedyś marzył o aktorstwie, dlatego obecność kogoś takiego jak ja robi na nim bardzo silne wrażenie. Jednak nie udało nam się go namówić. Stwierdził, że jest zbyt młody,

aby rezygnować z picia i ćpania. Zwłaszcza że wszyscy jego koledzy postępowali podobnie.

Wiedział, że prawdopodobnie stał się alkoholikiem - pił całymi dniami. Na dodatek palił ogromne ilości marihuany, a także wdychał kokainę - za każdym razem, gdy tylko udało mu się ją zdobyć. Zdawał sobie sprawę, że jego brat zginął przez narkotyki, a mimo to nie umiał sobie wyobrazić, że on, Brian, mógłby wylądować w klinice odwykowej. Nie, niczego nie będzie próbował. To zbyt trudne do wytrzymania i z całą pewnością wymaga za dużo wysiłku. Uważał, że wcale nie jest uzależniony. To insynuacje. W ten sposób uciekł od problemu.

Wydarzenie to dało mi wiele do myślenia. Ileż energii kosztowało mnie zawsze wyjaśnianie ludziom, dlaczego się spóźniłam albo wcale nie przyszłam. Z zaangażowaniem godnym lepszej sprawy tłumaczyłam, że nie jestem naćpana, a tylko bardzo zmęczona i po prostu żyję na wolniejszych obrotach. Unikałam patrzenia ludziom w oczy, gdyż widziałam w nich rozczarowanie mną, a to budziło we mnie uczucia, których nie mogłam znieść. Tyle beznadziejnie roztrwonionej energii! Gdybym potrafiła pogodzić się z faktem, że jestem narkomanką, cała ta energia zostałaby we mnie.

A zatem, jestem uzależniona. Każdemu człowiekowi przysługuje chyba pewien przydział narkotyków do wykorzystania w ciągu całego życia. Ja już swój przydział zużyłam. Teraz pozostaje mi tylko rzeczywistość, z którą muszę się zmierzyć na trzeźwo. Sądzę, że to właśnie jest dojrzałość. Stoicki spokój w obliczu nieskończenie wielu możliwości oferowanych nam przez rzeczywistość. Lecz jeśli naprawdę tak jest, to co ja o tym wiem?

Dzień trzynasty

Klinika dla narkomanów na pewno nie jest miejscem, o którym marzyłam w dzieciństwie. Kiedy w szkole pytano mnie, co zamierzam robić, gdy dorosnę, nie odpowiadałam, że celem mojego życia jest pobyt na oddziale leczenia uzależnień, jądanie

w stolówkach szpitalnych, oglądanie „The Outer Limits”, a także sprzeczki w grupie terapeutycznej, gra w siatkówkę w parku oraz uciekanie od własnych emocji.

Rozmawiałam dzisiaj przez telefon z Thomasem. Oznajmił, że już od dłuższego czasu usiłował się do mnie dodzwonić, ale ciągle numer był zajęty. Niestety, to wina aparatu na oddziale. Stale jest okupowany. Głos Thomasa brzmiał zupełnie inaczej niż mój - spokojny, pewny siebie głos człowieka, u którego, jak zwykle, wszystko jest w najlepszym porządku. Tak się jakoś złożyło, że to ja zostałam genetycznie obciążona wszystkimi możliwymi na tym świecie wadami, natomiast on odziedziczył same zalety, łącznie z bezgraniczną łagodnością i cierpliwością człowieka, którego nawet ptaki mogłyby polubić. Kiedy pytasz go, co słysząc, a on odpowiada, że świetnie, nawet nie przychodzi ci do głowy, aby podać to w wątpliwość. Bo on należy do tych nielicznych, którym naprawdę wszystko się udaje. Przypomina mi to pewną scenę z „The Exorcist”, w której do księdza przyprawiono dziewczynę opętaną przez diabła. Ksiądz, wpatrując się w diabła siedzącego w dziewczynie, krzyczy do niego: „Weź mnie”. Diabeł opuszcza dziewczynę i przechodzi do duszy księdza. Ja chyba jestem jakąś taką egzorcystką, która bierze ze świata wszystkie jego ciemne barwy i gromadzi je w swoim wnętrzu, podczas gdy Thomas pochłania - no może niekoniecznie całe światło - ale z pewnością te jaśniejsze kolory. Jest w nim jakaś melancholijna lekkość ducha, która pozwala mu iść przez życie spacerkiem, stawiać stopy cicho i bez pośpiechu, a przeszkody pokonywać gładkimi, płynnymi ruchami. Powiedziałam mu, że powinien być zadowolony z takiej siostry jak ja. Przez kontrast ze mną prezentuje się jeszcze lepiej. Odparł na to, że rzeczywiście ma fantastyczną siostrę, tylko że z całkiem innego powodu. Dodał, że poza mną nie zna żadnej innej dorosłej osoby, która swoim gościom podawałaby półmisek bułeczek Toot-sie Rolls. Poczulałam się lepiej, usłyszawszy te słowa. Nie wiem dlaczego.

Sid oświadczył, że naszym problemem nie są narkotyki, tylko samo życie. Narkotyki to nasze rozwiązanie tego problemu. Coś mi się zdaje, że Sid zakochał się we mnie. Codziennie rano wchodzi do mojego pokoju, chwyta mnie za stopy i trzyma je w rękach tak długo, dopóki całkiem się nie obudzę. Lubię, kiedy ktoś trzyma moje stopy, nawet jeśli to tylko Sid.

Marvin ciągle uważa, że nie jest alkoholikiem.

Mark pokazał mi list od Mansona. Nie mogłam się w nim doszukać żadnego sensu - coś o sekwojach. Mark twierdzi, że Manson to równy facet, tylko nikt go nie rozumie.

Dzień czternasty

Dzisiaj Mark próbował zabić Sida. Nikt dokładnie nie wie, co właściwie zaszło. Jedno jest pewne. Markowi podano haldol - lek antypsychotyczny. Teraz w jego oczach jest jeszcze więcej buntu i agresji niż przedtem. Carol i Wanda mówią, że dziś wieczorem postawią przed swoimi drzwiami puste puszki po napojach, gdyż w klinikach odwykowych drzwi pozbawione są zamków.

Carl jest na mnie wściekły, bo dałam mu dziesięć dolarów, żeby wreszcie zamknął gębę. Powiedział, że jestem tylko rozkapryszoną aktorką, która nie ma zielonego pojęcia o życiu. Może i ma rację. Czasami wydaje mi się, że życie jest ode mnie oddzielone jakąś szybą. Rozpłaszczam nos o tę szybę jak zgłodniały zagląający do piekarni. Tylko że to ja jestem chlebem.

Dzień piętnasty

Przyszła dzisiaj na oddział jakaś dama, aby się zająć duchową stroną naszego życia. Przedstawicielka Ruchu Anonimowych Alkoholików, a może innego podobnego stowarzyszenia. Chciała wzmocnić nas psychicznie i w tym celu opowiedziała kilka naprawdę świetnych historii. Po pierwsze, wyjaśniła, dlaczego ludzi, którzy wprowadzają innych do grup Anonimowych Alkoholików, nazywa się Eskimosami. Prawdopodobnie wszystko zaczęło się od pewnego faceta, który

miał na imię Harvey. Otóż kiedy ten Harvey siedział sobie w barze gdzieś na Alasce, wszedł tam jeszcze inny facet, Tony, i zaczął rozmawiać z barmanem o Bogu. Harvey zapytał Tony'ego: „Wierzysz w te rzeczy”. „Tak, wierzę” - odparł Tony.

Wtedy Harvey powiedział: „Eee tam. Osobiście to sprawdziłem. Kupa bzdur, nic więcej”. Zaciekało to Tony'ego. „Co masz na myśli? Co się właściwie stało?” Harvey zaczął więc swoją opowieść: „Zdarzyło się to podczas strasznej, naprawdę strasznej śnieżycy.

Zgubiłem się i przez kilka dni nie udało mi się odnaleźć właściwej drogi. Byłem bliski śmierci. Ogarnęła mnie rozpacz. Całkowicie bezradny, padłem w końcu na kolana i zacząłem się modlić: »Boże, jeśli jesteś gdzieś tam wysoko, proszę, wydostań mnie stąd, ocal mnie«. Harvey zamilkł na chwilę, więc Tony zaczął go ponaglać. „No i co się wtedy stało?” A Harvey na to lekceważąco: „Nic takiego. Pojawił się jakiś Eskimos i pomógł mi się stamtąd wydostać”.

Potem opowiedziała nam o tym, jak jej pierwsza opiekunka z ramienia AA, bardzo religijna kobieta, zachorowała na wyjątkowo złośliwą odmianę raka. Mimo nieludzkiego cierpienia ani na chwilę nie zwątpiła w Boga, choć to przecież on zesłał na nią ten straszny ból. Nasza prelegentka nie była w stanie tego pojąć. „Bóg nigdy nie nakłada na nas większego ciężaru, niż potrafimy udźwignąć. Jeśli więc doświadcza cię bardziej niż innych, przyjmij to jako wyróżnienie. Oznacza to bowiem, że jest przekonany, iż wiele potrafisz znieść” - wyjaśniła jej chora. Chciałabym utrwalić tę myśl w pamięci, bo tkwi w niej jakaś wielka prawda i emanuje potężna siła.

Kiedy wróciłam do swojego pokoju, na stoliku leżały kwiaty od faceta, który robił mi płukanie żołądka. Na przypiętej do nich karteczce napisał, że jestem wyjątkowo wrażliwą osobą, co natychmiast rzuca się w oczy. Gdybym nie była wrażliwa, na pewno nie potrzebowałabym percodanu.

Kusi mnie, żeby wyjść za niego, chociażby dlatego, by móc opowiadać ludziom, w jakich okolicznościach go poznałam.

RS

ALEX

... Tak, rzuciłem. Tym razem naprawdę rzuciłem. Nie biorę już kokainy. Gdyby ktoś podszedł teraz do mnie i zaproponował mi trochę kokainy, też nie wziąłbym. Chociaż wątpię, żeby ktoś chciał mi ją dawać. Dziś już nikt nikomu nie daje kokainy. Kiedyś brało się wspólnie kilka działek i wszyscy stawali się przyjaciółmi. Teraz każdy ciuła dla siebie.

Moje pierwsze przyjęcie bez narkotyków. Niesamowite. Dla ścisłości muszę dodać, że kiedy byłem dzieckiem, nie chodziłem naćpany na urodziny kolegów i przyjaciół, ale to było już dawno temu.

Ciekawe, czy ktoś tutaj w ogóle ma kokainę. Może Steve. Tak, on tak. Wygląda na takiego. Zwykle trochę przy sobie nosi. Brzydzę się tym facetem, ale kokainę zawsze ma świetną...

Nie, obiecałem sobie, że nie będę brał żadnej kokainy, bo ostatnio to był koszmar i... Ale na początku było wesoło. Czasami jest tak zabawnie. Sam już nie wiem. Brał ją nawet Freud, więc chyba nie może być aż taka zła.

Tak, jestem teraz całkiem inny. Nowy ja. Zupełnie zdrowy. Nie brałem kokainy aż przez cztery dni. Nawet już jej nie lubię. Tak naprawdę chyba nigdy jej nie lubiłem. Brałem, bo była w zasięgu ręki. Mogłem się bez niej obejść. W przeciwieństwie do Steve'a.

On po prostu nie umie żyć bez kokainy. Powiedziałbym, że on rzeczywiście ma z tym problem. Nie może przestać brać. Czasami przestaje, ale tylko na trochę. Ja potrafię obejść się bez kokainy. Naprawdę tak myślę. Sądzę, że mam silną wolę, tylko przez pewien czas jej nie używałem. Zrobiłem sobie małą przerwę w korzystaniu z silnej woli. Teraz sięgam po nią znowu. Uważam, że potrafię wytrwać i nie będę więcej sięgał po narkotyk.

Zdrowe życie jest takie wspaniałe! Naprawdę uwielbiam być trzeźwy. Tak, kiedy patrzę na ludzi uprawiających jogging,

wzdycham ciężko, ale się nie poddaję. Zbliżam się dopiero do trzydziestki. Uważam, że narkotyki są częścią młodości. Nie sądzę, bym tkwił w narkotykach po uszy. Po prostu byłem młody, co z definicji nie stanowi problemu, a tylko jest takim okresem w życiu, kiedy branie ogromnych ilości kokainy jest czymś zupełnie naturalnym. A potem ten okres mija.

Nie jestem całkiem pewien, lecz wydaje mi się, że prawdziwą przyczyną sięgnięcia po narkotyki były w moim przypadku nieudane związki z ludźmi. Teraz porzuciła mnie Joan, a mimo to czuję się zupełnie dobrze tylko we własnym towarzystwie. To znaczy chcę czuć się dobrze. Poszedłem dzisiaj do baru i kupiłem sobie sok chlorofilowy. To taki zielony napój. Miałem po nim biegunkę, ale teraz wszystko wróciło do normy. Zdaje się, że już zrobiłem ten pierwszy krok. Wygląda to mniej więcej tak: idziesz do baru lub innego podobnego miejsca, zamawiasz sok chlorofilowy i sok z marchwi i w ten sposób deklarujesz, że od tej pory będziesz żył inaczej. Nabyłem też trampki, bo chcę zacząć biegać... Dzisiaj rano wstałem o wpół do dziesiątej i przysunąłem swój rower treningowy bliżej łóżka, więc jutro rano po prostu na niego wskoczę. Wiem, że tak będzie. Myślę, że dziesięć minut gimnastyki wystarczy. Być może potem wyjadę do uzdrowiska Canyon Ranch. A kiedy wrócę, poszukam odpowiedniej dziewczyny. Wydaje mi się, że jeśli poznam dziewczynę, która nie używa narkotyków, to razem też nie będziemy ich brać. Tak, to z pewnością bardzo mi pomoże. Myślę, że wybory, jakich w życiu dokonujesz, pokazują, dokąd zaszedłeś w poszukiwaniu siebie.

Jest tylko jedna rzecz, która naprawdę mnie martwi, a mianowicie to, że będę musiał całkowicie zrezygnować z narkotyków. Powinno być mi wolno od czasu do czasu zrobić sobie prawdziwe święto, to znaczy mógłbym naćpać się do woli przy jakiejś szczególnie uroczystej okazji. Oczywiście dopiero wtedy, gdy będę już umiał przez jakiś czas obejść się bez narkotyków. Nie widzę w tym niczego złego. Steve tak właśnie

postępuje. No, tak, ale Steve ma problem. Myślę, że będę mógł sobie pozwolić na odstępstwo od zasady, kiedy będę w stanie kontrolować sytuację. Naprawdę zrobiłem dzisiaj doskonały początek. Chociaż, o Boże, żołądek mi się skręca od tego soku. Ciekawe, czy wszystko, co jest zdrowe, ma taki obrzydliwy smak. Mam nadzieję, że nie, bo naprawdę zamierzam się przestawić na zdrowe żywienie.

Wygląda na to, że Steve już jest naćpany i... Spójrz. Co za głupi widok. Po prostu idiotyczny. Aż trudno uwierzyć, że sam kiedyś to robiłem. Jak dobrze znaleźć się po drugiej stronie. Jeśli postanowiłeś rzucić narkotyki, a potem znowu je bierzesz, tracisz szacunek dla samego siebie. I nie chodzi o to, żeby się ich wyrzec całkowicie, należy tylko nie przekraczać pewnej granicy. Nie każdy to potrafi. Ludzie o pewnym typie osobowości niczego nie umieją robić po trochu. Na szczęście do nich nie należę. Są takie dziedziny życia, gdzie zadowolają mnie nawet najmniejsze porcje, więc jeśli trochę poćwiczę, to kokaina stanie się także jedną z nich.

No, może nie kokaina. Ale mógłbym przecież przestawić się na prochy. Na przykład speed pills*. Oczywiście od czasu do czasu. Uwielbiam to, co koka i amfa robią z moim ciałem. Staje się takie lekkie. Nienaturalnie lekkie. Tak, na pewno mógłbym spróbować...

Boże, co to za wspaniałe uczucie. Ogarnia cię zaraz na początku. Jeśli oczywiście masz dobrą kokę. Od tej chwili będę brał tylko dobrą kokę. Za każdym razem najpierw upewnię się, że jest dobra. Nigdy więcej nie pójde do tego dealera w Brentwood. Nigdy. Myślę, że o to właśnie chodziło.

Zła koka. Koka, która rani ci twarz. Branie takiej koki to już nie przyjemność, a raczej jakiś przykry obowiązek.

* Speed pills - jedna z odmian amfetaminy (metamfetamina), występująca w postaci pigułek do zażywania doustnego, środek pobudzający o bardzo silnym działaniu.

Chyba jednak przerzucę się na leki, bo przynajmniej nie niszczą śluzówki, a ja naprawdę chciałbym trochę zadbać o swoje ciało. Pod tym względem zawsze byłem nietypowy, gdyż nawet w okresie ostrego ćpania chodziłem czasem do sali gimnastycznej. Joan oskarżała mnie, że pielęgnuję ciało wyłącznie dlatego, bym miał co niszczyć przy pomocy chemikaliów. Uważam, że była niesprawiedliwa. Jeśli nawet tak robiłem, z pewnością teraz jestem w lepszym położeniu niż na przykład taki Steve, który nie dość, że rujnuje swoje ciało biorąc narkotyki, to na dodatek używa cukru i jada hamburgery. Ja nie jem produktów rakotwórczych, a teraz zacząłem pić soki... Tak, dzisiaj zwymiotowałem, ale...

Jestem zmęczony. Co to za dziewczyna? Ładna... O, nie, nie chcę znowu pakować się w kłopoty. Boże, jaki ja jestem zmęczony. Nie powinienem pić. Alkohol zawsze kojarzy mi się z kokainą. Od tej chwili nie piję. O Boże, widzi mnie. Idzie w moją stronę. Powinienem go po prostu zignorować, a wtedy zrozumie, że narkotyki już mnie nie interesują.

- Cześć, Steve. Jak leci? Taaak. Mnie? Świetnie. Nie, czuję się całkiem dobrze. Chyba nie wyglądam aż tak źle. Żołądek mi nawalił. A ty? Jak się masz? Na haju, co? Nie, ja nie... Nie, już nie biorę. Rzuciłem. Tak. Nie, przeciwnie, czuję się świetnie. Nie, naprawdę nie żartuję. O co ci chodzi? Że to nic nadzwyczajnego? Czuję się nadzwyczajnie, to wystarczy. I zamierzam się tego trzymać. Nie, wcale nie chciałem cię osądzać. Wiesz, ciągle uważam, że branie koki jest wspaniałe. Fajnie, że niektórzy jeszcze to robią. Wcale nie myślę, że to jakaś słabość...

- Nie, to nie żaden narkotyczny problem. Tylko nos zaczął mi... Sam nie wiem. Pewnie skończę na małych dawkach koki od czasu do czasu. Nie, nie teraz. Chociaż... No, może na przykład... Do, licha, sam już nie wiem. Może tylko... Czy jest tu jakieś żarcie? Dobra, może... może raz wezmę... Ale kto to jest? No, tam. Ta dziewczyna. Tak, wezmę... Nie, to byłoby...

Nie wezmę... Dobra, dawaj. Dmuchać. Ale tylko raz. I pamiętaj, nawet gdybym cię prosił, nie dawaj mi więcej. To dobra koka, co? Nie ta z Brentwood? W porządku, tylko raz...

- Aaaach! Ooooch! Wspaniale. Oooo, fantastycznie. Cholera, naprawdę cudownie! Uhm. Jednak trochę piecze. To czysta koka, co? Tak? Rzeczywiście dobra. Nie, naprawdę więcej nie potrzebuję. Po prostu jestem w stanie się kontrolować. I to jest właśnie to. Ludzie przychodzą na przyjęcie, dmuchną sobie raz, żeby się rozluźnić, i na tym koniec. Ja też tak potrafię. Mogę się zadowolić jedną małą dawką...

- Boże, czuję się tak... Jestem zadowolony, że postanowiłem nie używać narkotyków. Właściwie chciałem powiedzieć, że będę brał je tylko w niewielkich ilościach. No, pomagaj te mięśnie. Tu, na ręce. Z całą pewnością czuję się dobrze. Wiem, że nie wyglądam aż tak wspaniale, ale po prostu bardzo mało spałem i jeszcze wypilem ten zepsuty sok...

- Podejźmy tam i pogadajmy z tą dziewczyną. Słyszysz? Chcę tam iść i porozmawiać z nią. Jak ona się nazywa? Jaka znowu Lisa? Kim ona jest? Jakaś aktorką albo kimś w tym rodzaju? Brzydzę się aktorkami. Chociaż muszę przyznać, że wygląda elegancko. Eleganccy ludzie zawsze ubierają się na czarno. Co to za facet z nią rozmawia? Craig? Ja chcę z nią pogadać. Boże, przecież to kompletnie przegrany gość. To ja powinienem teraz z nią rozmawiać. Jestem przynajmniej mężczyzną. Muszę z nią pogadać. Daj jeszcze trochę tego towaru. Chyba tam pójdę. Tak, pamiętam, co mówiłem. Bardzo dobrze wiem, co powiedziałem. Daj mi jeszcze jedną działkę. Co ty, skąpisz mi jednego dmucha? Stać mnie na niego. Zapłacę. Po prostu chciałem... Tak, zamierzam uczcić rzucenie narkotyków wzięciem jednej małej porcji. Taaak! O, tak...

- Szkoda, że nie istnieje ekologiczny towar. Wiesz, co mam na myśli, prawda? Chciałbym, żeby przyroda stworzyła taki środek, który by się brało z korzyścią dla zdrowia. Wyobrazasz sobie? Dmuchać, a to pod każdym względem ci służy. Szkoda,

że lekarz nie może mi przepisać czegoś takiego jako lekarstwa. Chociaż muszę przyznać, że twoja koka jest dobra. Naprawdę jest dobra. Ile za nią zapłaciłeś? Niezła. Naprawdę niezła. Od kogo ją masz? Tak, kiedyś też od niego brałem i była świetna. Pamiętasz tę noc, kiedyśmy... Daj jeszcze działkę. Jeszcze jedną...

- Aaaach! Oooochl Nie, to nie koka, to ja. Tydzień temu byłem przeziębiony. A tak naprawdę to chyba zatoki. Nawalają mi od ładnych paru lat. Tak mi się przynajmniej wydaje. Muszę po prostu pójść do lekarza...

- Eeee, już mi się nie chce gadać z tą dziewczyną. Wolę z tobą. Brakowało mi ciebie. Myślę, że wiele nas łączy, dlatego tak dobrze nam się ze sobą rozmawia. W towarzystwie nie spotykamy się zbyt często, ale kiedy spędzamy razem czas, to zawsze jest mi dobrze. Pamiętasz tę noc w Las Vegas, kiedy się poznaliśmy? Nie byłeś jeszcze wtedy dealerem, prawda? Ktoś powiedział, że nim jesteś, a ja tak walnąłem gościa pięścią, że go zamoczyło. Tak, bracie, świetny z ciebie facet. Lubię cię. Naprawdę...

- Możemy załatwić jeszcze trochę tego towaru, co? Jutro rzucam narkotyki... No, nie wiem, ale w każdym razie muszę się za siebie zabrać. Jezu, jak mi serce wali. Gdybym wziął jeszcze trochę, to by przestało, co? Wiem, że to typowe gadanie nałogowego kokainisty. Jeśli już wzięłeś pewną dawkę, a potem dokładasz po trochu, coraz mniejszymi porcjami, to może ci się uda trafić w tę właściwą ilość, która zaprowadzi cię na sam szczyt, która da ci prawdziwy odlot. I będzie ci się wydawało, że ten świat nareszcie został właściwie urządzony. Dokładnie tak, jak sobie wymarzyłeś. Rozumiesz Boże, z pewnością kocham życie. Możesz mi dać jeszcze jedną działkę? Steve...

- Tak, to dobry test na moją siłę woli. Każdy mięczak może rzucić kokainę. Zapanować nad nią - to jest to. Jedyne właściwe klucze do brania. Ci, którzy muszą rzucić narkotyki, są po prostu słabi. Latają potem na spotkania Anonimowych Kokainistów i

bez przerwy pieprzą o narkotykach. Wygląda to tak, jakby ich jedynym zajęciem było powstrzymywanie się od brania narkotyków. Tak, bracie. Wolałbym już raczej brać. Masz jeszcze jedną działkę? Chłopie, nudne to przyjęcie jak flaki z olejem. Nie wiem, taki jakiś jestem podniecony, że korci mnie, aby... Może chodźmy do ciebie, co? Albo nie. Chodźmy do mnie. Albo chociaż wyjdźmy na dwór i połażmy sobie dookoła. Nie lubię nikogo z tych ludzi. Boże, oni to jedzą. Popatrz tylko na to gówno. Wygląda obrzydliwie. Chodźmy lepiej na dwór i pogadajmy...

- Czy już ci mówiłem, że skończyłem szkołę średnią z wyróżnieniem? Łebski był ze mnie dzieciak. Nad wiek rozwinięty. Myślałem, że będę pisał, bo to mnie naprawdę interesowało. Muszę ci powiedzieć, że środowisko pisarzy i wydawców wcale nie jest takie ciekawe. Wolałbym raczej poświęcić się muzyce, ale nie umiem grać na żadnym instrumencie. Chociaż pewnie mógłbym się nauczyć. Teraz myślę, że mógłbym. Umiesz na czymś grać? To ciekawe. Naprawdę ciekawe. Żaden z nas na niczym nie gra, ale mimo to czuję, że obaj mamy dusze muzyków. Wiesz, co mam na myśli, prawda? Siadamy, rozmawiamy, potrafimy się porozumieć. Myślę, że tak właśnie zachowują się artyści...

- Ta ubrana na czarno dziewczyna jest chyba artystką. Zawsze chciałem poznać dziewczynę, która pisze wiersze i chodzi do klubów jazzowych. Takie życie na pewno by mnie wciągnęło, a ona stałaby się moją bratnią duszą. Ciekawe, czy ja w ogóle mam jakąś bratnią duszę? Daj jeszcze dmuchnąć. Tylko jedną działkę, bo teraz rzeczywiście zbliżam się do szczytu. Do diabła, możemy przecież dokupić. To jest przyjęcie. Od kilku dni nie byłem naćpany. Coś takiego naprawdę należy uczcić...

- Aaaach! Ooooch! W dawkowaniu narkotyków jest krawędź, prawda? W pewnym momencie z niej spadasz i jesteś już całkiem zaćpany. Powiedz, czy przypadkiem nie zaczynam się pocić? Chyba jeszcze wyglądam całkiem dobrze, co? No,

powiedz, czy sprawiam wrażenie wariata? Sama myśl, że wydaję się obłąkany, czasami doprowadza mnie do obłądzenia. Nie chcę, żeby ktokolwiek pomyślał, że naprawdę jestem obłąkany. Nie, nie zależy mi na tym, co ludzie o mnie sądzą. Nie o to chodzi. Chociaż, czasami jednak tak. Przyznaję. W końcu jestem człowiekiem. Zawsze obchodziło mnie troszeczkę, co sobie ludzie o mnie pomyślą. Tak czy inaczej, dobrze jest, jak jest. Lubię, kiedy tak sobie rozmawiamy. Chłopie, to naprawdę wspaniała rozmowa. Powinniśmy ją nagrywać. Czym się zajmujesz? Pisaniem? Co piszesz? Artykuły na temat sprzętu stereo. Fascynujące. Powinniśmy chyba dokupić jeszcze trochę tego towaru, co? Dealer wyszedł? Jedźmy do Brentwood. Tak, to prawda, że tamten dealer ma na ogół gówniany towar, ale za to niedrogi i zawsze kogoś u niego można zastać...

- Czy przypadkiem nie krwawią mi dziąsła? Wydaje mi się, że tak. Nie wiem, w jaki sposób, ale musiałem się chyba skaleczyć przy mówieniu. Spróbujmy zorganizować trochę ludes*, bo zaczynam się czuć bardzo... nieszczęśliwy. No, może nie tak dosłownie nieszczęśliwy, a tylko wolałbym być teraz gdzie indziej, ale sam nie wiem gdzie... Jedźmy do Brentwood. Pieprzę to wszystko. Po prostu jedźmy do Brentwood. Zostaw tutaj samochód, a ja cię później odwiozę. Ile mamy jeszcze kokainy? Cholera, jedźmy do Brentwood. Boże, po co ja piłem ten sok z kielków pszenicy? Czuję się okropnie. Cholera, powinni dołączyć instrukcję do tej zdrowej żywności. Wszystko zjedzone w nadmiarze jest niezdrowe, nawet zdrowa żywność. Zresztą, co tu mówić o nadmiarze. To chyba jest niezdrowe nawet w umiarkowanych ilościach. Czy coś zielonego w ogóle może być zdrowe? Uuuuch! Daj jeszcze trochę koki. Weźmy tę ostatnią działkę, żebyśmy mogli wejść do samochodu i dotrzeć do następnego postoju...

* Ludes - slangowa nazwa jednego z leków psychotropowych, używanych przez narkomanów do odurzania się.

- Co się z tobą dzieje? Jesteś strasznie spięty. Dobrze się czujesz? Boże, która godzina? Wiesz, czasami jestem okropnie zdenerwowany i nie mam pojęcia dlaczego. Słyszałem kiedyś taki zwrot „lęk endogeny”. To chyba musi być to, co teraz czuję. Bo przecież nie ma żadnego powodu, żebym był taki rozdygotany. Dobrze mi z tobą. To znaczy było mi z tobą dobrze. Przepraszam, że tak dużo gadam. Nie wiem, to chyba ta noc. Boże, co za noc. Jezu, skąd ten facet się tutaj wziął? O mało go nie przejechałem. Jezu! Dobra, dobra, już zwalniam. Sam nie wiem, jak to się stało. Jakoś doszedłem do stu dziesięciu kilometrów na godzinę. O Jezu. Lepiej weźmy resztę tego towaru, tak na wszelki wypadek. Mogą nas zatrzymać. Co zrobiłeś? Już dmuchnąłeś? Wszystko zgarnąłeś sam? O Boże. Człowieku, po co ja to zrobiłem? Dlaczego brałem całą tę kokainę? Nienawidzę siebie. Teraz nie dość, że po tym soku boli mnie żołądek, to jeszcze ta pieprzona kokaina. Ciekawe, czy ta dziewczyna w czarnej sukience jest jeszcze... Już jesteśmy, to ten dom. Tak się teraz głupio czuję. Dlaczego to zrobiłem? Nie, nie zrobiłem nic głupiego. To pewnie ta koka. Trochę jednak piekła. Teraz załatwimy lepszy towar. Mam nadzieję, że on ma lepszy towar. Mam nadzieję, że w ogóle ma towar. Może ma ludesi Wiesz, gdybym mógł... Chyba jestem w nastroju na podwójną dawkę ludes. O co ci chodzi? Że gadam do siebie? Jasne, że gadam do siebie. Nie mogę przecież rozmawiać z tobą. Cóż mogę mieć wspólnego z facetem, który pisze artykuły o sprzęcie stereo? O Jezu...

- Dobra, wejdźmy. Wejdziemy do środka. Ile mam forsy? Sto dziesięć dolców. Sto dziesięć dolców to całkiem niezła sumka. Gdyby wziął czek, to w ogóle nie byłoby sprawy. Chociaż wolałbym tego nie robić. A co będzie, jeśli oni... Alex. To ja, Alex!

Co on, do cholery, głuchy?

- Cześć, stary. Jak leci? Tak, wiem, że jest późno, ale właśnie tędy przejeżdżaliśmy i... Znasz Steve'a, co? Tak. Możemy

wejść? Dzięki. Masz trochę koki? Tak z pół grama? Co chcesz przez to powiedzieć? Myślałem, że jesteś dealerem. Nie możesz zdobyć trochę więcej?

O, cholera. Cholera!

- To może masz trochę ludes albo coś w tym rodzaju? Naprawdę jestem strasznie rozdygotany. Boże, jaki jestem roztrzęsiony. Dobra, dawaj te pół grama i zobacz, czy... Nieważne, co. Cokolwiek masz. Daj mi, co tylko masz. I Steve też chce cokolwiek. Co się znajdzie.

Do diabła, dlaczego to zrobiłem? Wezmę te pół grama i pomyślę, co dalej robić. Muszę się uspokoić... Nie chcę być z tymi ludźmi. Kim w ogóle są ci ludzie? Brzydzą się nimi. Popatrz tylko na tego faceta. Na jego skórę. Boże, to dość, aby doprowadzić człowieka do szaleństwa. Co to jest? Tam, na podłodze. Pluskwa? Przyjrzyj się dobrze temu miejscu. Boże, co to za melina. Co za żalonna melina.

Słyszę kogoś. Czemu zawsze słyszę jakieś głosy? Zaraz, zaraz, masz przecież kokę. Po prostu się uspokój. Po co to całe zamieszanie? Uspokój się. Boże, to niewiarygodne. Nie będę w stanie kierować. Mam ochotę wykopać dziurę w tym dywanie. O, Jezu. O, Jezu.

Chyba słońce wschodzi. Nie, to pewnie tylko... Tak, to lampa uliczna. Mam tylko nadzieję, że nie wylecą te ptaki. Zabiję się, tak na pewno się zabiję, jeśli wylecą te pieprzone ptaki. Muszę zdobyć ludes, po prostu muszę mieć porcję ludes, żeby się trochę uspokoić. Powinienem chyba przeszukać jego apteczkę, ale on jest dealerem, to pewnie sprytnie wszystko pochował.

- Czy mogę skorzystać z łazienki?

Brzydzą się tym facetem. Zobaczmy, co on tam ma. Anacin. Afrin. Actifed. Lomotil - jasne, on przecież musi bez przerwy mieć sraczkę po tym środku przeczyszczającym dla niemowląt, którego dodaje do swojego towaru. Percodan! o, Jezu! Dwa. Dwa to zwykle za mało, ale pieprzę to. Dobre i dwa. Biorę. Endo 333*. Ooo, to mój ulubiony. Lepiej spuszczyć wodę, żeby

nie słyszeli, że zamykam tę szafkę. Aaaach, jak dobrze. Będzie dobrze. Wziąłem tyle koki, że dwa percodany są przy tym całkiem bez znaczenia. Może powinienem się postarać o odrobinę zdrowego żarcia... Jutro naprawdę...

To jest to, bracie. To właśnie to. Będę o tym pamiętał. Zawsze będę o tym pamiętał. O tym, że teraz siedzę tutaj w Brentwood, z dwoma przegranymi facetami, z którymi nie mam nic wspólnego, że biorę narkotyki i staram się prowadzić rozmowę. Mógłbym się zabić, tak bardzo brzydzę się swoim życiem.

Nigdy nie poczuję tego percodanu. Do diabła, może jednak znajdzie się tutaj trochę ludes. Proszę, niech on ma chociaż troszeczkę ludes.

- O, chłopie, po pójściu do klopa czuję się trochę lepiej. Słuchaj stary, może jednak masz trochę ludes albo czegoś w tym rodzaju? Wiem, że już cię o to pytałem, ale miałem dzisiaj bardzo napięty dzień. Wypiłem trochę zepsutego soku z kielków pszenicy i... Nie wiem, może to zapisane w gwiazdach, ale...

- Ecstasy**? Nie, nie słyszałem o tym. Tak, racja, któż by nie słyszał. Przecież nie mamy do czynienia z dziewczynami. Naprawdę? Po prostu wprowadza w dobry nastrój? Świetnie, daj trochę. Dobry nastrój, mówisz? Wspaniale. Nie, nie, jestem w dobrym nastroju, tylko zbyt intensywnym. Nie, weźmy może... Daj mi taką jedną tabletkę. Przepraszam, nie chciałem tak zachłannie. Świetnie! Duże są, co? Masz coś do popicia? Może tequile albo coś podobnego? Piwo? Niech będzie piwo. Doskonale. A więc, kiedy poczuję kopa? Nie, po tym soku po południu już nic. Naprawdę? Tak szybko? Co w tym jest? Słyszałem, że heroina. Nie w tym? W porządku. To jedyna rzecz, której nie chciałbym brać. Tak, raz trochę wdychałem, ale w kanał nigdy bym sobie nie strzelił. Myślę, że właśnie wtedy człowiek staje się narkomanem, a ja mam swoje zasady.

Nagle zrobiło mi się niedobrze. To pewnie ten sok.

* Endo 333 - środek przeciwbólowy, zawiera oksykodon. " Ecstasy - narkotyk „autorski”, środek halucynogeny.

- Wiesz, miło tu u ciebie. Nigdy przedtem nie zauważyłem, że masz takie przyjemne mieszkanie. Jakieś takie sympatyczne. Nie wiem, czy to odpowiednie słowo do opisanego wnętrza, ale wydaje się takie... przyjazne. Szczególnie jak na dom dealera. Co to za muzyka? Jest fantastyczna. Naprawdę? Nie znosiłem Led Zeppelin. A to jest ciekawe, bardzo ciekawe. Czy masz coś przeciwko temu, żebym się położył przy głośnikach? Daj mi może poduszkę albo coś w tym rodzaju.

Boże! Czuję, że robię z siebie idiotę. Nawet nie znam tych facetów, a już ich kocham. Pewnie przez te narkotyki, chociaż to wcale na narkotyki nie wygląda. Może percodan. Wiem, że to niedobrze mieszać tyle różnych narkotyków, ale ta mieszanka wydaje się niezła. Może właśnie odkryłem odpowiedni zestaw? Może od tej chwili powinienem brać tylko trochę kokainy, potem ze dwa percodany, dalej ecstazy, a na koniec słuchać Led Zeppelin. To będzie mój przepis. Kiedy będę grzecznym chłopcem, tak jak teraz byłem przez jakiś czas. Byłem trzeźwy... To znaczy, piłem, ale tego nie liczę. Kiedy przez pewien czas będę trzeźwy, a potem doprowadzę się do takiego potwornego rozdygotania jak dziś, to po prostu odszukam tych facetów, aby przy nich uwolnić się od napięcia. Kocham ich.

Oczywiście wcale nie chcę się z nimi kochać, chociaż ta myśl nie jest dla mnie tak całkiem odpychająca. Steve, mimo że ma okropną skórę, jest świetnym facetem i dupę ma jak dziewczyna. Nigdy przedtem nie zwróciłem na to uwagi. Taki jestem szczęśliwy. Chyba rzeczywiście udało mi się odwrócić swój nastrój o sto osiemdziesiąt stopni.

- Steve, nigdy mnie nie opuszczaj. Ludzie, nie wyobrażam sobie życia bez was. Nigdy.

Chciałbym się jakoś z nimi zjednoczyć. Chciałbym pokazać im, co czuję. Może to jednak przesada. Tak, po prostu powinienem bardziej skupić się na muzyce. Ta dziewczyna na przyjęciu, ubrana na czarno... Teraz nawet to przyjęcie wydaje

mi się całkiem sympatyczne. Może powinniśmy... Nie, musiałbym się wtedy ruszyć. Ale mógłbym chyba zadzwonić i poprosić, żeby przysłali mi tutaj tę dziewczynę. Tak, to naprawdę byłoby doskonałe.

Czuję, że ja i cały świat to jedno. Pamiętam, jak kiedyś brałem kwasy i wziąłem kawałek tekturki z niewłaściwego końca. I takie uczucie nigdy nie nadeszło. Może to jest podobne do kwasów. Tylko że to nie zniekształca rzeczywistości. Sprawia jedynie, że jest sympatyczniejsza. Przyjemniej w niej być. Może powinienem pomalować w ten sposób swoje mieszkanie?

Ciągle jednak boli mnie nos. Chyba już nigdy nie powinienem brać kokainy. Tak, od tej chwili będę brał tylko ecstazy. I to czasami. To chyba jest dla mnie najlepsze. Przecież ecstazy dopiero niedawno stała się nielegalna, więc chyba nie może być aż taka zła? Tak naprawdę nie powiedzieli nawet, że jest zła. Po prostu sami do końca nie wiedzą, jak to na ciebie działa.

Jak mogłem nie odkryć tego wcześniej? Taki jestem szczęśliwy. Chyba mógłbym zadzwonić do tamtego mieszkania i poprosić o przysłanie dziewczyny. Jak ona się nazywała? Nie, może po prostu... Czy to niegrzecznie walić konia u kogoś w domu? Chyba wstanę i...

- Nie, nie, chłopie. Wszystko w porządku. Chciałem tylko wziąć twoją puszkę. Co? Wąchałem heroinę, ale to nie znaczy, że bym strzelił. Co mówisz? Zrobiłbyś to za mnie? Tak, to by się chyba nie liczyło, co? Ale nie musiałbym... I strzeliłbyś mi tylko troszeczkę, dobrze?

To by mi pewnie nie zaszkodziło. Heroina to przecież naturalny narkotyk. Chociaż, sam nie wiem. Wszystko jest takie dziwne.

- Nie mógłbyś zrobić mi nic złego, prawda? Masz taki cudowny wyraz twarzy. Dobra. Jasne, że ci ufam. Ale strzel tylko odrobinę. A ty, Steve, odwieziesz nas z powrotem,

dobrze? Po tym wszystkim mógłbym po prostu roztrzaskać się o ten dom. Po męsku zabrzmiało, co? Lubię Brentwood.

Niewiarygodne. Podwiązuję kanał. To takie dziwne. Nigdy nie przypuszczałem, że to zrobię. Ale zrobię to tylko raz.

- Dobra.

Och, mój Boże! Teraz wszystko rozumiem. To takie wspaniałe. Takie intensywne. Tak intensywnie wspaniałe. Porażające. Wydaje dźwięk jak kaszka śniadaniowa, ale z całą pewnością nie przypomina jej w dotyku. Cholera, kocham to uczucie. Jest jak spływ Nilem we własnym mózgu. Podmorskie nurkowanie we własnej głowie. Na tym chyba polega dobre samopoczucie.

Czy coś takiego może zrobić ze mnie nałogowca? Nie, po prostu dzisiaj świętuję. Ach, co za wspaniała noc.

Nigdy więcej nie wezmę kokainy. Może trochę ecstazy, trochę heroiny, ale nigdy więcej kokainy. I od jutra zaczynam gimnastykę, ćwiczenia na rowerze treningowym. Może już jutro po południu. Żałuję, że piłem ten sok z kielków pszenicy. Jakoś mnie mdli.

- Oooo, stary, przepraszam. Posprzątam to.

Boże, w życiu nie rzygało mi się tak łatwo. Chciałbym zawsze wymiotować w ten sposób. To było prawie przyjemne.

- Jasne, weź mój samochód. Poczekam tutaj. Ja po prostu - będę... tu...

Co za miłe, sympatyczne mieszkanie. Uważam, że wszyscy ludzie powinni się nawzajem kochać. Tak właśnie myślę. Nie wiem, kiedy ostatnio czułem się taki odprężony. Chyba nigdy nie byłem naprawdę spokojny. Nareszcie udało mi się rozluźnić. Czuję się tak, jakby Jezus wsunął mnie do kieszeni swej szaty i szedł za mną poprzez rozległe morskie przestrzenie.

Moi rodzice byli naprawdę fantastyczni, że dali mi życie. To jest po prostu... wszystko. Zmięknę, złagodniałem, zęby mi się stepiły. Dlatego właśnie ludzie to biorą. Nie byłoby wcale tak źle umrzeć z powodu dobrej heroiny. Nie miałbym nic

przeciwko temu, żeby żyć jeszcze tylko dwa tygodnie, a potem umrzeć, pod warunkiem, że przez te dwa tygodnie czułbym się tak jak teraz. Chociaż znacznie lepiej byłoby przeżyć wiele takich lat. Nie sądzę nawet, by heroinę można nazwać narkotykiem. To po prostu reakcja na otoczenie, w jakim żyjemy.

Ciekawe, co teraz robi studentka sztuk pięknych z tamtego przyjęcia. Miała takie miękkie, jedwabiste włosy. Tak bardzo interesowała się wszystkim, jakby tu i teraz były dokładnie tym miejscem i czasem, w którym chciała się znaleźć. Teraz już wiem, co ona czuje. To naprawdę niezwykle.

Gdyby znalazła się tutaj, byliśmyby jak Adam i Ewa. Zamienilibyśmy to mieszkanie w rajski ogród. Gdziekolwiek byśmy się znaleźli, tam byłby raj. Wtedy na pewno dogadałbym się z własnym sercem. To tylko kwestia spotkania odpowiedniej osoby. Gdyby była teraz tutaj, po prostu bym ją objął i trzymałbym ją tak, jakbyśmy byli bliźniętami, które tu, w tym mieszkaniu w Brentwood, czekają na własne narodziny.

To chyba ona jest moją bratnią duszą. Co będzie, jeśli natknąłem się na swoją bratnią duszę i już nigdy więcej jej nie zobaczę? Ale spotkaliśmy się kiedyś w przestrzeni astralnej. Całowaliśmy się tam. Lataliśmy tam razem, a teraz ja lecę do niej. Jeśli jest moją bratnią duszą, w co szczerze wierzę, to spotkamy się znowu. Zawsze się spotykamy. Właściwie nie ma czegoś takiego jak spotkania bratnich dusz. One zawsze są razem, nic ich nie może rozdzielić.

Będziemy mieć dziecko i wychowamy je na heroinie, żeby miało szczęśliwe dzieciństwo. Kupię jej mnóstwo czarnych bluzek i swetrów. A ona będzie grała na bębnach w klubie jazzowym w East Village, podczas gdy ja będę recytował poezję strumienia świadomości, którą każdy uważa za wspaniałą i niezwykle inteligentną. Bo ja taki jestem. Inteligentny i wspaniały. Jestem wszystkim.

Czasami zastanawiam się, czy naprawdę jestem Jezusem, ale jeszcze tego nie rozstrzygnąłem.

Ciekawe, jakie oczy miał Jezus. I czy nosił okulary.

Miał najpiękniejszą twarz...

RS

SUZANNE I ALEX

Dzień szesnasty

Przywieźli dzisiaj nowego faceta, Alexa. Jest bardzo przystojny, w typie Heathcliffa. Godzinę temu miał atak serca. Nie widziałam tego, ale Sam mówił, że wyglądało to zdumiewająco.

Carl zdradził mi, że Sam siedział w więzieniu za gwałt. Niby przypadkiem zapytałam o to Sama, który wyjaśnił, że został wrobiony, bo tak naprawdę był winny jego kumpel. Zapytałam go jeszcze, czym się zajmował w więzieniu, a on odparł, że był drobnym spekulantem. Sprzedawał bilety na koncerty jednego z moich byłych chłopaków. Powiedział to w taki sposób, jakby chciał wyrazić mniej więcej: „Co za dziwny zbieg okoliczności, że w końcu się spotkaliśmy”. Sam brzydzi się homoseksualistami i dlatego nienawidzi Barta. Nazywa go „Barf”.

Wanda przyznała mi się, że przed stosunkiem lubi być związana. Uwielbia też, gdy mężczyzna zdiera z niej ubranie. Powiedziała, że to naprawdę ją uszczęśliwia. Nie wiem, co mnie uszczęśliwia, ale raczej nie to.

... Ten pieprzony idiota Steve! Skąd on wytrasnął numer telefonu moich rodziców? A jak oni mogli wpakować mnie do kliniki dla narkomanów? To oburzające.

A więc przedawkowałem.

Tak, oczywiście, że przedawkowałem. Nigdy przedtem nie wstrzykiwałem heroiny. Obiecałem im, że nigdy już tego nie zrobię. Byłem na ecstasy i myślałem, że wszystko będzie w porządku. Po prostu z powodu ecstasy i percodanu byłem bardziej podatny na heroinę. Więc już więcej nie będę brał ecstasy. Wziąłem ecstasy wyłącznie dlatego, że dealer nie miał ludes. Muszę się stąd wydostać.

Jak mogło mi się to przytrafić? Jak mogło przydarzyć mi się coś takiego? Jestem tu razem z narkomanami. To takie

upokarzające. Ciągłe im powtarzam, że nie jestem ćpunem, ale tylko się ze mnie śmieją. Narkotyki jako takie nie są dla mnie żadnym problemem. Problem spowodowały te dwa narkotyki, które sprawiły, że wziąłem ten trzeci. Mam nadzieję, że nie powiedzą o tym Joan.

Detoksykacja! Heroinę wziąłem tylko raz, więc z czego mnie będą odtruwać? Moja matka, o Boże, była taka zdenerwowana. Mówiła coś o głodzie alkoholowym, ale ja przecież nie piłem. No, zgoda, piłem codziennie, ale nie tak dużo, jak oni sugerują. Nie mogę być alkoholikiem. To idiotyczne. Mam dwadzieścia dziewięć lat.

A oni spodziewają się po mnie, że będę chodził na te ich spotkania Anonimowych Alkoholików. Nie lubię grup. Chcę być sam. Z natury jestem samotnikiem. Nie mogę sobie nawet wyobrazić tej całej hołoty, którą się tam spotyka. Greg Friedman cały czas tam chodził, ale musiał przestać. Oświadczył, że z połową tych ludzi nigdy w życiu nie brałby narkotyków, więc jak można oczekiwać, że z nimi nauczy się być trzeźwy? Zatrul się kokainą na śmierć, ale mu ufałem.

Tylko mięczaki potrzebują do tego grupy ludzi. Zrób to sam! To prywatna sprawa. Gównno. Nie będę się zajmował prywatnymi sprawami w miejscu publicznym. Nie chcę, żeby ktoś patrzył mi w oczy i przez cały czas gadał o narkotykach. To po prostu bez sensu. I co dalej? Rzucisz narkotyki, a potem przytrafi ci się coś innego i też umrzesz. Ja chcę umrzeć z powodu narkotyków. Gdybym zamierzał robić coś, co skończy się śmiercią, chciałbym robić właśnie to. Co wcale nie oznacza, że zamierzam. Uważam, że uczymy się na błędach. Jesteś człowiekiem, więc musisz czasem trochę upaść. Na tym się uczysz. Ból to dojrzewanie.

Gdybym miał trochę koki...

Dzień siedemnasty

Dzisiaj uświadomiłam sobie nagle, że wszyscy ludzie, którzy kiedykolwiek zrobili na mnie wielkie wrażenie, nie poradzili

sobie z nałogiem. Marilyn Monroe, Judy Garland, Montgomery Clift, Lenny Bruce, Janis Joplin, John Belushi. Sama konieczność Radzenia Sobie Z Tym nie czyni z ciebie Marilyn Monroe, lecz mnie jednak kojarzy się z nią.

W naszej kulturze wszyscy ci ludzie są bohaterami. Coś w tym musi być - jakieś przesłanie, że zabijanie się w ten sposób nie może być aż takie złe. Przecież robią to wszyscy ciekawi ludzie. Właśnie ci wyjątkowi. To jest naprawdę niesamowite przesłanie. Ludzie, których podziwiałam lub podziwiam - pisarze, aktorzy - są w znakomitej większości alkoholikami, narkomanami albo mają skłonności samobójcze. To naprawdę groteskowe. I tak się składa, że ja sama zapisałam się teraz do tego klubu. Jest to jedyna rzecz, której się tutaj trzymam. Hura, nareszcie nadałam za ostatnimi trendami w kulturze, całkiem tak jak ci umarli.

Romantyzm zaćpanych na śmierć.

... Suzanne Vale przebywa na oddziale. Niewiarygodne. Nigdy nie przypuszczałam, że jest narkomanką. Wydaje się troszkę pulchna, ale z całą pewnością pociągająca.

To takie Nie Na Czasie. Nie chciałem przez to powiedzieć, że wszystko koniecznie musi być na czasie. Dla niektórych ludzi to pewnie jest dobre, ale... Spójrz tylko na nich. Z nikim, oprócz Suzanne, nie mam nic wspólnego. Ona siedzi tu już od kilku tygodni. Sprawia wrażenie dopasowanej do tego miejsca, ale to przecież aktorka. Aktorki mogą przybrać niemal dowolny wygląd. Głównie z nią zamierzam rozmawiać. Byłoby wspaniale, gdybyśmy zakochali się w sobie. Gdybym wrócił z kliniki odwykowej z Suzanne Vale, to dopiero bym wszystkim pokazał.

Jeżu, ten czarny facet jest okropny! Jeśli się nie zamknie, to w nocy przycisnę mu głowę poduszką. Jak mogą tu przyjmować takich ludzi jak on i trzymać razem z takimi jak ja? Powinny być różne kliniki - jedna dla dupków, a druga dla ludzi z problemem narkotykowym, którzy jednak dupkami nie są. Ja

oczywiście żadnego problemu narkotykowego nie mam, ale ponieważ przyjdzie mi spędzić tutaj miesiąc, będzie lepiej, jeśli zrobię, co każą. Powiem im po prostu, że jestem uzależniony, bo chyba tylko w ten sposób będę mógł się stąd wydostać. A poza tym, jeśli to jest dobre dla Suzanne Vale, będzie dobre także dla mnie.

Ona ma fantastyczne poczucie humoru. W takim miejscu właśnie tego człowiekowi potrzeba. Jestem zdumiony, że ludzie jej pokroju w ogóle mogą być narkomanami. Kiedy słyszysz, że ktoś sławny przedawkował, zawsze wydaje ci się zabawne, że on to zrobił. Przyjmujesz to jak część ich mitu. Jeśli zdarza się to komuś, kto robi filmy, masz wrażenie, że to tylko film. Gdybym to ja, na przykład, przedawkował, nie byłoby to całkiem to samo. Chociaż wolałbym myśleć, że tak. Chciałbym uważać, że ja też przedawkowałem w sposób bohaterski. Nie miałbym nic przeciwko przedawkowaniu, gdybym był Suzanne Vale.

Może pójdę posiedzieć z nią w parku. Tylko że ona ciągle gada z tym czarnym, a raczej - słucha go. Boże, kiedy on zaczyna nawijać, chce mi się po prostu uciekać z pokoju. Mówi tak, jakby nałykał się helu, co sprawia, że głos staje się głęboki i dudniący. I na dodatek on ciągle gada i gada, i gada. O, Jezu!

Jak ona może chodzić na te spotkania Anonimowych Alkoholików? Rozumiem, że robią to biedni. Oni nie mają gdzie iść ani co ze sobą zrobić, ale... Naprawdę nie mam pojęcia, jak to w ogóle możliwe, że oni nawzajem znoszą swoje towarzystwo. Nie pójdę na żadne spotkanie AA, no chyba że pozwolą mi siedzieć obok Suzanne. Nawet jeszcze z nią nie rozmawiałem. Chciałbym sprawić wrażenie chłodnego i opanowanego, żeby nasze poznanie się przebiegło w sposób naturalny. Nie, wcale nie zamierzam szczególnie o nią zabiegać ani też silić się na jakieś wyszukane podstępny. Chodzi o to, że ci sławni nie lubią, kiedy stajesz się zbyt obcesowy. To ich od ciebie odrzuca.

Myślę jednak, że mogłaby mnie polubić. Sprawia wrażenie przyjaźnie nastawionej do świata i zachowuje się tak, jakby chciała, żeby wszyscy ją lubili, co samo w sobie może stać się naprawdę uciążliwe. Gdybyśmy byli razem, musiałyby z tym skończyć, gdyż ja po prostu nie mógłbym tego znieść. Nie, nie jestem zazdrośnikiem, ale to byłoby irytujące. Musiałyby zrozumieć, że wolałbym być tym najważniejszym.

Możliwe, że jeśli chodzi o branie narkotyków, oszukiwałem trochę samego siebie. Dobra, zgadzam się. Brałem za dużo. Ale z pewnością nie oczekują ode mnie, że przestanę pić. Rzucę kokainę.

To nie takie trudne. Kiedyś już ją rzucałem. Wielokrotnie ją rzucałem. Ale co będzie, jeśli pójde na przyjęcie, a tam ktoś wzniesie toast za czyjeś zdrowie lampką szampana? Albo mój brat się ożeni? Chyba nie oczekują, że będę pił zdrowie brata szampanem bezalkoholowym? W żadnym wypadku! To nic, że on ma dopiero czternaście lat. Tak czy inaczej, nie mogą żądać, żebym wyrzekł się wszystkiego.

Ta kobieta, która nagle pochyla głowę, Julie, twierdzi, że niepotrzebnie upieram się przy wyszukiwaniu różnic między mną a resztą grupy. Powinienem raczej skupić się na podobieństwach. Spójrz na nią. Ona notorycznie się przejada. Ja nie chcę tego robić. Boże, kiedy to się skończy? Czy liczą na to, że rzucę także wino? To absurdalne. Cała ta terapia jest absurdalna. I cała ta grupa. Ten tłusty dupek, Sid, powiedział, że gdyby nie istniały narkotyki, to byłbym alkoholiczkiem. To jest absurdalne, a zresztą, narkotyki są. Cholera, teraz ja.

- Ja? Tak, nazywam się Alex. Naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć. Uhm... Jestem tutaj... Dlaczego jestem tutaj? Jestem tutaj, bo... Dobra, pewnej nocy w Brentwood wzięłem wielkie ilości narkotyków, a potem miałem problem... Okazało się, że niektórych narkotyków nie toleruję. Jestem uczulony... Nigdy... Wzięłem wtedy trochę heroiny, a nigdy dotąd jej nie brałem i...

Boże, Suzanne pomyśli, że jestem kompletnym oferumą. Za chwilę kolej na nią, a ona od razu powie, że jest narkomanką. Może ja też powinienem tak powiedzieć. Może tu przede wszystkim o to chodzi.

- ... No cóż, tak, chyba można tak to określić. Mam problem z narkotykami. Piję, to fakt, ale najpierw muszę dowiedzieć się czegoś więcej, żeby z pełnym przekonaniem stwierdzić, że alkohol stał się dla mnie problemem.

Dobrze zabrzmiało. Naprawdę dobrze.

- Zdaję sobie sprawę, że mam tendencję do nadużywania narkotyków. Przedawkowałem. Na pewno chciałbym się dowiedzieć, jak można okiełznać ten nadmierny apetyt. Cieszę się, że tutaj jestem. No, nie, nie całkiem tak. Nie cieszę się, że jestem w klinice odwykowej, ale skoro już tu jestem, to zamierzam wykorzystać ten pobyt z pożytkiem.

Doskonale zabrzmiało. Chłodno i po męsku. Patrzyła prosto na mnie. Myślę, że mnie lubi. Na pewno zauważyła, że jestem otwarty i chociaż jestem mężczyzną, to potrafię być wrażliwy i świadomy własnych odczuć. Musi uszanować to, przez co przechodzę. Na początku byłem trochę chaotyczny, chyba tak.

ale ogólnie wyrażałem się jasno i zwięźle. Zdaje się, że uchwyciłem... Dobrze, zmierzmy się z tym. Jest coś romantycznego w popieprzonym facecie. Co nie znaczy, że jestem popieprzony, ale jednak znalazłem się w popieprzonym miejscu.

Myślę, że klinice przyniosłoby to wielki rozgłos, gdyby wyszło na jaw, że właśnie tutaj Suzanne Vale poznała tego świetnego scenarzystę telewizyjnego. A samej Suzanne pomogłoby podreperować nadszarpniętą opinię. Gdyby była znana jako ktoś, kto spotyka się z pisarzem, stałaby się bardziej wiarygodna.

Ona jest taka zabawna i ma takie wielkie oczy. Czemu ten osioł, terapeuta Stan, kłóci się z nią o to, że używa swojego humoru jako broni. „Przyjaźnie wrogiej broni”. Jesteśmy tu z

powodu narkotyków, a nie po to, żeby nam rozkładać osobowość na czynniki pierwsze. Niech lepiej nikt nie próbuje robić tego ze mną, bo mu przyłożę. Oni po prostu zazdroszczą, ponieważ muszą siedzieć w tej klinice przez cały czas, natomiast Suzanne pewnie wkrótce ją opuści i zrobi film dla telewizji o swoim pobycie na oddziale odwykowym. Może ja napiszę do niego scenariusz. Tak, cała ta przygoda może się nawet opłacić.

Ciekawe, czy w tej klinice wolno się pieprzyć...

Dzień osiemnasty

Sid uzyskał dziś dyplom absolwenta kliniki odwykowej. Z tej okazji odbyła się tutaj mała uroczystość pożegnalna. Sid, jak małe dziecko po detoksykacji, został spuszczonej z powrotem na burzliwe wody teraźniejszości. Było to nawet trochę wzruszające, te wszystkie ćpyny siedzące w sali telewizyjnej na krzesłach ustawionych w jeden wspólny krąg. Podawaliśmy sobie monetę i każdy, kto ją trzymał, mówił Sidowi coś, co ten mógłby ze sobą zabrać na resztę życia - coś mądrego, jakieś słowa zachęty (albo przynajmniej się starał). Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc zaśpiewałam „I've Gotta Be Me”. Carol płakała.

Rzadko płaczę. Zachowuję uczucia dla siebie, jakbym miała jakiś niezwykły pomysł na to, co z nimi zrobić. Czekam na tę absolutnie doskonałą sytuację, a wtedy - trach! Wypełniona po brzegi mieszaniną subtelnych niuansów i tłumionych pasji wybucham nagle całą gamą odczuć i emocji - jak fajerwerk na pokazie sztucznych ogni. Jak dotąd jednak, nie pociągam nosem z powodu Sida.

Będzie mi brakowało tego, że trzymał moje stopy. Zwykle nie tęsknię do ludzi. Przede wszystkim brakuje mi tego, co robią:

Sposobu noszenia kapeluszy Sposobu ściskania moich stóp
Pamięć tego w mojej duszy Nie, nie ...

Ciekawe, czy kiedyś jeszcze będę umiała płakać i co wyzwoli we mnie taką umiejętność. Obraz Heathcliffa, który trzyma ciało

niedawno zmarłej Cathy i patrzy gdzieś przed siebie ponad wrzosowiskami? Wspomnienie o tym, że ojciec zapomniał o moich dwunastych urodzinach? A może - przypomniani pewnego dnia gdzieś na ulicy - przyjemność, jaką odczuwałam, kiedy Sid trzymał moje stopy?

Ten nowy, Alex, może i jest przystojny, ale wygląda na niezłego dupka.

- ... Jestem alkoholikiem. Jestem alkoholikiem.

Dlaczego każdy musi to powtarzać na głos i upokarzać się w ten sposób? Ja na przykład jestem także Lwem. Dlaczego nikt nie rozmawia ze mną o tym? Powinni skłonić nas do podkreślania tego, co w nas dobre, zamiast wywlekać z nas całą tę żołąć. Można nas trochę podbudować.

Zamierzam porozmawiać z Suzanne. Pewnie nawet moglibyśmy razem wybrać się na obiad. Chcę z nią pogadać...

A więc kim są ci wszyscy ludzie? Wanda jest niebrzydka, ale Sam powiedział mi, że próbowała się zabić. Nie lubię niedoszłych samobójców. Myślę, że to obnaża prawdziwą słabość - najpierw się dusić, a potem przedawkować w szpitalu. Skąd oni to wszystko o sobie nawzajem wiedzą? Czy tutaj każdy może przeglądać karty pacjentów w dowolnym momencie? Równie dobrze moglibyśmy rozsyłać okólniki. Boże, tutaj nie ma ani odrobiny prywatności...

Jest jedna rzecz, której nigdy nie próbowałam, a założę się, że działa - hipnoza. Myślę, że to jest klucz do sukcesu. Mógłbym także zacząć korzystać z sali gimnastycznej. Mam na myśli tę, do której już jestem zapisany. Tylko że nie bardzo lubię tam chodzić, bo zbierają się w niej same pedały. Może znajde przyjaciela i z nim będę ćwiczyć. I poddam się hipnozie. Jest mnóstwo rzeczy, które można robić, zanim się wylądjuje na spotkaniach AA. Nie zamierzam przez resztę życia być jednym z tych kretynów z AA.

Chyba że Suzanne się zdecyduje. Wydaje się otwarta na takie propozycje. Z nią wybrałbym się na takie spotkanie. Gdyby moi

przyjaciele dowiedzieli się, gdzie byłem, mógłbym im powiedzieć: Poszedłem tam z moją dziewczyną, Suzanne Vale.

Mam nadzieję, że nikt nie poinformuje Joan, że tu jestem. Miałyby tylko jedno do powiedzenia: Wiedziałam, że tak będzie. Już dawno to przewidziałam. Co za suka! Nie byłem naćpany tyle razy, ile jej się wydawało. Po prostu z natury jestem bardzo pobudliwy.

Chłopak, którego miała przede mną, też był ćpunem. Nie o to chodzi, że ja... On naprawdę był ćpunem. Ja lubiłem narkotyki, ale on był ćpunem. Joan zawsze chodzi z tymi, którzy biorą narkotyki, więc potrafi ich wybierać. Joan d'Nark, święta patronka uzależnionych. I za każdym razem, kiedy zrobiłem coś, co mogłoby mi pomóc, naśmiewała się ze mnie. Tak jak wtedy, gdy kupiłem sobie rower treningowy. Nazywała mnie „Pan Zdrówko” i upierała się, że nigdy w życiu nie będę na nim ćwiczył.

Nie mogłem jej dosłownie niczego powiedzieć. Pamiętam, jak pewnego razu wyczytałem, że puszki aluminiowe mogą być przyczyną choroby Alzheimera. Kiedy próbowałem ją ostrzec, skwitowała moją uwagę, mówiąc, że zaśmiecam organizm truciznami, a jej się czepiam z powodu dietetycznej wody sodowej.

Nie mogła znieść, kiedy się dobrze bawiłem. Gdy była ze mną, zawsze wyglądała tak, jakby spodziewała się, że wydarzy się coś dziwnego. Odwracała głowę, unosiła wysoko ramiona, jakby to, co zrobiłem, było rzeczywiście niesmaczne, wręcz obrzydliwe. A ja po prostu brałem narkotyki. Powinna zająć się sobą. Boże, co za ulga, że to się skończyło. Nareszcie mogę swobodnie oddychać. Och! Mam nadzieję, że ona się nie dowie, iż znalazłem się tutaj. To wszystko, czego mi trzeba. Ciągłe wydaje mi się, że słyszę, jak mówi, że przewidziała, czym to się skończy. „Wiedziałam o tym. Ble, ble, ble”.

Dlatego z Suzanne byłoby mi dobrze. Ona nie mogłaby wytykać mnie palcem, bo sama też tu w końcu trafiła. Joan

będzie zła i zawiedziona, kiedy dojdą ją słuchy, że chodzę z Suzanne. Chcę, żeby to się zaczęło bardzo powoli. Nie może być całkiem oczywiste. Nie sądzę, by Suzanne w ogóle zauważyła, że ją obserwuję. Nie siedzę przy niej podczas terapii ani przy jej stole podczas lunchu. Trzymam dystans, rozgrywam to na zimno. Myślę, że to bardzo dobra taktyka. Ona jest przyzwyczajona do ludzi, którzy się jej narzucają. Będę się trzymał z daleka i sprawiał wrażenie kogoś wrażliwego i trochę smutnego, aż w końcu ona sama do mnie podejdzie.

Może nawet to wszystko wyszło mi na dobre. Mam teraz lepszy pomysł na życie. Chcę związać się z Suzanne, wyprostować swoją karierę zawodową i oddać rodzicom wszystkie pieniądze, które od nich pożyczyłem przez te parę lat. Tak, to byłoby nie najgorsze. Ojciec przestałby na mnie patrzeć z pogardą, którą uważa za taką zabawną, a mama nie czepiałaby się mnie więcej. Może załatwię większe mieszkanie i...

Czuję się doskonale! To dobry moment, żeby usiąść i zastanowić się nad własnym życiem, żeby mocno uchwycić je w garść. Myślę, że powoli zaczynam realnie patrzeć na wiele spraw - chyba po raz pierwszy w życiu, jeśli mam być szczerzy. Kto wie, może nawet zajmę się polityką...

Dzień dziewiętnasty

Dzisiaj wieczorem pojawił się jeszcze jeden nowy facet. Zgłosił się osobiście, ale najpierw wpadł do baru w sąsiedztwie na kilka drinków. Kiedy tu przyszedł, był w doskonałym humorze. Nosił koszulkę w wesołe hawajskie wzory. Nazywa się Ted.

Kiedy się pochylał, aby podpisać kartę zgłoszenia, wypadła mu z kieszeni buteleczka na kokainę. Zmieszał się i roześmiał nerwowo, gdy udało mu się ją złapać. „Moja szczęśliwa buteleczka. Spójrzcie, łyżka jest zrobiona ręcznie. Z brązu” - powiedział. Lucille, moja ulubiona pielęgniarzka, wyjęła mu ją z ręki. „Piękna. Nigdy takiej nie widziałam” - zauważyła. Wtedy on zaczął jej opowiadać historię swojej łyżki, a Lucille słuchała

go z takim przejęciem, jakby to była najbardziej zajmująca historia łyżki do kokainy, jaką kiedykolwiek słyszała. Kiedy odprowadzała go do pokoju, Ted ciągle rozwodził się na temat kunsztu rzemieślniczego, z jakim wykonano tego łyżkę.

Carl obserwował ten incydent razem ze mną. Gdy już byli tak daleko, że nie mogli go usłyszeć, powiedział: „Każda łyżka do kokainy była dla mnie szczęśliwa, dopóki była pełna kokainy”. Uwielbiam Carla. Jest jak prezenter radiowy z piekła, gdy nie można zmienić stacji nadawczej. Ma na ludzi ogromny wpływ. Alex dosłownie się poci, kiedy Carl jest w pobliżu.

Mogę przysiąc, że Alex celowo na mnie nie patrzy. Nie zamienił ze mną jeszcze ani słowa. Jakoś nie wydaje mi się, bym coś traciła.

... Spójrz na Suzanne. Zachowuje się tak, jakby naprawdę wchodziła w całe to gówno, ale na pewno jest tak samo znudzona jak ja. Przejdzie przez to wszystko i mniej więcej za dwa miesiące będziemy razem w barze - ona i ja. Mogę się założyć.

Nikt chyba nie mógłby brać poważnie całej tej sytuacji. Przynajmniej nikt inteligentny ani porządny. W żaden sposób nie mogę się przekonać, że to jest właściwe rozwiązanie. Chodzę na te spotkania, więc tego, co czuję, nie można już nazwać „pogardą dla nie zbadanego”. Ja tam byłem. Greg miał rację. Oni są nudni i na dodatek ledwo można tam oddychać, bo wszyscy palą. Palą i piją kawę. Czy nikotyna i kofeina to nie narkotyki? I to narkotyki, które na pewno są szkodliwe.

Jeśli Julie jeszcze raz powie coś o szukaniu różnic zamiast podobieństw, to zacznę krzyczeć. Ja nie szukam różnic. Nie muszę ich szukać. Są oczywiste. Nie jestem podobny do tych ludzi. I moja sytuacja jest zupełnie inna.

Choćby Carl! Opowiedział w parku, jak wylądował w więzieniu - co za głupiec! Chyba nawet Suzanne to odrzuciło. Boże, a ten pieprzony człowiek Mansona, co nigdy z nikim nie rozmawia. Snuje się jak lunatyk. Wygląda tak, jakby w oczach

miał klej. Jezu, on zna Mansona. Co ja tutaj robię? Bezpieczniej byłoby urwać się stąd i brać narkotyki, niż siedzieć tu z tymi ludźmi i nie brać.

Jeśli ten cały Sam jeszcze raz podejdzie do mnie, obejmie mnie ramieniem i powie: „Bracie” - to złożę zażalenie. Ale do kogo? Do Julie? Ona używa tyle perfum, że chce mi się kichać. Mój nos ciągle jest podrażniony, reaguje na każdy pyłek, na wszystko. To alergia. Nie mogę przebywać z ludźmi, którzy używają perfum w nadmiarze. Co za koszmarn!

Carol jest w porządku. Myślę, że mnie polubiła, co nie może mi zaszkodzić, gdyż jej mąż jest jakimś wielkim agentem lub kimś podobnym. Mam nadzieję, że się we mnie nie zakochała. Nie chciałbym wybrać się do jej męża w interesach, a skończyć na wyjaśnieniach, dlaczego pieprzę jego żonę. To byłoby raczej ordynarne. Ona jednak jest w porządku. Ma rude włosy, ale nie swoje, farbowane. Pamiętam, że kiedy wszedłem tu w zeszłym tygodniu i zobaczyłem ją, pomyślałem: Nieprawdziwa rudowłosa.

Nie byłoby wcale źle wziąć się tutaj do jakiejś roboty. To jest przecież część życia. Nic ostatnio nie piszę, ale zamierzam zacząć nad czymś pracować. Jeśli chcę być z Suzanne, to powinienem móc dorównać jej finansowo. Nie będzie mnie przecież utrzymywać.

Cholera, to Sam. Człowieku, nie podchodź do mnie, nawet sobie nie wyobrażaj, że tu podejdiesz. Dobrze, idź sobie popatrzeć przez okno. Na rany Jezusa, konik. Co ja mogę mieć z nim wspólnego? Nawet nie sprzedawał biletów na koncerty, na które bym poszedł.

Szkoda, że nie umiem na czymś grać...

Dzień dwudziesty

Dzisiaj w parku Carl opowiedział nadzwyczajną historię o tym, jak to się stało, że wylądował w więzieniu. Zamierzał obrabować kino, poszedł więc do biura i wycelował broń w sekretarkę, a ona spokojnie mu wyjaśniła, że tylko szef, który

właśnie na chwilę wyszedł, zna szyfr umożliwiający otwarcie sejfu. Carl odparł na to, że poczeka. Wkrótce zjawił się bileter, który chciał się zobaczyć z sekretarką. Carl kazał mu zostać. Chwilę później pojawiła się dwójka dzieciaków. Szukali bilertera, ponieważ jego matka chciała go odwiedzić do domu i czekała na niego na dworze. One też zostały włączone do grupy. Potem nadeszła matka. W niedługim czasie w tym maleńkim biurze zebrano się około piętnastu osób i cała ta gromada gapiała się na Carla i jego broń. Carl mówił, że zrobiło się bardzo ciasno i gorąco.

Kiedy w końcu przyszedł szef, włączył się alarm. Zjawiła się policja, ale Carlowi jakoś udało się stamtąd wysliznąć i dopaść samochodu. Właśnie próbował ruszyć, kiedy policjant strzelił do niego. Kula przeleciała przez kędzierzawą czuprynę Carla, a ten narobił w gacie ze strachu. Musiał potem siedzieć w policyjnym samochodzie z gaciami pełnymi gówna, podczas gdy policjant spisywał raport. „Nie żartuj” - powiedziałam. „Cholera, bez względu na to, kim jesteś, sama byś się zesrała, gdyby ci kula przeleciała przez kudły”. Carl jest cudowny.

Rozmawiałam dzisiaj z moim agentem. Uważa, że powinnam zagrać w jakimś serialu telewizyjnym. Chciałabym robić coś, co wymagałoby pracy na okrągło. Trzymać swój mózg z daleka od niego samego. Wstawać naprawdę wcześniej rano, przez cały dzień zachowywać się jak ktoś inny, a w nocy zasypiać. Świetna prac dla mnie.

Zależność, co nie uzależnia.

... A więc wejdę i będę oglądać „The Outer Limits”, a potem może kawałek „Star Trek” przed tą zasaną terapią grupową. Wiem, że podczas terapii mamy sporządzić spis narkotyków, które braliśmy, ale niech nie liczą, że ja coś takiego napiszę. Cholera, wszyscy faceci siedzą i oglądają koszykówkę. Brzydzą się koszykówką. A oni gapią się na to i wydają z siebie te zasrane okrzyki prawdziwych samców. Guzik mnie obchodzi, czy to jest dogrywka, czy nie. Zawsze oglądaliśmy „The Outer

Limits". Taka była tradycja od początku istnienia tego miejsca. Muszę się stąd wydostać.

Suzanne siedzi w pokoju Carol. Dlaczego one zawsze trzymają się razem? Coś mi się zdaje, że Suzanne jest trochę snobką. Co ona sobie wyobraża? Że jest zbyt znana, by rozmawiać ze mną? Tak, wiem, ja też z nią nie rozmawiałem, ale widziałem, jak ona rozmawia z wieloma osobami na oddziale. Chyba nie jestem aż taki nieprzystępny i tak mało pociągający.

Julie trochę przyparła mnie do muru, kiedy powiedziała, że izoluję się od grupy. To nie ja się izoluję, to raczej oni mnie ignorują. Nie twierdzę, że robią to rozmyślnie, ale też nie można powiedzieć, że to się nie rzuca w oczy. Tak, określmy to w ten sposób.

Na czym mi znowu tak zależy? Poza oddziałem mam mnóstwo przyjaciół. Ale czemu ona po prostu nie podejdzie do mnie i nie zagada? Wczoraj słyszałem, jak rozmawiała przez telefon z agentem. Szkoda, że ona nie może podsłuchać mojej rozmowy o interesach, że nie może usłyszeć, jaki jestem wspaniały i jak świetnie poukładane jest moje życie. Wtedy na pewno podeszłyby do mnie i rozpoczęła rozmowę.

Tak! To jest to. Tak właśnie zrobię. Zadzwonię... Nie, nie zadzwonię do nikogo. Będę tylko udawał, że telefonuję do swojego agenta. Suzanne jest teraz w pokoju Carol, zaraz obok telefonu, więc z pewnością to usłyszy. Dobra, tak właśnie zrobię. To naprawdę świetny pomysł. Tylko co ja mu powiem? Już wiem. Że mam wspaniałą koncepcję filmu o oddziale dla narkomanów i że... Nie, nie mogę przecież wyjawiać całej fabuły. Po prostu rzucę sobie od niechcienia, że wpadłem na pomysł scenariusza. Tak, będę bardzo tajemniczy. Nie odkryję żadnych szczegółów. Tak, w porządku. Idę.

O, Chryste! Carl jest przy telefonie. Niewiarygodne, naprawdę niewiarygodne. Jezu, jak ja nienawidzę tego miejsca.

Pewnie gada z tą swoją tępą żoną. Zawsze użera się z nią przez telefon. Dlaczego ja muszę wiedzieć to wszystko o jego życiu?

- Hej, stary, długo jeszcze? Muszę zadzwonić w pewnej ważnej sprawie.

To naprawdę zabrzmiało doskonale. Mogę się założyć, że ona to usłyszała.

- Dzięki, bracie.

Po prostu wykręcę jakiś numer i powiem... Zaraz, zaraz, muszę wymyślić nazwisko. Jeff... Markoff.

- Z Jeffem Markoffem proszę. Alex Daniels. Poczekam... Jeff? Cześć, tu Alex. Przepraszam, że tak długo nie dzwoniłem.

Zabrzmiało świetnie. O, zbliża się. Wychodzi z pokoju. Dobra, dobra. Teraz od niechcenia odwróć się do niej plecami i przez ramię rzuć do słuchawki jakiś tekst.

- A zatem, Jeff, jeśli chodzi, chodzi o ten pomysł, którzy podrzuciliśmy Foxowi - myślę, że mogę już zrobić pierwszy szkic i... Tak, znakomicie. Próbowałeś się dodzwonić? Tak, tu jest zawsze zajęte. Zawsze ktoś telefonuje. Wiesz, jak to jest. Będę czekał na umowy. Ależ tak, dobrze, podpiszę je, kiedy stąd wyjdę. Oczywiście, że tak będzie dobrze. A co u ciebie? Jak leci? Doskonale. Wkrótce znowu się odezwę. Cześć.

Doskonale. Naprawdę doskonale. Przyglądała mi się. Wiem, że zrobiłem na niej wrażenie. Dobra, chyba wejdę do środka i popatrzę trochę na koszykówkę. Jestem teraz odrobinę spokojniejszy. Czuję, że udało mi się uczynić pierwszy krok. W tej chwili ona na pewno wie o mnie nieco więcej i doskonale zdaje sobie sprawę, że nie jestem jakimś zwykłym dupkiem z oddziału dla narkomanów. Tak, to była dobra robota. Odwaliłem kawał roboty, załatwiłem sprawę, zainwestowałem w przyszłość.

Czy to ona się tak śmieje? Ona ciągle się śmieje, bez przerwy się dobrze bawi. Już niedługo będzie się bawić ze mną...

Dzień dwudziesty pierwszy

Alex zrobił dziś coś naprawdę zdumiewającego. Carol i ja wychodziłyśmy właśnie z pokoju, a on stał przy automacie i rozmawiał bardzo głośno i bardzo dziwnie jak jakaś biała odmiana Carla. Mówił coś o Foxie, o wstępnych szkicach, a kiedy przechodziłam obok, wyraźnie słyszałam sygnał zajętości. Z trudem zdołałam powstrzymać się od śmiechu aż do chwili, gdy schowałam się za rogiem. Pewnie starał się nam zaimponować. Carol uważa, że on się we mnie zabujał. Pewnie tak. Jest dokładnie takim typem, jakie zwykle przyciągałam.

Carol i ja od pewnego czasu ćwiczymy każdego popołudnia. Ona ciągle mi opowiada, jak nieskazitelny i godny podziwu jest jej mąż i jacy są ze sobą szczęśliwi. W końcu nie wytrzymałam. „Ależ,

Carol, musi być z nim coś nie tak". „Pracuje po szesnaście godzin na dobę. Widuję go tylko późno w nocy. W niedzielę zostaje w domu i przegląda dokumenty" - dodała Carol, wzruszając ramionami. Aha.

... Co za kretyński film. „Hooked on a Line". Ale tytuł. I ten początek. Napisy, a pod nimi tancerz wciągnięty do czyjogoś nosa. Jezu! I jeszcze ci ludzie, ukryci w półcieniu, mówiący

o swoich kokainowych problemach. Mógłbym zrobić coś lepszego niż takie gówno. I pewnie zrobię, kiedy stąd wyjdę. Napiszę scenariusz do filmu o narkotykach. Naprawdę dobry. Pomogę wielu ludziom. Stanę się sławny.

Chryste! Kogo obchodzi ta dziewczyna, jej rodzina i ta ich kanapa w kwiatki? Sama ta kanapa w kwiatki to dość, aby oglądanie siedzących na niej doprowadziło cię do szaleństwa. Ja nie miałem takich problemów z powodu kokainy. Nie natknąłem się na facetów z bronią. Tak, wtedy w Las Vegas było w pokoju trochę broni, ale nikt nie latał za mną z pistoletem. Nigdy nie spotkałem nikogo podobnego do tych postaci z filmu. Poza tą młodą dziewczyną, wszyscy są starsi. Jak mogę odnieść to do siebie? Może tacy ludzie istnieją naprawdę, ale są straszni. Jeśli

chęć wzorować się na prawdziwych historiach, to niech znajdą coś ciekawego.

Na przykład moja historia jest znacznie lepsza niż ta. Nie to, że ja mam - tak jak oni - problem narkotykowy, ale po prostu niektóre z moich doświadczeń z narkotykami są na tyle ciekawe, że można o nich opowiadać w grupach terapeutycznych. Czasami myślę, że powinienem być liderem jakiego odłamu Anonimowych Kokainistów. Robić własne spotkania na temat kokainy i zapraszać na nie naprawdę nowoczesnych ludzi, podobnych do Suzanne albo Carol i jej męża.

Suzanne ciągle rozmawia z Carol. To ja powinienem siedzieć obok niej. Moglibyśmy pogadać o tym, jak bardzo nie podoba nam się ten film i o ile lepszy będzie nasz. Ciekawe, ile pieniędzy poszło na ten...

Dzień dwudziesty drugi

Sam i Julie pozarli się o coś dzisiaj i Sam wypadł z oddziału jak burza. Julie odezwała się do niego z typowym dla niej odcieniem wyższości w głosie, a on zaczerwienił się wtedy i nadał, jakby pompował jakiś niewidzialny balon. Prawdopodobnie powiedział jej coś takiego: „Jak śmiesz tak do mnie mówić?! Nie wiesz, kim jestem?” A Julie na to: - „Kim jesteś? Jesteś w klinice dla narkomanów, więc kim możesz być?”

Sam pognął do swojego pokoju i roztrzaskał o ścianę kilka obrazów. Wziął portfel i torebkę chrupek, a potem wyszedł ze szpitala. Julie zadzwoniła do żony Sama, Amy, i poinformowała ją, że może się go spodziewać. Ciekawe, czy się naćpała?

Carol, Ted i ja oglądaliśmy na trzydziestym czwartym kanale „The Incredible Mr. Limpet”. Wszyscy zgodziliśmy się, że ta praca Knotta jest naprawdę doskonała i byliśmy zdumieni, że nie będzie kontynuacji. Postanowiliśmy zapytać o prawo do rozpowszechniania tego filmu, kiedy stąd wyjdziemy.

Może powinnam mieć dziecko.

A gdybym tak się tym zajął? Wątpię, czy to zrobię, ale wiem, że byłbym lepszym terapeutą niż Stan. On odnosi się do wszystkich niesympatycznie. Uważam, że szczególnie uwziął się na mnie. Należałoby zatrudnić kogoś bez uprzedzeń.

Powinni tu mieć prawdziwego lekarza albo kogoś w tym rodzaju. Wolałbym być leczony przez specjalistę, a nie przez tych amatorów, których jedyne kwalifikacje wynikają z faktu, że osiem czy dziesięć lat temu brali kupę narkotyków, a przez te ostatnie osiem nie brali już wcale. To trochę mało.

Ciągle mi powtarzają, że sytuacja jest poważna. Jeśli naprawdę jest aż taka poważna, to dlaczego nie pracują tu lekarze? Nie dostajemy żadnych leków. Nie sądzę, by dbali tu o mnie we właściwy sposób. Nie wiem, czy cokolwiek z tego, co tutaj robię, jest dla mnie rzeczywiście dobre. Ciągle słucham o narkotykach, o których dotąd nie miałem pojęcia. To tak, jak wsadzanie złodziei z mordercami. Uczą się mordować. A ja się tu uczę, jak zostać narkomanem. Co będzie, jeśli kiedyś przyjdzie mi do głowy wyjść stąd i poszukać tych lodes, o których mówił Sid? Zanim się tutaj znalazłem, nie miałem o nich pojęcia.

Pieprzę ich. Jeśli będą mi powtarzać, że nigdy mi się nie uda zachować trzeźwości, to na pewno nawet nie podejmę się takiego wyzwania. Ja im pokażę. Zrobię to. Zrobię to bez nich. Czy naprawdę nie można tego dokonać bez chodzenia na te ich spotkania? Pieprzę ich. Raczej pójde do lekarza, niż miałbym być osądzany przez tych, którzy sami kiedyś brali ogromne ilości marihuany. Czym są te ich spotkania? No, czym? Nie mam najmniejszego zamiaru siedzieć w jednym pokoju z kupą alkoholików, pochłaniając kofeinę i paląc papierosy. Nie tak sobie wyobrażałem własne życie.

Wiem, że Stan coś do mnie ma. Coś osobistego. Wydaje mi się, że próbuje trzymać Suzanne z dala ode mnie. Chyba powiedzieli jej coś o mnie. Pieprzony Stan. A Julie z tymi swoimi sznurami pereł? Czasami po prostu chciałbym zedrzyć

jej te perły z szyi i patrzeć, jak podskakują wzdłuż korytarza. Perfumuje się tak mocno, że ten zapach mógłby powalić konia. Nie widzę najmniejszego sensu w rozmowie z tymi ludźmi, w oglądaniu tych głupich filmów z kwiecistą kanapą, wyrozumiałymi rodzicami i ich walniętą córeczką, w chodzeniu na terapię grupową...

Terapia grupowa z moimi rodzicami. Wolałbym raczej umrzeć. Wolałbym połknąć garść lodes i umrzeć, niż siedzieć w pokoju z ojcem i matką i rozmawiać o moim „problemie narkotykowym”. Chcę tylko, żeby płacili moje rachunki i trzymali się ode mnie z daleka. Nie, nie o to mi chodzi, by zawsze płacili za mnie rachunki, a tylko dopóki nie stanę na własnych nogach. Uważam, że są mi to winni. Coś gdzieś spieprzyli w moim wychowaniu, dlatego skończyłem na braniu prochów.

Jeśli naprawdę oczekują, że uda im się wsadzić do jednego pokoju Staną, moich rodziców i mnie, to niech szybko pomyślą o czymś innym...

Dzień dwudziesty trzeci

Mój wewnętrzny świat zawiera z grubsza trzy, następujące jeden po drugim, stany uczuciowe: zakłopotanie, wściekłość i napięcie. Czasami bywam podniecona, ale to po prostu rodzaj pozytywnego napięcia. Stan dał nam dzisiaj listę uczuć i kazał zakreślić te, których ostatnio doznawaliśmy. Skłamałam i zakreśliłam siedem.

Mark odmówił dzisiaj udziału w terapii grupowej. Został w pokoju i słuchał The Doors. Rano, podczas śniadania, nastawił swojego walkmana tak głośno, że wszyscy słyszeliśmy tę muzykę - chyba przez jego nos.

Marvin oświadczył podczas lunchu, że właśnie przyszło mu do głowy, iż chyba jednak jest alkoholikiem. Odśpiewaliśmy „God Bless America”.

Dzisiaj Amy przyprowadziła Sama z powrotem. Chyba była trochę zawiedziona i zła. Czułam się zakłopotana, a w konsekwencji także spięta. Dwie z trzech możliwości.

... Chciałem ją ratować, no i tyle mi z tego przyszło. Oto cała moja nagroda. Wszyscy wychodzą na zakupy, a ja zostaję tutaj sam, zamknięty w tym głupim pokoju. Nienawidzę Stana. Nienawidzę go.

Niewiarygodne, że Suzanne poszła beze mnie. Jak mogła? Przecież jej broniłem. Wspierałem ją, kiedy Stan na nią napadał. I za to wszystko zostałem odstawiony na boczny tor. Oto moje podziękowanie. Pieprzony Stan. Nie wie, kim jestem? Nie wie, kim będę? Muszę się stąd wydostać.

Dobra. Po prostu wyjdę. Co mi mogą zrobić? Wezwać policję? Przecież nie łamię prawa. Po prostu sobie wychodzę. Nie robię... Właściwie co ja tu robię? Nienawidzę tego miejsca i tych pielęgniarek z małutkimi identyfikatorami na piersiach. Nie dadzą człowiekowi nawet aspiryny. Dają tylenol. Głowa mi pęka. Głowa mi pęka, a dostanę najwyżej dwie małutkie tabletki tylenolu. To nie wystarczy.

Tak, po prostu się stąd wypiszę, a wtedy ona na pewno poczuje się źle. Będzie jej przykro, że ze mną nie pogadała, nawet wtedy, gdy się za nią wstawiłem. Stan zarzucał jej, że jest zbyt miła, czy coś podobnego. O co mu właściwie chodziło? Nie rozumiem, do czego zmierzał. To on powinien się zastanowić, czy jest wystarczająco miły. Myśli, że jest Bogiem, tylko że Bóg nigdy nie brał narkotyków.

Jak śmiał się mnie czepić? Uważa, że jestem „zdenerwowany”. Wcale nie jestem zdenerwowany! Jestem spięty. Nie jestem zdenerwowany. „Zdenerwowana” to może być lala z ptasim mózdzkiem... Ja jestem... Tak, czasami jestem spięty. Myślę, że nie da się żyć na tym świecie i nie być spiętym. Nie jestem jedynym człowiekiem, który bywa spięty. Stan też jest spięty, z tą swoją kurczowo zaciśniętą szczęką.

Kurwa, mam to gdzieś. Mam ich wszystkich gdzieś. Mam w dupie Wandę i to, jak bardzo nie lubi jej ojciec. Mam w dupie Carla i jego kościste nogi. Mam gdzieś Sama i jego tatuaże własnej roboty. I Marka też! Mark! Człowiek Mansona. To mają być ludzie, do których można mnie zaliczyć?

I ten ich dziwaczny, pieprzony żargon. Jakbym był na jakiejś mistycznej medytacji. Nie chciałem medytować, a teraz nie chcę robić tego, co tu robią. Nie chcę tu siedzieć i słuchać wymiany historyjek o narkotykowych i alkoholowych bojach. Mdli mnie od tego. To wszystko gównu warte.

I jeszcze ta Suzanne! Carol chociaż do mnie przyszła i zaproponowała, żebyśmy wybrał się razem z nimi na zakupy. Ale ona? Ta, której bronilem, ściągając burzę na własną głowę? Gdzie tam. Może bym poszedł, gdyby to ona mnie poprosiła.

Mdło mi się robi na samą myśl o tym miejscu. Nie podoba mi się koc na moim łóżku, nie lubię hałasu wody spuszczonej w ubikacji, nie lubię ludzkich włosów łonowych w wannie do masażu podwodnego, nie lubię też ping-ponga. Żarcie nie podoba mi się w ogóle. Nie znoszę tych ślicznych, malutkich deserków, tych równiutkich kwadracików białego i różowego ciasta, a najbardziej brzydzę się galaretką. I nie chcę już więcej oglądać „The Outer Limits”. Widziałem wszystkie odcinki. Mam je w domu, nagrane na wideo. Mogę oglądać „The Outer Limits” i „The Twilight Zone”, kiedy mi się żywnie podoba. Nie muszę siedzieć w klinice dla narkomanów, żeby to robić. I nie życzę sobie, żeby oni bez przerwy truli mi, jaki jestem nerwowy. Nie jestem nerwowy. Jestem wkurwiony. Siedzenie w tym miejscu to czysta strata czasu. Prześliznę się obok dyżurki i...O, kurwa! Suzanne pomyśli wtedy, że jestem mięczak i nie potrafię tego znieść. A ja potrafię. Zniosę wszystko, co dla mnie zgotują. Zostanę. Ale nie zmuszą mnie, żeby to polubił. Mam własne zdanie, własny gust. Tego nie mogą mi odebrać. Nie mogą mnie urobić według swojej matrycy jak jakiś produkt z taśmy. Boże, chcę stąd wyjść...

Dzień dwudziesty czwarty

Alex opuścił dzisiaj zajęcia z terapii przed czasem. Chwilę wcześniej Stan naskoczył na mnie, że zachowuję się jak „cudowna dziewczynka”. Oznajmił, że nie wystarczy mi, iż ludzie mnie lubią, ale chciałabym jeszcze mieć na ich życie taki wpływ, od którego nigdy nie będą w stanie całkowicie się uwolnić. Nie było to jakieś nadzwyczajne odkrycie. Od dziewiętnastego roku życia chodzę na psychoterapię, więc jest mało prawdopodobne, aby nagle Stanowi udało się dokonać szokującego wglądu w moją osobowość i znaleźć coś, czego nigdy dotąd nie brałam pod uwagę. Jednak trzeba przyznać, że się stara. Oświadczył, że łudzę się, iż ludzie wezmą moją nerwowość za ożywienie. Szykowałam właśnie jakąś ciętą ripostę, kiedy nagle Alex wyrwał się, żeby mnie bronić.

Stan usadził go, mówiąc: „Pewnie masz nadzieję, że ludzie pomyślą twoją nerwowość z chłodnym dystansem”. Ten Stan naprawdę czasem zachowuje się jak świnia. Nawrócony ćpun. Teraz jest maratończykiem. Ćpun z lat siedemdziesiątych jest lekkoatletą w latach osiemdziesiątych. W każdym razie Alex gwałtownie wypadł z sali i nie chciał z nami iść po zakupy. Carol próbowała go namówić, ale Stan kazał nam zostawić go w spokoju. Jakoś niewyraźnie się czuję z powodu afery z Alexem.

Zakupy były wspaniałe. Poszliśmy w dziesięcioosobowej grupie, a potem rozpełzliśmy się po całym pasażu niczym gigantyczny ćpunowy pajak. Kupiliśmy prażoną kukurydzą, watę z cukru, colę i czekoladę. Stan powiedział, że jem jak heroinista (ale załamuję się jak mała dziewczynka). Trudno było utrzymać całą grupę razem. Sam chciał kupić okulary przeciwsłoneczne, Wanda żel do włosów, a Carl zjadł trzy hot dogi. Fajnie, że przedawkowałam. Gdybym tego nie zrobiła, nigdy nie znalazłabym się na oddziale rehabilitacyjnym i teraz nie miałabym szansy robić zakupów z ćpunami. Szkoda, że Alex nie poszedł z nami, zamiast się chować w swoim pokoju. Przebywa już tutaj ponad tydzień, a jeszcze nigdy z nim nie

rozmawiałam. Wydaje się taki spięty. Chyba ciągle nie rozumie, że to jest poważna sprawa. Naprawdę myślę, że w pewnym sensie miałam szczęście. Przydarzyło mi się coś przerażającego - płukanie żołądka. To pokazało mi jasno, że z moim życiem jest coś nie tak. Gdyby musiano mi robić płukanie żołądka, kiedy poprzednio brałam narkotyki, to nie przyszłoby mi więcej do głowy, że następnym razem będę w stanie poprzestać na normalnej ilości. Zresztą, co to jest „normalna ilość” percodanu? Alex pewnie ciągle uważa, że potrafi brać „normalne” ilości kokainy. Bez łaski przedawkowania i ja byłabym w tym miejscu.

- Nie, wcale nie musimy rozmawiać o tym, co się wczoraj wydarzyło. Powiedziałem już wszystko, co w takim miejscu jak to, zamierzam powiedzieć. Tak, wiem, że przyjadą moi rodzice. Naprawdę? Chciałbyś? Chciałbyś, żebyśmy usiedli w czwórkę? Naprawdę tego chcesz? No, to usiądźcie sobie w trójkę i gadajcie, bo ja, do jasnej cholery, mam to już za sobą. Ja już to zaliczyłem! Siadywałem w pokoju z rodzicami, siadywałem z tobą i ani jedno, ani drugie nie przypadło mi do gustu, więc nie mam powodu sądzić, że spodobają mi się oba naraz. Spieprzam stąd. Znikam, więc na pożegnanie możesz mnie pocałować w dupę. Nie potrzebuję tej kliniki, a przede wszystkim nie potrzebuję byłego ćpuna, takiego jak ty.

- Czyżby? Nie chwytam tego? Dobrze wiem, co jest grane, proszę pana. Zrozumiałem to od razu pierwszego dnia, tego dnia, kiedy się tutaj znalazłem. Już wtedy wiedziałem, że jesteś parszywym skurwielem i że to miejsce jest do dupy. Nie potrzebuję tego miejsca, żeby rzucić narkotyki. Nie, nie potrzebuję. To, co mi się przydarzyło, było czysto przypadkowe, a ty, terrorysto, masz czas wyłącznie od tej chwili do jutra na swoje gówniane opowieści o tym, jaki to ja jestem uzależniony. Carl powiedział, że kiedyś nawet zamordowałeś człowieka, żeby zdobyć narkotyki. I ty chcesz mnie leczyć? Wychowałem się w przepięknej części miasta, a ty, panie Morderco Ćpunowski,

chcesz mi wytłumaczyć, jak mam przestać brać narkotyki? Nie mam z tobą nic wspólnego. Adios, dupku, nie ma mnie.

Ha! Nagadałem temu pieprzonemu dupkowi, temu morderczemu ćpunowatemu skurwysynowi. Nagadałem mu, kurwa, nagadałem mu. Boże, jak mi niedobrze od tego zapachu sterylności, którym przesiąknięte jest to parszywe miejsce.

- Trzymaj windę!

Oni na pewno uważają, że chcę stąd wyjść tylko po to, by brać narkotyki. Cóż, będą musieli zacząć myśleć inaczej. Nie jestem narkomanem, jak pozostali w tej klinice. Tak, powiedzieli mi, że każdy z nas sądzi, iż jest inny, ale co ma zrobić taki biedny skurwysyn jak ja, który naprawdę jest inny? Dlaczego mam płacić za wszystkich, którzy kiedykolwiek przekroczyli próg tej kliniki i uważali, że są inni, a wcale nie byli?

Aaaach! Jestem na dworze. Aaaaaach! Co za ulga znaleźć się na dworze, a nie w jakiejś pieprzonej grupie idącej do parku, aby tam słuchać Carla, który nawija o tej swojej głupiej żonie. Nie chcę nic wiedzieć o niczym życiu osobistym. Nie chcę nawet własnego życia osobistego. Mdli mnie od życia osobistego.

Jezu! Nie zamierzam już nigdy wylądować w podobnym miejscu. Czuję się tak, jakbym wyszedł z więzienia. Chce mi się śpiewać, taka to ulga. Chyba pójdę do domu. Może poczytam. Zrobię sobie staromodną niedzielę jak u Normana Rockwella. Myślę, że teraz, kiedy mam za sobą doświadczenie przypominające pobyt w obozie jenieckim, potrafię docenić ten rodzaj normalności, w którym zamierzam uczestniczyć. Tak, to już mam za sobą. W końcu udało mi się zrzucić z piersi trochę tej wściekłości. Jak teraz wypadło moje radzenie sobie z emocjami, Stan?

Dobra, jak mam się dostać do domu? Jak się tam dostać? Zostało mi trochę forsy, więc mogę wziąć taksówkę. Najpierw

wstąpię do Bluma, zjem ciastko i jakoś uczczę ten moment. Trochę podjem, wypiję parę piw i do domu...

Nie, kurwa, żadnych piw. Co by się stało, gdyby ten dupek przyszedł mnie szukać i przydybał mnie tutaj nad kuflem piwa? Na pewno by mnie podsumował: „Mówiłem ci, że tak będzie, Alex”. Odpieprz się, dobra? Wsadź sobie to w dupę. Nie jestem alkoholikiem. Zjem trochę ciasta, może lody czekoladowe i frytki, a potem do domu. I żadnego czerwonego mięsa. Nie zamierzam sobie spieprzyć żył...

Aaaach! Własny pokój. Cholera, jak dobrze znaleźć się w domu. Mój samochód jest w garażu... Ciekawe, jak go tutaj sprowadzili? Zresztą, co to za różnica? Ważne, że jest. Zobaczmy, czy są jakieś wiadomości. Dwie? Tylko dwie przez dziesięć dni? Dobra, kto dzwonił? Jezy Chryste! Joan. Matka musiała jej powiedzieć. „Tak się cieszę, że poszedłeś do kliniki”. Boże, znowu ten głos w stylu ja to z góry przewidziałam. No, na co czekasz, napawaj się swoim zwycięstwem. Kto jeszcze dzwonił? Cholera, moja mama. A więc wiedzą, że wyszedłem z kliniki. Świetnie. Nie jestem bezpieczny nawet we własnym domu. Koszmar.

Czekaj, czekaj, a to co? Porcja ludes. Nie, nie. Jeśli to wezmę, to uznają, że właśnie dowiodłem ich tezy. Nie, nie jestem jednym z typowych ćpunów. Oto działka ludes, a ja wrzucam ją do toalety. Już poleciała. Do widzenia, ludes, dzień dobry, życie bez narkotyków.

Lepiej chyba stąd pójść, bo w każdej chwili mogą się zjawić moi rodzice. Pojadę sobie na przejażdżkę. Po prostu wyjdę na dwór, pojeżdżę sobie dookoła i będę się cieszyć życiem jak jeszcze nigdy dotąd. Jestem trzeźwy i właśnie wyrzuciłem porcję ludes. To dowodzi, że nad tym panuję. Nie jestem tym, za kogo mnie mieli. O, jeszcze valium* i ten mały kawałek haszyszu.

* Valium - środek tłumiący, lek uspokajający (relanium).

Do toalety z tym. Ja im pokażę. Wyrzucę wszystkie narkotyki. W porządku. Żaden prawdziwy nałogowiec nie byłby w stanie wyrzucić swoich narkotyków. Gdyby ci w tej klinice widzieli mnie teraz, uśmieszki zamarłyby im na ustach. W porządku) Nie jestem żadnym ćpunem!

A więc czas na przejażdżkę. Może pójdę sam do kina? To zajęcie godne dojrzałego człowieka. Widziałem, że ludzie tak robią. Na pozór jest w tym coś rozpaczliwego, ale pewnie wcale takie nie jest. Nie, na razie nie chcę nikogo widzieć. Nie chcę o tym rozmawiać. Muszę przewartościować kilka spraw. Myślę, że powoli zaczynam pojmować sens własnego życia. Po wyrzuceniu tych wszystkich narkotyków naprawdę czuję się silny. Teraz im pokażę...

Zaraz. Moment... Mój tajny schowek. Mój tajny gram schowany na wszelki wypadek w podziurawionym słowniku. Po prostu wyrzucę... Nie, nie wyrzucę koki. Zostawię ją tam i nigdy już jej nie wezmę. W ten sposób dopiero im pokażę. Tak, to jest właśnie to. Gdybym naprawdę był ćpunem, nie gapiłbym się teraz na nią, tylko od razu bym ją dmuchnął.

A zatem nim nie jestem. Już sobie wyobrażam, jak się tam ze mnie śmieją i powtarzają w kółko: Tak, tak, co za ćpun. A ja wcale nim nie jestem. Wyrzuciłem całe valium, haszysz i ludes, a teraz po prostu tutaj siedzę i patrzę sobie na tę kokę. Patrzę i nie biorę. A więc?

No, dobra, dobra, rusz się wreszcie. Czy powinienem wziąć ze sobą ten gram kokainy jako... test na siłę woli? Nie, po prostu go tutaj zostawię i będzie symbolem nowego mnie.

Narkoman? Ja? Ja im pokażę...

Dzień dwudziesty piąty

Alex wczoraj odszedł. Pokłócił się ze Stanem i po prostu wyszedł z oddziału. Siedzieliśmy z mamą w moim pokoju, gdy nagle, z drugiego końca korytarza, zza zamkniętych drzwi do pokoju Alexa, usłyszałyśmy wykrzykiwane przez niego przekleństwa. Nie sądzę, by był to cios dla kogoś z nas. On nie

akceptował ani nas, ani kliniki. Pojawił się po to, żeby odejść. Lecz za to jakież to było odejście! Melodramatyczne jak w operze.

Zawsze przeraża mnie, kiedy ktoś nieoczekiwanie gna z powrotem, jakby piorun oderwał się od ziemi i uderzył w błękitne niebo. Myślę, że Alex nie dość jeszcze się wystraszył. Mimo że wszyscy uważają, iż już dosięgnął dna, on sam ma na ten temat zupełnie odmienną opinię. Nie przyznaje się przed samym sobą do nałogu.

Mama przyniosła mi trochę maślanych ciasteczek z orzeszkami ziemnymi i biografię Judy Garland. Powiedziała, że jej zdaniem mój problem polega na tym, iż jestem zbyt niecierpliwa, za szybko się spalam. Interesuje mnie tylko natychmiastowa nagroda. Odparłam, że „natychmiastowe nagrody” przychodzą za późno. Złotousta męczennica.

... Co za głupi film. „Doctor's Orders”. Ale wymyśliłem. Teraz mam nauczkę, że film może być zwyczajnym głównym, także gdy grają go w kinie położonym blisko domu. Jezu nawet ja mógłbym zagrać lepiej. A już na pewno mógłbym napisać ciekawszy scenariusz. Powinienem napisać scenariusz. Tak, zabiorę się do pisania.

Szkoda, że nie mogę wziąć speed. To zawsze pomagało mi pisać. Pomysły po prostu same przychodziły mi do głowy. Na dexedrine* przez dwa dni napisałem próbną wersję. Założę się, że teraz też mógłbym ją brać. Jak można mówić, że jestem narkomanem, jeśli używam czegoś dlatego, że jest mi potrzebne do pracy...

A zatem scenariusz. Oparty na moich własnych doświadczeniach na oddziale rehabilitacji narkomanów oraz moim własnym wglądzie w ten narkotykowy świat.

* Dexedrine - handlowa nazwa tabletek zawierających amfetaminę. " Didrex - nazwa handlowa tabletek zawierających pochodne amfetaminy, środek pobudzający.

Może będzie to historia kogoś umieszczonego na takim oddziale przez przypadek, coś w rodzaju „Cuckoo's West”. Facet po prostu ma uczulenie na niektóre narkotyki, lecz zostaje umieszczony w klinice dla narkomanów, razem z uzależnionymi. Jedna z kobiet jest jakąś sławną osobistością. Zakochują się w sobie i biorą ślub. Chyba mógłbym zażyć kilka tabletek didrexu** i napisać to. Myślę, że jeśli wezmę speed tylko po to, żeby pracować, będę w porządku. Bez narkotyków zawsze miałem mnóstwo problemów z pisaniem, więc uważam, że to uczciwe. Nawet nie wiem, czy amfetamina tak naprawdę jest narkotykiem. Można ją dostać od lekarza, a to, co przepisują lekarze, nazywa się lekarstwem. Ja potrzebuję lekarstwa, żeby pisać.

Boże, jak dobrze jest wrócić do normalnego życia i tak po prostu jechać sobie ulicą przez Laurel Canyon. Noc jest przyjemna, a ja spędziłem wspaniały wieczór. Pojechałem do kina swoim własnym samochodem. Wróciłem znowu do swojego własnego życia. Wszystko dzieje się po mojemu. Stąd jest tylko jedna droga - w górę.

O, kurwa. Pieprzeni rodzice! Nie mogę nawet bez ich opieki spędzić najzwyczajszego wieczoru w kinie. A mam już prawie trzydzieści lat. Dlaczego nie wolno mi wyjść z kliniki i wrócić do normalnego życia bez nadzoru rodziców? Sądzę, że potrafię to zrobić. Kiedy wracam do domu z kina, nie powinienem być zmuszany do patrzenia na samochód moich rodziców stojący na drodze wjazdowej. Chyba nigdy nie dorosnę, jeśli ciągle będą mnie traktować jak niemowlę. Dobrze, jeżeli jestem dla nich niemowlęciem, to będę postępował jak niemowlę. Będą mieli to, czego chcieli. Jeśli myślą, że jestem takim ćpunem, to będę zwyczajnym pierdolonym ćpunem. Doskonale. Idę się naćpać. Jeśli koniecznie muszą się czymś martwić, dam im świetny powód do zmartwienia. Pieprzę ich. Jadę do Brentwood. Do jasnej cholery, jadę z powrotem do Brentwood...

Nigdy bym tak nie postąpił, gdyby się tu nie zjawili. Gdyby nie zajechali swoim cadillakiem pod mój dom, gdzie ja właśnie starałem się rozluźnić. Chciałem nacieszyć się resztką młodości, radośnie spędzić dwadzieścia minut, które mi jeszcze zostało. Byłem w kinie, doskonale panowałem nad sytuacją, dopóki... A, co tam, pieprzę ich. Teraz jestem w Brentwood i jest to wyłącznie ich wina. Popchnęli mnie do tego. Gdyby po prostu pozwolili mi dorosnąć, to pewnie do niczego by nie doszło. Dobra, zapomnijmy o tym. Zrobię to, co sam chcę zrobić, albo to, co oni myślą, że ja chcę. Tak, dokładnie. Mam nadzieję, że ten facet tutaj jest. On zawsze tu jest. Myślą, że jestem takim przegranym ćpunem, więc będę...

- Cześć, stary. Nie, świetnie. Tak, wiem, że musiałeś zawiadomić moich rodziców. Tak, tak, w porządku. Byłem w szpitalu, odtruli mnie. Czuję się doskonale. Dzisiaj wyszedłem. Jestem trochę zdenerwowany. Oni właśnie... Znasz rodziców. Oni nigdy się od człowieka nie odczepią. Po prostu nie są w stanie wejść w inne związki z ludźmi, kiedy wreszcie zostawiają cię w spokoju.

Nie mogę nawet wrócić teraz do domu. Są tam i pewnie przeszukują moje rzeczy. Masz rodziców? Wkurzają cię? Tak. Masz szczęście, że to nie są moi rodzice. Gdybyś miał moich, już by tutaj byli. A więc, pogadajmy na temat towaru. Co ta ma być? Wiesz, przez pewien czas w ogóle nie brałem, byłem czysty... Pieprzę to wszystko. Każdy myśli, że jestem ćpunem. Założę się, że ty także. Tak? Wszyscy sądzą, że jeśli bierzesz narkotyki, to znaczy, że masz problem narkotykowy. Nie każdy, kto bierze narkotyki, ma problem narkotykowy. O tych, którzy - tak jak my - biorą narkotyki w towarzystwie, wiele osób mówi bardzo źle, ale ja uważam...

- Aha, nieważne, co ja uważam. Dobra, dawaj towar. Zatrzymałem się przy automacie bankowym, więc mam pięćset dolarów, a do tego mam jeszcze zegarek. Rolex. Nie, nie potrzebuję więcej niż parę gramów, ale wiesz, właśnie sobie

wykombinowałem... Mam świetny pomysł. Mogę ci zaufać, co? Wpadłem na świetny pomysł scenariusza filmowego. Na temat oddziału rehabilitacyjnego dla narkomanów. Facet, który jest... Mógłbym chyba zatrudnić cię jako doradcę technicznego, gdybym... Dobra, tak czy inaczej, chciałbym nad tym trochę pomyśleć. Wiem, że w tej chwili za dużo gędzę, ale wydaje mi się, że po prostu zaraz pójdę i to napiszę. Chciałbym to zrobić jak najszybciej, żeby już mieć to z głowy. Muszę tylko przeanalizować detale. Ciekawe, jak to jest, kiedy człowiek po kokainie jest na prawdziwym haju? Muszę to zbadać.

- Nie wiem, może z pół uncji? Z pieniędzmi zawsze jestem w porządku, prawda? Przychodziłem tu latami. Jesteśmy cholernymi kolesiami w tym fachu, co? Mógłbyś też wziąć mój zegarek. Wart jest parę tysiączków, więc z łatwością dostałbyś za niego osiem czy dziewięć stów. Rodzice mi go dali. Oczywiście możesz zetrzeć tę dedykację. Nie wiem, jak ją zrobili, ale chyba jakoś wytopili, czy coś w tym rodzaju. Co o tym myślisz? Świetnie. Może chciałbyś zagrać w tym filmie? Potrafisz w ogóle grać? Wyglądasz tak, jakbyś umiał. To znaczy, odkąd cię znam, uważam, że masz interesującą twarz. Mógłbyś zagrać dealera. Tego, który naszemu facetowi sprzedaje kokainę. Sam nie wiem. Po prostu znowu głośno myślę. Proces twórczy, sam rozumiesz... Potrzebuję trochę koki. Weźmy trochę. Tylko raz, żebyśmy mógł wypróbować ten towar. Tak, wiem, że pół uncji to dużo, ale przecież nie wezmę tego naraz. Muszę napisać scenariusz, a kiedy się pisze scenariusz, to potem należy go jeszcze przepisać... Ooooch! Och, człowieku! Teraz to jest właśnie to. Ooooch, ty naprawdę wiesz, co lubię! Och, stary. To już jednak trochę czasu, prawda? Na dodatek miałem kilka ciężkich tygodni. Nawet sobie nie wyobrażasz. Pamiętasz? Daliście mi trochę heroiny na uspokojenie, a ja wylądowałem w tej pieprzonej klinice razem z Suzanne Vale. Wyobrażasz sobie? Tak, ona naprawdę ma problem narkotykowy, co w przypadku kogoś tak pociągającego jest

rzeczywiście zdumiewające. Jest drobniotka, więc chyba dlatego tak szybko ją wzięło. Tak, spotkałem tam mnóstwo ciekawych ludzi. No, nie, tak naprawdę to wcale nie było tam dużo ciekawych ludzi, wręcz przeciwnie, ona okazała się jedyną interesującą osobą, ale ogólnie było to ciekawe doświadczenie. Myślę, że powstałby z tego świetny serial, o tym jak ten pisarz... Daj jeszcze raz. Aaaach! Ooooch! Powiem ci coś. Przypomina mi się teraz tyle nocy... Boże, to jest jak déj? vu, czuję się tak, jakbym... Chciałem powiedzieć, iż mam wrażenie, że już to kiedyś robiłem. Oczywiście, że już to robiłem, ale to przypomina mi coś naprawdę wspaniałego, wiesz?

- Czy ją pieprzyłem? Nie, na rehabilitacji się nie pieprzy. Ale zamierzam się z nią spotkać. Pewnie będzie gwiazdą w tym filmie. A więc, dostanę ten towar? Dobra. Tu jest forsa, a tu mój zegarek. Naprawdę jest cenny. Przepraszam, że kiedy tu przyszedłem, to zachowywałem się jak idiota. Daj mi jeszcze trochę... Nie, to ja dam ci działkę. Jestem dzisiaj bardzo hojny. Ooooch. Dobra. Lepsza niż ta, którą zwykle masz, prawda? Och, ooooch! Daj mi jeszcze piwo na drogę. Pojadę na pustynię, rozluźnię się trochę, ucieknę od wszystkich i napiszę ten tekst. Dzięki, bracie. Wspaniale.

Rzeczywiście dobre piwo. Trochę piwa, mała przejażdżka. Naprawdę czuję się świetnie. Jednak się cieszę, że jestem daleko od tego faceta. Ciarki mnie przechodzą, kiedy o nim pomyślę. Gdzie mój nóż? No, zaczynamy. Zaczynamy. Aach. Aaach! Co za cholera? Jeszcze raz. Mmmmm! Aaach!

Dobrze, że nikt mnie nie widzi. Gdyby ktoś mnie teraz zobaczył, pomyślałby, że prawdziwa ze mnie świnia. Dobra. Coś mi przychodzi do głowy. Facet, który normalnie nie bierze dużo narkotyków, spędza wieczór z grupą przyjaciół ze szkoły. Jest w bardzo dobrym nastroju, więc udaje im się namówić go na spróbowanie ecstazy. Robi to. Jego nastrój staje się po prostu wspaniały, a wtedy oni namawiają go na heroinę i w końcu facet łąduje na oddziale rehabilitacyjnym, gdzie wcale nie powinien

się znaleźć. Ale kiedy już tam trafia, spotyka nieprawdopodobnych ludzi, jak na przykład Carl. Tak, on będzie świetną postacią filmową. W normalnym życiu jest okropny, podobnie jak ci wszyscy pozostali, których w klinice nienawidziłem. Za to teraz mogę wykorzystać ich przy konstruowaniu scenariusza. Oooh, właśnie to pozwala człowiekowi pisać. Do diabła, mnóstwo ludzi tworzyło pod wpływem narkotyków. Słyszałem, że Lewis Carroll napisał „Through the Looking Glass” pod wpływem grzybków, a Edgar Allan Poe był fanatykiem laudanum. Freud, Sherlock Holmes... Jak dobrze znaleźć się na zewnątrz, poza szpitalem, z dala od tych durnych filmów, po prostu na zewnątrz. Jestem na zewnątrz.

Dzwoni mi w ucho. Ciekawe, czy... Coś ścieka mi do gardła... Jestem jakiś taki rozlatany. Ale to nie z powodu koki, to przecież dobra koka. Nie, nie chcę już jechać dalej. Czuję się w tym samochodzie jak w klatce. Powinienem... Wiem. Po co mam jechać na pustynię? Pieprzę to. Zatrzymam się w „Ramada Inn”. Pewnie mają tam jakiś papier do pisania i pióro. Naskicuję sobie ogólny zarys tego scenariusza. „Ramada Inn”. Wiele razy przejeżdżałem obok tego miejsca i za każdym razem zastanawiałem się... Muszę dmuchnąć jeszcze parę razy, bo inaczej nie będę w stanie wejść do pokoju. Oooh! Cholera, na gorze muszę rozdrobnić tę kokę. Jest potwornie zbrylona. Dobra, chyba już jestem spokojny. W porządku. Wchodzę...

- Hm. Chciałbym pokój na dwie lub trzy noce. Nie, ja... Nie mam bagażu, tylko to... Trochę jedzenia. Tak, jestem na specjalnej diecie.

Nie twój pieprzony interes, chłopie.

- Czy jest tu basen? O, to świetnie. Wspaniale.

Naprawdę będzie fajnie. Przeszanę być taki błady. Doskonale, doskonale. Trochę popiszę, trochę popływam, zrzucę trochę wagi... Pocę się. Boże, jak w tym korytarzu gorąco.

- Nie, nie potrzebuję boya. Tylko... Które to piętro? Ósme? Świetnie.

Jezu, kiedy nie masz bagażu, bardzo dziwnie na ciebie patrzą. Ale ja przecież mam bagaż. Mam tutaj swoją piękną, rumianą pannę młodą, całą w bieli*. O, Boże, ręka mi lata. Ciekawe, co... To pewnie z głodu. Nie, właściwie nie czuję głodu, ale... Zamówię coś do pokoju. Chryste, gdzie jest ta pieprzona winda? Jezu...

- Nie, czuję się dobrze. Może wezmę to. Popatrzmy - sześć mrożonych herbat, dwie porcje wódki, hamburger, frytki i ciastko. Doskonale. Nie, proszę już nie przychodzić. Wystawię tacę na korytarz. Nie, naprawdę czuję się doskonale, czuję się znakomicie, ja tylko... To tylko mała grypa. Dziękuję.

Co ten facet sobie wyobraża? Kim on jest, żeby miał prawo wtykać nos w moje życie? Niech się ode mnie odzepi. Taak. Popatrz tylko na tego hamburgera. On jest żywy! A drożdżówka jakaś wilgotna, a frytki okropnie tłuste. To amerykański hotel. Wydawałoby się, że przynajmniej potrafią...

Znowu jestem roztrzęsiony. Coraz bardziej roztrzęsiony. To wszystko przez to żarcie. Powinienem pisać. Muszę jeszcze pokruszyć trochę koki, a potem już naprawdę zabrać się do pisania. Dlaczego to światło jest takie jaskrawe? Czuję się jak w gabinecie dentystycznym. Napiję się trochę. Tak, właśnie tego potrzebowałem. Z całą pewnością brakowało mi drinka. A teraz fajna, pełna linijka** koki i do roboty.

Aaaj! Oooj! O, kurwa!

Znowu czegoś domieszali. Na pewno!

Włożyłem trochę pod język. Szkoda, że nie ma tutaj nikogo, kto by mi dmuchnął tę kokainę prosto na tylną ścianę gardła.

* Panna młoda w bieli (white bride) - slangowa nazwa kokainy.

** Linijka - deseczka, na którą narkomani wysypują kokainę, aby ją wciągnąć do nosa.

Tylko że wtedy musiałbym z nim rozmawiać. Dobra, gdzie ten papier. Zaczynam.

Ciekawe, czy jest... Tak, na pewno jest telewizja kablowa. Zobaczymy, co jest na MTV. O, to ta blond cizia, więc musi już być bardzo późno. O której... O, prawda, dałem mu swój zegarek...

A więc, jaki to był pomysł? Jaki miałem pomysł? Jeszcze tylko jednak linijka i... Ooooch! Ooooch! Ciekawe, czy mają tutaj czynną aptekę. Mógłbym sobie posmarować wazeliną prawą dziurkę... Dobrze, dobrze. A więc, pewien facet jest uczulony na narkotyki, ale myślą, że przedawkował, więc umieszczają go w klinice dla narkomanów. Co za świetny pomysł. Praktycznie już jest napisany. Teraz już z górki. Och, Aaach. O, Boże, serce mi wali... To ta wódka. Dobra, lecimy dalej, Facet czuje się prześladowany przez rodziców, tak jak we „Frances”, jego rodzice są... Dlaczego umieszczają go w klinice wbrew jego... - Tak, zwariowali. To oni są narkomanami. Nie, nie są narkomanami, tylko nie chcą się nim dłużej opiekować. Jest stary, chociaż... Weź jeszcze raz. Aaaach!

Szkoda, że nie mam papierosów. Chociaż przecież nie palę. Więc ci rodzice umieszczają go tam, bo są narkomanami. Nie, lepiej nie. Umieszczają go, ponieważ... Tak, spadek. Spadek jest dobry na wszystko. Ale to przecież oni są jego rodzicami, więc to właśnie oni zostawią mu spadek. Nie, nie tak. Ponieważ on jest ukochanym wnukiem dziadka, dziadek zostawił mu wszystkie swoje pieniądze, ale rodzice mogą przejąć majątek, jeśli uda im się udowodnić, że on jest niepoczytalny. Doskonale) Absolutnie wspaniale! A więc on jest dziedzicem fortuny. Tak, muza przy mnie usiadła. Mam natchnienie. Oooch. Czuję, że zaraz zwymiotuję. To ten hamburger. Muszę się go pozbyć, muszę wystawić go na korytarz... Tak, teraz lepiej. Dobra, facet jest w klinice i tam spotyka aktorkę. On może być muzykiem albo pisać teksty piosenek. Ona się w nim zakochuje, a on ją pielęgnuje, dopóki ona nie wróci do zdrowia. Potem razem

uciekają z kliniki. Tak, tutaj będzie cała scena pościgu, kiedy ludzie tacy jak Stan -mnóstwo ludzi takich jak Stan - gonią ich i nie pozwalają jej wytrzeźwieć. Dlaczego? Dlaczego zależy im na tym, żeby ona ciągle była naćpana? Oooh. Aaaach.

Dlatego, żeby ona robiła reklamówki o klinice i pisała artykuły o uzależnieniu od narkotyków i w ten sposób ich rozsławiała. Coś się ze mną dzieje... Muszę się rozebrać. Ubranie się do mnie przylepia... ja... To jest naprawdę wspaniałe. Jak mogą mówić, że narkotyki są złe?

A co będzie, jak im się to nie spodoba? Nagle ogarnął mnie strach. Co będzie, jeśli to wcale nie jest dobry pomysł? Co będzie, jeśli Suzanne nie zechce w tym zagrać? Wcale nie czuję się dobrze. Napiję się... Lód się topi.. Ciekawe dlaczego nazwali tę herbatę Long Island? Może powinienem zatytułować swój film „Mrożona herbata Long Island”? Oooh. Aaaach.

Co jest na MTV? Nienawidzę tej piosenki. Nienawidzę tej piosenki. Spójrz tylko na tę kapelę. Nie jestem przystojny, prawda? Nigdy nie byłem przystojny. Nic dziwnego, że nie podobam się rodzicom. Możejedenkiedy podobam? Gdzie są rodzice? Pewnie w moim domu. Buszują po moich szufladach w poszukiwaniu kokainy. Ale ja nie jestem narkomanem. Przyjechałem do hotelu i pracuję. Która godzina? Nie chcę wiedzieć. Po prostu zadzwonię...

- Która godzina? Dziękuję.

Kurwa, czwarta trzydzieści. Chyba powinienem się przespać. Gdybym trochę pospał, mógłbym jutro po południu wstać i wziąć się do roboty. Powinienem dopracować ten pomysł w szczegółach, a nawet zadzwonić do Barry'ego Dillera. Och, stary. Dobra, już się kładę. Jestem zupełnie goły. Czuję się dobrze. Mam wspaniały pomysł na scenariusz, pierwszy scenariusz od pewnego czasu... Spróbuję zasnąć. Po prostu wyrzuc wszystko z mózgu. Pieprzone radio w mózgu. Z modulowaną amplitudą. Zamknij się! Niech ten mózg się

zamknie! Po prostu rozluźnij się i idź spać. Jutro obudzisz się jak nowo narodzony.

Serce mi wali. Nawet nie mogę zamknąć oczu. Lepiej się czegoś napiję. Cholera, została tylko jedna wódka. Boże, naprawdę okropnie się pocę. Po prostu cuchnę. Nie powinienem brać aż tyle kokainy w takim tempie. Chyba powinienem przestać na jakiś czas. Tak, dmuchnę tylko parę linijek, a potem na chwilę przestanę. Oooo! Ooooch! Aaach!

Co ja wyrabiam? Przecież to cholerna głupota. Muszę się przespać. Od tej chwili żadnej kokainy. Boże, błagam, pozwól mi zasnąć, bo inaczej nie będę mógł pisać. Nie będę mógł nic zrobić. Taki jestem wyczerpany. Oczy mnie pieką. Po prostu poleżę tutaj, dopóki chociaż trochę mi nie przejdzie, a potem może uda mi się zamknąć oczy. Chryste, robi się jasno...

Co to za hałas? Co to może być? To nie jest przecież klimatyzacja, bo bulgocze gdzieś tutaj wewnątrz. Cholera, wezmę jeszcze jedna linijkę. Równie dobrze mogę nie zmrzyć oczu przez całą noc. Do diabła, kiedy byłem młodszy, nieraz tak robiłem. Hej, stary, włącz całonocny bieg. To nie może cię zabić. Po co to całe zamieszanie?

Powinienem zrobić sobie coś do jedzenia, żeby zatrzymać w żołądku część tego alkoholu. Ciekawe, czy ten hamburger ciągle stoi na korytarzu... Oto i on. Dobra, dobra, po prostu wyłącz swój smak i zjedz go. Trzeba wziąć trochę kokainy, żeby mnie znieczuliła na ten smak. Ooooch! Aaaach, o tak!

W porządku, mamy więc rano. Popatrzę na wschód słońca. Jak John Denver, czy ktoś w tym rodzaju. Oooo, jest zbyt jasno. Nie szkodzi. Podkręcę nieco tę klimatyzację... Dobra, dobra. To nie powód, żeby się nad sobą znęcać. Wziąłem trochę koki. Każdy mógłby... Myślę, że to świetne doświadczenie przed napisaniem scenariusza. Przecież będzie tam bohater, który w pewnym momencie weźmie mnóstwo koki. Może dealer...

W porządku, wstałem. No i co teraz zrobić? Wykapię się. Wykapię się, a potem przez kilka godzin będę pisał. Może

popatrzę na jakiś stary film, tak, dla natchnienia. Spójrz na tę tapetę. Jest żółta. Kto wpadł na pomysł, że ludzie mogą odpoczywać w żółtych pokojach? Pewnie są takie w całym kraju...

Ciekawe, czy Suzanne zdaje sobie sprawę... M usi teraz za mną tęsknić. Dobra, jeszcze się zobaczymy. Czekaście, aż oddam ten tekst do zatwierdzenia. Ona wejdzie, przeczyta go i powie, że chyba już się gdzieś spotkaliśmy. Tak, zaskoczę ją. Wszystkich zaskoczę. Nie powinien brać tak dużo kokainy. Jeszcze tak dużo zostało... Po co aż tyle kupowałem? Scenariusz. Dlatego, że piszę scenariusz. Nie mogę pisać w żółtym pokoju. Spójrz na tę narzutę. Po prostu połóż się, połóż głowę i oddychaj. Właśnie tak. Oddychaj, oddychaj. Wszystko jest w porządku. Masz przyjaciół, masz dziewczynę - okazała się suką, ale jednak był to jakiś związek -masz swoje życie, jesteś przystojny, masz całkiem niezłe ciało... A teraz wydech, właśnie tak... Masz rodziców, jesteś pisarzem... No, czuję się teraz nieco lepiej. Chyba muszę się czymś zająć. Pokruszę resztę tej kokainy. Nie chcę więcej brać takich grudek. Pewnie dlatego nie czuję się dobrze... Może jeszcze raz... oooch. Aaach!

Jak tu jasno, jak cholernie jasno. W łazience nie ma okna. Tam pokruszę tę kokainę. Ale nie mogę siedzieć w ciemnej łazience. Będę wyglądał jak wariat. Tylko kto mnie tam zobaczy? Wykąpię się po ciemku. Pokruszę kilka linijek, żebym mógł wziąć zaraz po kąpieli. Wezmę gorącą, odprężającą kąpiel... Dobra, dobra. Wanna się nappełniła. Puściłem wodę. W porządku, o to chodzi. Tak właśnie ma być. Mam świetny pomysł na scenariusz, jestem młody, całe życie przede mną. Zabieram się do roboty. Dobra, teraz kruszę kokainę, właśnie tak. W porządku. Jezus, ile tego jest...

- Co? Kto to? Nie, nie chcę! Nie chcę żadnej zmiany pościeli! Nie! Nie wchodzić! Wynosić się z mojego pokoju!

Rozsypałem kokainę! Rozsypałem kokainę w wannie. Całą kokainę rozsypałem w wannie.

- Wynosić się! Wynosić się! Zaskarżę ten hotel! Mój zegarek! Oddałem zegarek wart dwa tysiące dolarów... Wynosić się! Do jasnej cholery, spieprzać z mojego pokoju!!!

Co ja wyprawiam? Wydostać ją z wody! o mój Boże, o mój Boże, cała koka w wodzie!! Co tu robić?... Zachowuję się histerycznie. Uspokój się i zamknij gębę. Weź lampę! Wysusz tę resztę, co została w torbie. Muszę ją uratować! Trzy tysiące dolarów, czy ile tam kosztowała... Dobra. Boże, zakręć tę wodę. Co ja zrobiłem? Dobra, dobra, spokojnie. O mój Boże, o mój Boże. Pokojówka! Nie, to się wcale nie dzieje, to nie może być prawda. To nie mogło przydarzyć się mnie... Połóż mokrą kokę na ręczniku, możesz wysuszyć ją pod lampą. Oj, oj, oj, mam atak serca. O mój Boże, widzę gwiazdy. Nie żyję... Połóż głowę...

- Uuuuch, uuuuch...

O mój Boże, potrzebuję lekarza... Co tu robić? Wezwę policję, pokojówka wezwie policję, bo tak okropnie się darłem... Nie wiem, co robić. Muszę być mężczyzną...

W domu mam ten gram. Jeszcze trochę koki i byłbym w stanie podjąć decyzję. Wiedziałbym, co robić... Nie mogę się na tym skupić, to takie nierzeczywiste... Wezwą policję... Moi rodzice nie mogą przecież ciągle tam siedzieć. Pojadę po ten gram... To koszmar... Może dostanę z powrotem pieniądze, bo kokaina jest rozsypana. To nie moja wina. Szkoda, że nie ubezpiecza się narkotyków... W porządku, w porządku, wychodzę. Będę spokojny... Włóż koszulę, właśnie tak...

W porządku, spokojnie, nie ma żadnych pokojówek. W porządku, oto winda. Kurwa, ktoś w niej jest. Dobra, głowa w dół i oddychaj. Śmieją się ze mnie. O mój Boże. Jak to się mogło przydarzyć właśnie mnie?

- Co masz na myśli, pytając o pogodę w Miami? Nie wiem nic na temat Miami.

Jak w ogóle mogli się do mnie odezwać? Popatrz na nich. Nieskazitelnie ubrani, doskonali, idą do pracy. Nigdy nie będę

prowadził normalnego życia. Jestem zwierzęciem. Jestem zwierzęciem. Mam problem narkotykowy. Może... Nie, nie, nie... Nie mogę wyjść z tej windy. Oni są jak Nowi Pieśniarze Chrystusa, a ja jak diabeł nie z tego świata. Jestem niczym... O Jezu, Jezu, muszę wrócić do pokoju i się zastanowić. Mam kłopoty. Tym razem naprawdę wielkie kłopoty... Nie mam pojęcia, co się dzieje. Nie mam zielonego pojęcia. Wygląda na to, że się zabijam.

Muszę kogoś zawołać. Krew mi leci z nosa. Muszę kogoś zawołać... Co ja tu robię? Co się wydarzyło? Kupiłem pół uncji kokainy i przyjechałem do hotelu. O czym ja myślę? Nie czuję ręki... Nie czuję żadnego smaku w ustach... Jest mi niedobrze, niedobrze... Nie mogę wezwać Stana. Ona się nie może dowiedzieć... Dowiedzieć o czym?

Więc chyba nie mogę... Nie mogę brać narkotyków. Brałem za dużo narkotyków, zniszczyłem sobie nimi twarz... Zadzwoń do Julie, ona zawsze była miła. Była zbyt miła, ale jednak miła. Może uda mi się namówić ją, żeby zachowała to dla siebie. Taki jestem zmieszany. Co ja jej powiem? Pomóż mi, jestem... Jakie to trudne. O Jezu. Ale jednak nie czuję się dobrze. Muszę... Po prostu zmienię głos i przedstawię się jako przyjaciel... Nie, nie, po prostu... O, kurwa, po prostu im powiem, żeby przyjechali i zabrali mnie stąd. Tak właśnie będzie, jeśli nie zadzwonię. Całe życie będę spędzał w takich pokojach, całe życie z narkotykami, które spływają do rur, całe życie w pokojach o żółtych ścianach i z hamburgerami, które się poruszają...

Muszę iść tam, gdzie ktoś się mną zaopiekuje. W porządku, po prostu zatelefonuję. Mogę przecież wrócić, a oni zatroszczą się o mnie i wszystko będzie dobrze. Uspokój się, wszystko będzie dobrze... Tak bardzo się boję... Tylko zadzwoń...

- Hm, tak, czy jest tam gdzieś Julie Mardsen? Tak, Lucilie. To ja, Alex. Nie, nie, w porządku. Czy mógłbym rozmawiać z Julie? Och. Dobrze, czy masz jej numer? To bardzo ważne. Tak, to... Dobra, dzięki.

4762945. 4762945. 4762945. W porządku. W porządku...

- Halo, czy to Julie? Mówi Alex. Nie, w porządku... Nie, jestem... Jestem w hotelu... Ja... Boże, mogłabyś? Mogłabyś przyjechać i zabrać... Tak, nienawidzę być... Dobrze, „Ramada Inn” w Burbank. Pokój 823. Tak. Nie, jestem tutaj.

W porządku, po prostu siedź i mocno trzymaj kolana. Dobra, możesz się kołysać... O Boże, o mój Boże... Dobrze, dobrze, ona już jedzie. Ktoś jedzie. Będzie dobrze... Tylko się trzymaj, trzymaj się... Wszystko będzie dobrze... Ktoś jedzie...

Dzień dwudziesty szósty

Alex wrócił. Cała jego historia zaczęła się od tego, że zatrzymał się w hotelu z funtem kokainy przy sobie. Kiedy wziął jej już dość dużo, zdawało mu się, że słyszy odgłosy włamania się do jego pokoju. Tak go to przeraziło, że niechcący wysypał resztę kokainy do wanny pełnej wody. Coś w tym rodzaju. Bart mi o tym opowiedział, a on lubi przesadzać. Tak czy inaczej, po tym wszystkim Alex wszedł do windy, bo chciał zdobyć jeszcze trochę koki (!?!), ale ludzie, którzy nią jechali, zaczęli się z niego śmiać i mówić coś o Florydzie, więc Alex wystraszył się jeszcze bardziej, wrócił do pokoju i zadzwonił do Julie.

W naszym rehabilitacyjnym świecie jest to oczywiście wydarzenie dnia, dlatego też wszyscy usilnie staramy się zdobyć jak najwięcej szczegółów na jego temat. Kiedy Julie przyprowadziła Alexa, Wanda była właśnie u pielęgniarek w dyżurce. Podobno wyglądał przerażająco - krwawiący nos i tak dalej. Kurczowo ścisnął Julie, ani na chwilę nie podnosząc głowy, jak oskarżony prowadzony na proces przed oczami tłumu. Wszyscy chcieliśmy wydusić z Wandy jak najwięcej, ponieważ tylko ona go widziała, ale to było wszystko, co miała nam do powiedzenia.

A teraz najważniejsza wiadomość.

Carl podsłuchał, jak Julie relacjonowała Stanowi całe wydarzenie. Okazało się, że kiedy dotarła do pokoju Alexa, było

około jedenastej rano. Alex wpuścił ją i objął jak dawno nie widzianego krewnego. Okropnie się poccił, płakał i był całkiem spanikowany. Podobno powtarzał w kółko, że strasznie się cieszy z jej przyjazdu. Kiedy to mówił, ogromna bryła kokainy wypadła mu z nosa i wylądowała na dywanie. Alex bez wahania pochylił się, polizał palec, podniósł bryłę kokainy i wepchnął ją sobie do ust. A potem zaproponował Julie mrożoną herbatę marki Long Island i zapytał ją, czy będzie musiała poinformować o tym wszystkim jego rodziców.

Nawet gdyby wybuchła III wojna światowa, nadal rozmawialibyśmy o Alexie.

... Chryste, czuję się tak, jakbym umarł...

Dzień dwudziesty siódmy

Dzisiaj wieczorem doprowadzono do szpitala trzy osoby, które miały wziąć udział w naszym spotkaniu AA. Tak się też stało. Jeden z facetów powiedział, że znano go jako Króla Urwanych Filmów. Kiedy odzyskiwał świadomość, często pędził po autostradzie i nie miał pojęcia, czy to on kogoś goni, czy ktoś jego. Kiedyś oprzytomniał w samym centrum potężnej bijatyki i nie wiedział, po czyjej stronie walczy. W końcu doszedł do takiego stanu, że mógł znaleźć się na haju tylko po podwiązaniu żyły i zawiadomieniu służb medycznych, że pod jego adresem ktoś przedawkował. Następnie odkładał słuchawkę i czekał, aż usłyszy syrenę karetki pogotowia, a wtedy wstrzykiwał sobie ogromną dawkę, wiedząc, że na pewno go uratują. A więc igranie ze śmiercią stało się dla niego największym najem.

Inny mężczyzna opowiedział nam długą historię o tym, jak handlował kokainą, a potem siedział w więzieniu. W pewnej chwili zaczął mówić o przyjęciu w San Francisco. Na tym przyjęciu spotkał dziewczynę. Chciał z nią chodzić, ale nigdy nie miała dla niego czasu. Potem wyjechała do Nowego Jorku i została gwiazdą filmową. „Dzisiaj siedzi w tym pokoju. Teraz już na pewno jesteście tacy sami” - dodał na końcu.

Jakoś zimno mi się zrobiło w środku, bo nagle zdałam sobie sprawę, że ten facet mówi o mnie. Przechwalał się, że kiedyś uważałam, że jestem dla niego za dobra, ale teraz wcale już nie jestem aż taka cholernie dobra. Tutaj wszyscy mówią, że jedni są bardziej chorzy niż drudzy. Cóż, postanowiłam, że w tej sytuacji także ktoś jest bardziej chory niż ktoś inny i dopóki nie należę do tej samej samej kategorii co on, nie obchodzi mnie, czy naprawdę muszę być bardziej chora od niego. Nigdy nie usłyszałam, co ten trzeci miał nam do powiedzenia, bo po prostu wyszłam z tego spotkania.

W drodze do pokoju zatrzymałam się, żeby zobaczyć, co z Alexem. Leżał w łóżku, a Lucille mierzyła mu ciśnienie. Wyglądał tak jak ofiary porwania na zdjęciach, które porywacze wysyłają rodzinom wraz z żądaniem okupu. Udawał, że śpi, więc się nie odezwałam.

... Jestem taki upokorzony. Co ja im wszystkim powiem? I co oni muszą teraz sobie o mnie myśleć? Boże, jestem wyczerpany. Dobrze, że przynajmniej nie próbowali mnie nakłonić do spotkania z rodzicami. Do tego na razie nie jestem całkiem gotowy...

Czuję się okropnie. Okropnie. Dobrze, że mnie nie zamknęli czy coś podobnego. Mam nadzieję, że wszyscy nie gapią się na mnie jak na jakieś zwierzę. Chyba jednak w pewnym stopniu przestałem się kontrolować. Tak, oczywiście, że przestałem. Jestem człowiekiem, któremu już raz zdarzyło się stracić panowanie nad sobą, a to oznacza, że w każdej chwili mogę zrobić to znowu. Nie wiem, może rzeczywiście nie patrzyłem na siebie tak całkiem realistycznie.

Ciągle jednak uważam, że powinienem napisać ten scenariusz. Ciągle myślę, że to był dobry pomysł. A gdyby tak na koniec ten facet stwierdził, że naprawdę jest uzależniony? Opuszcza klinikę, a potem wychodzi z domu i bierze całą górę narkotyków, żeby napisać scenariusz o sobie. Właśnie wtedy zdaje sobie sprawę, że jest narkomanem. Nie, wcale nie chcę,

żeby mój film miał takie banalne, oklepane zakończenie, w którym bohater dostaje kręćka na punkcie Ruchu, zaczyna biegać na te ich spotkania i przyklaskiwać ludziom, których funkcją jest „przynieś, wynieś, pozamiataj”. Chciałem przez to powiedzieć, że nie przeistacza się w jednego z tych jajogłowych, co to podchodzą do człowieka na lotnisku i mówią: „Mam dla ciebie prezent”. Pozostaje dalej facetem z klasą, równym gościem, z którym można się utożsamić. Jest jak każdy z nas. Mimo że z problemem narkotykowym. Założę się, że pomysł jest wystarczająco dobry, żeby zainteresować Barry'ego Dillera, więc mój agent mógłby umówić mnie z nim na spotkanie. Temat jest aktualny, a jak dotąd nie widziałem podobnego filmu...

Chyba jednak przez pewien czas powinienem sobie dać na wstrzymanie i tak od razu tego nie pisać. Czuję się teraz jak kompletny idiota. Strasznie się wstydzę. Tak, czuję się właśnie w ten sposób. Odstawiony na boczny tor. Jakby wiatr przelatywał przeze mnie na wylot albo coś w tym rodzaju...

Niektórzy z tych ludzi mogliby chyba pomóc mi poradzić sobie z pewnymi uczuciami, gdybym tylko z nimi porozmawiał. Nie muszę wcale ich lubić. Muszę jedynie nauczyć się od nich, jak można żyć bez narkotyków. Z pewnością nie od Stana, ale na przykład z Julie pracowałyby mi się chyba zupełnie dobrze...

Tak, do cholery. Spróbuję przez jakiś czas żyć na ich sposób. Ciągłe jednak nie mam zamiaru korzystać z tej wanny do masażu podwodnego...

Dzień dwudziesty ósmy

Nie mogę wprost uwierzyć, że za dwa dni wracam do domu. Tak całkiem jednak nie rozstaję się z kliniką. Powiedzieli, że przez cały przyszły tydzień będę mogła tu przychodzić na cały dzień. Będę pacjentką oddziału dziennego. Bart też. A więc teraz wezmę z obu światów co najlepsze. Trudno mi sobie wyobrazić dzień bez Carla, który za dużo gada. Ciekawe, czy zreagowałby za mnie wiadomość dla automatycznej sekretarki.

Dzisiaj były dwudzieste urodziny Marka. Najlepszym prezentem urodzinowym okazał się Big Mac kupiony przez Stana.

... Dobra, dobra, jestem alkoholikiem. Nie wolno mi już nigdy więcej się naćpać. Gdybym to zrobił, mógłbym umrzeć. Albo jeszcze gorzej. Pamiętam, jak Stan - brzydzą się tym frajerem - powiedział raz, że najgorszą rzeczą wcale nie jest umieranie, tylko takie życie. Byłoby straszne, gdybym musiał spędzić całe życie w hotelach typu „Ramada Inn” z ospowatymi dealerami. Nawet kokaina nie zwiększyła jego atrakcyjności w moich oczach. Prawdę mówiąc, kokaina niewiele zmienia, może poza tymi pierwszym uderzeniem... Tak, nie ma co wygłaszać tyrad pochwalnych na cześć narkotyków.

Sądzę, że wszystko, co mogę teraz zrobić, to rzucić się w wir pracy, zabrać się do pisania. Na spotkania też będę chodził - przynajmniej dopóki rodzice znowu się do mnie nie przyczepią - ale przynigdy nie pójdę na tańce w klubie AA. Kiedy tak stoisz wśród gromady ludzi, którzy nie palą, a nawet gorzej, nie mogą zapalić marihuany i wyginasz się w tańcu, to musisz czuć się naprawdę tragicznie. Zupełnie jak robak żałośnie miotający się na wędce, którą zarzucono do rzeki pozbawionej ryb. Tak, to doskonale porównanie. Myślę, że pisanie scenariusza pójdzie mi gładko.

Julie powiedziała, że mogę ponownie dołączyć do grupy, więc zaczynam zbierać dane o ludziach. Słyszałem, że Suzanne jutro wychodzi. Koniecznie muszę z nią pogadać, bo w przeciwnym razie kompletnie wszystko spieprzę. Nie chciałbym myśleć, że oszukiwałem sam siebie, wierząc, że mamy ze sobą coś wspólnego. Ona jest tutaj jedyną osobą, z którą mógłbym się porozumieć.

Muszę przyznać, że moja postawa chyba nie była właściwa. Uważam, że teraz ci ludzie powinni stać się dla mnie kimś w rodzaju przyjaciół. To brzmi jak dowcip. Jeśli istnieje jakiś Bóg, to pewnie przypomina Shecky'ego Greene'a, skoro najpierw

wrzucił mnie do „Ramada Inn” z torbą kokainy, a potem znowu wpełchnął mnie tutaj. Cóż, przynajmniej jest to bardzo dramatyczna historia i na dodatek w klinice znajdują się ludzie, którzy mogą stać się pierwowzorami postaci filmowych. To moja wersja wielkiego przełomu i wcale nie chcę, żeby otworzyło się niebo i żeby Bóg zrzucił mi jakieś liściki. Nie chcę stać się religijny. Coś pośredniego między Julie, a tym, kim ja na ogół jestem.

Chodzi mi o to, że chciałbym mieć kilku przyjaciół, ale żeby to byli tacy członkowie ruchu AA, którzy są równymi ludźmi. Żadnych uśmiechniętych kretynów, żadnych napalonych, zwariowanych republikanów. Nie chcę zapisywać się do Partii Republikańskiej. Trzeba być frajerem, żeby upodobnić się do niektórych z nich. Chyba nie oczekują... Dobra, nie zapalę już trawki, ale też nie stanę się fanatykiem Jezusa. Tak, to jest właśnie to. Gdzieś trzeba poprowadzić linię graniczną. Nie będę brał narkotyków, ale to wcale nie oznacza, że zastąpię je sercami i kwiatami. Nic z tych rzeczy.

Muszę pogadać z Suzanne, zanim wyjdzie z kliniki. Rano idziemy do parku, więc będzie okazja... To nic nadzwyczajnego. Nie powinienem robić z tego jakiegoś wydarzenia, bo wtedy się zdenerwuję i ucieknę. Ale, z drugiej strony, jeśli z nią nie porozmawiam, to do końca pobytu w klinice będę się nad sobą znęcał i zarzucał sobie, że stchórzyłem. To przypomina zmianę warty nowego bez narkotykowego pokolenia. Ona wychodzi, a ja zostaję w klinice.

Jestem pewien, że wiele nas łączy. Moglibyśmy pogadać o tym, że nie lubimy Staną. Albo o Carlu. Nie możemy porozmawiać z Carlem, bo on się nigdy nie zamyka, ale o nim możemy porozmawiać. Sam nie wiem. Może o Sidzie. Mógłbym ją zapytać, czy brakuje jej Sida. Tak, mamy mnóstwo wspólnych znajomych...

Dzień dwudziesty dziewiąty

Podczas lunchu Wanda oświadczyła, że mi zazdrości tych wszystkich filmów, w których grałam. Spodobał mi się sam ten pomysł, że będąc w klinice dla narkomanów, mogę wzbudzać zazdrość w kimś, kto też jest w takiej klinice.

Czasami myślę, że nie zostałam stworzona do życia w realnym świecie. A teraz z radością oczekuję na spotkanie z otwartą, nieskończoną rzeczywistością. Rzeczywistością, która śni o mnie nieprzerwany sen. Niewzruszoną, niezmienną rzeczywistością. Niektórzy nazywają to wyzwaniem, inni wyrokiem. Bez względu jednak na to, jak nazwiemy tę sytuację, my wszyscy, pacjenci oddziału rehabilitacji narkomanów - świeżo przyjęci do grona abstynentów - w pełni należymy do tej rzeczywistości. Jak niewolnicy. Marionetki rzeczywistości.

Wędrowcy, potakiwacze, królowie.

... W porządku, w porządku, czas na wyjście do parku. Ta okropna pielęgniarka zabiera nas do parku, ta z tym przeraźliwie piskliwym głosem jak z kreskówki, ta, co ciągle stuka kluczami w drzwi do mojego pokoju. Z drugiej strony, to może być ciekawa postać do filmu - Dokuczliwa Pielęgniarka. Mogłaby stanowić przeciwwagę dla mojego głównego bohatera.

Jak wyglądam? Cholera, sweter ciągle śmierdzi. Ale nie mogę się zbyt tym przejmować. To moja ostatnia szansa. Chcę porozmawiać z Suzanne i dziś jest ten właściwy dzień. Zaczynam. Boże, jakie to żalosne. Ci wszyscy ludzie czekający przed dyżurką pielęgniarek...

Oto i ona. O, Boże, przed jej drzwiami stoi walizka. Jakby to był koniec obozu. Narkotykowego obozu. Powinniśmy robić gumki do podwiązywania żył. Dobra, idziemy. Do kogo mógłbym się dołączyć, by się wydawało, że do nich należę? Tak bardzo jestem poza grupą. Gdybym kiedyś już przyłączył się do nich, teraz wyglądałoby to znacznie bardziej naturalnie i... Zaraz, zaraz, tam jest Carol.

- Cześć, Carol. Nie, czuję się lepiej. Ja... Spieprzyłem to. Tak. Od paru dni jestem na inderalu. Twierdzą, że mam bardzo

przyspieszone tętno. Niepokój? Nie, chyba kokaina, która ciągle jest usuwana z organizmu.

Głupio zabrzmiało.

- Pewnie to niepokój. Dobra! Teraz!

- Cześć. Cześć, Suzanne.

Boże, powinienem powiedzieć coś więcej. Co jeszcze mogę... Nie patrz na nogi. Nie śmierdzisz. Naprawdę nie śmierdzisz. Wyglądasz świetnie.

- Tak, właściwie nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Tak. Słyszałem, że wracasz do domu. Wcale nie zdenerwowana? Tak. Tak, ja byłem zdenerwowany, kiedy wracałem do domu. Masz rację, to nie było to samo. Ja uciekłem. A więc, odwiedzisz nas jeszcze kiedyś? Jak ci się wydaje?

Jakie durne. Jakieś takie rozpaczliwe. Po prostu się uspokój.

- Masz jakąś robotę na oku? Jak sądzisz, czy to zaszkodzi twojej karierze, że jesteś narkomanką? Tak, czuję, że tak. Czuję, że tak. A więc do parku. Idziemy do parku.

Kurwa, nie wiem, o czym z nią rozmawiać. Co by tu jeszcze powiedzieć? Powiedz jej, że ładnie wygląda. Nie, nie mogę. Co by sobie o mnie pomyślała? Że ją podrywam, czy co?

- A więc przychodzisz w przyszłym tygodniu na terapię grupową? To mądre z twojej strony, bardzo mądre. Chyba ja też tak powinienem zrobić. Oczywiście kiedy już stąd wyjdę. Co o tym myślisz? Chciałbym wiedzieć, co o tym myślisz, bo...

Wychodzę na kompletnego oferwę. Coś w rodzaju Jima Naborsa. Jezu! Po prostu wal dalej. Do przodu.

- ... Chciałem powiedzieć, że ty, będąc studentką czwartego roku tej narkotykowej uczelni, mogłabyś mnie, początkującego we wszystkich zasadniczych sprawach...

To było dobre. W porządku, jedź na tym dalej.

- ... Hm, wiesz, ty właśnie dostajesz dyplom, a ja to nowy narybek. Wiesz, jak to jest. Nie znam wszystkich reguł. Może mi coś doradzisz? Oczywiście coś innego niż powstrzymywanie się od narkotyków. Uhm, tak. Powiedz mi, co sądzisz o Stanie?

Naprawdę? Nie wiem, dla mnie on jest... Szczerze? Myślę, że jest bardzo niesympatyczny. Był taki dzień, że prawie udało nam się pogadać... Tak, czułem, że przebrał miarę. To znaczy, nie chciałem przez to powiedzieć, że w tej klinice w ogóle można mówić o jakichś miarach... Zresztą, tego się nie da zmierzyć linijką... Linijką? Nie, nie chodziło mi o jakąś kokainową grę słów...

Cholera, pomyśli, że jestem prawdziwym kretynem.

- ... Wiesz, zdaje się, że nie ma tu innych reguł poza powstrzymaniem się od narkotyków, ale myślę, że uprzejmość i przyzwoitość mogłyby... Chodzi mi o to, że bez względu na to, jak bardzo byłem naćpany, zawsze byłem dla wszystkich bardzo serdeczny. Oczywiście. Moi dealerzy mnie lubili. To brzmi jak żart, ale to prawda. Z całą pewnością moi dealerzy mnie lubili. Więc...

Powiedz coś. Nie pozwól, żeby zapanowała cisza. Jeśli przestaniesz gadać, ona sobie pójdzie. Jest aktorką, a aktorki lubią gadać i...

- Co zamierzasz zrobić ze swoją karierą? Wiesz, chciałem z tobą o tym porozmawiać. Wiem, że to brzmi, jakbym był tylko przygłupem z kliniki dla narkomanów, prawda? Może nie słyszałaś, że jestem pisarzem, i hm, właśnie zastanawiałam się, czy nie napisać o tej klinice. Rzuciłabyś na to okiem? Tak, scenariusz. Może miałabyś ochotę w tym zagrać? Nie chciałbym ci zawracać głowy...

- Nie opowiadaj takich rzeczy. Naucz się dobrze sprzedawać samego siebie.

- Zrobiłabyś to? Przeczytałabyś ten scenariusz? Wspaniale. Nie, jeszcze tego nie napisałem. Lubię najpierw nazbierać w głowie mnóstwo materiałów i pomysłów, a potem, kiedy już mi się wydaje, że mam wszystko, po prostu przelać to na papier. To przychodzi samo. Przynajmniej mam taką nadzieję. Jeszcze nie próbowałem pisać bez narkotyków. Dziennik? Naprawdę? Prowadzisz dziennik? Czy to był twój pomysł, czy... Taak. I nie

musimy tego na koniec oddawać? Nic z tych rzeczy? To nie-
głupie. Czy piszesz o... Piszesz o ludziach? Chodziło mi o ludzi
takich jak Sid i Carl, i każdy z nas. Tak, to brzmi wspaniale.

Spójrz na nią. Zanudziła się na śmierć. Kurwa, zabiję się.

- Na huśtawki? Pewnie. Chyba będziemy nogami dotykać
ziemi i...

Idź! Poprosiła cię, żebyś z nią poszedł na huśtawkę. Idź!

- Chcesz, żebym cię popchnął? Popychanie cię na huśtawce
byłoby dla mnie zaszczytem. Poprosimy tego chłopca, żeby
zszedł, czy...? Widzisz gdzie jego matkę? O, jedna jest wolna,
te dziewczynki właśnie schodzą. W porządku, popchnę cię. To
będzie wspaniale. Właśnie w ten sposób cię pożegnają. Jakbym
cię stąd wypchnął.

Następny nędzny dowcip słowny. Nigdy nie przeczyta
twojego scenariusza. Ale niech już będzie, przestań ciągle
przepraszać. Musi mnie teraz nie cierpieć. Mówię jak ci, co
używają wody kolońskiej firmy Vitalis*.

- W porządku, jazda. Jazda.

Nigdy w życiu tego nie zapomnę. Biorę udział w wydarzeniu,
które może stać się anegdotą. Huśtam Suzanne Vale. Ludzie
pomyślą, że się kochamy. Być może kiedyś naprawdę się
pokochamy?

- Lubisz tak wysoko?

Wysoko. High. Haj. Żadnych dowcipów ze słowem
„wysoko”. Po prostu niech tak zostanie. Bądź cicho. Posłuchaj
wiatru, drzew...

- Przyjemnie, prawda?

Ciii... Nic nie mów. Po prostu ciesz się tą chwilą. Zanurz się
cały w terażniejszości. Mam nadzieję, że nikt tu nie przyjdzie.
Chcę zapamiętać ten obraz. Huśtam Suzanne Vale w parku przy
klinice dla narkomanów...

* Vitalis - tania, słaba woda kolońska o mdłym zapachu,
często używana przez ciągle podchmielonych kawiarnianych
cwaniaczków.

Dzień trzydziesty

Całe rano spędziłam w parku z Alexem. Naprawdę nie jest to zły facet, ale też nie nadzwyczajny. Jednak huśtał mnie bardzo długo. Wiem na pewno, że faceci nie potrafią robić dwóch rzeczy - popychać huśtawek i zabijać insektów.

Ciągle mam w głowie tę dziwną scenę - ćpun huśta ćpunkę na malutkiej dziecinniej huśtawce, wokół nich biegają z piskiem małe dzieci, a ich matki siedzą na ławkach i patrzą. Wszystkie dzieci są małe, a dwoje dużych.

Alex powiedział mi, że pisze scenariusz o klinice. Pobyt tutaj jest na pewno najbarwniejszym wydarzeniem w jego życiu. Powinien zatytułować swój film „Rehab!”

Nie mogę się doczekać, kiedy znów będę jeździć samochodem. Może pójdę dzisiaj do kina. Słyszałam, że „Doctor's Orders” to całkiem dobry film. Tak czy inaczej, z przyjemnością pisałam ten dziennik. Może w domu także powinnam go pisać? Musiałby być na poziomie, na wypadek gdyby opublikowali go po mojej śmierci.

W czwartek idę z Sidem na tańce do klubu AA w dolinie. Może przesadzam, ale, do diabła, co...

To chyba było pranie mózgu, bo teraz tak czysto mi się myśli.

Notatki do filmu o oddziale rehabilitacyjnym.

Suzanne dzisiaj wyszła. Cieszę się, że zbliżyliśmy się do siebie wtedy w parku. Długo to trwało, ale warto było czekać. Jestem bardzo zadowolony, że nie poznała mnie wcześniej, kiedy byłem taki upierdliwy. Jest wspaniała. Gdyby schudła o dwa, trzy kilogramy, tobym się z nią ożenił.

Myślę, że jej sugestia, żebym prowadził dziennik na użytek tego scenariusza, była bardzo trafna. Szkoda, że nie mogę zajrzeć do jej pamiętnika. Nie jest żadnym pisarzem, ale jest Suzanne Vale. Ciekawe, czy go kiedyś opublikuje.

Ciekawe, czy jest w nim coś o mnie...

OKRUCHY NA BANKIECIE

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział. - Byłem na zebraniu dotyczącym produkcji filmu. Czy moja sekretarka zadzwoniła do ciebie?

- Tak, dzwoniła - potwierdziła. - Nic się nie stało. Przyniosłam sobie książkę.

- Co czytasz? - zapytał. - Może też bym to przeczytał? O, wspaniale. „Siddharatha”.

- Właściwie już to kiedyś czytałam. Teraz przeglądam po raz drugi - odparła.

- Bystra aktorka. Uwielbiam to. Jaki masz iloraz inteligencji? Ja sto czterdzieści osiem.

- Genialny producent filmowy.

- Tak - odrzekł. - Chociaż w tym mieście niezbyt mi to pomaga.

- Strasznie mi się podoba, kiedy ktoś nazywa to miejsce miastem - stwierdziła. - Wyobrażam sobie, że znajduje się tu sklep tekstylny, wieża z zegarem i listonosz. „Dzień dobry, panie Phelps, jak się pan miewa? Jak tam reumatyzm?” Miasto Hollywood. Blichtrowo. „Halo, jestem burmistrzem Blichtrowa. Witam w naszym mieście. Jak się państwo tutaj czują?”

- I do tego zabawna - dodał. - Andrea miała rację. Na pewno cię polubię.

- Pamiętasz może swoje wyniki z egzaminów w college'u? - spytała.

- 6,96 z angielskiego - odparł. - 7,66 z matematyki. Kiedyś umówiłem się z dziewczyną. Oświadczyła, że chciałaby mi wepchnąć język do ust, żeby się znaleźć bliżej mojego mózgu. Lala z ptasim mózdzkiem.

- Jak poznałeś Andreę?

- Przez Candy.

- Tak, ona jest świetna - uznała. - Kiedy byłam mała, zawsze chciałam wyglądać tak jak ona. Wiesz, wychowałam się w Los

Angeles. Tam przywiązuje się wielką wagę do wyglądu. Chodzą mi o to, że nawet wtedy, kiedy jeszcze byłam uczennicą, zawsze najpierw zastanawiałam się nad tym, co włożę następnego dnia, a dopiero potem brałam się do lekcji. Była w mojej klasie taka dziewczyna - nazywała się Beth Ann Finnerman - której nigdy nie opadały podkolanówki. Moje zawsze zwijały się gdzieś koło kostek. Naprawdę uważałam, że powodziłoby mi się w życiu lepiej, gdybym umiała sobie radzić z takimi rzeczami, jak naciągnięte podkolanówki.

- Cóż - wtrącił - dla mnie wyglądasz doskonale.

- Ostatnio odkryłam - dodała - że należy być zdrowym, aby dobrze wyglądać. Kiedyś sądziłam, że to banał, ale teraz uważam, że „zdrowy” znaczy tyle samo, co „atrakcyjny”, wiesz?

- Czy coś zamówimy?

- Tak - odparła. - Zdaję sobie sprawę, że za dużo gadam, ale nie chcę, byś przypuszczał, iż się denerwuję. Być może tak rzeczywiście jest, ale wołałabym, żebyś tak nie myślał. Przegapiłam dzisiaj lunch, a za każdym razem, kiedy to robię, staję się niespokojna. Muszę ci także powiedzieć, że jestem na diecie. Używam pritikinu*. Cholesterol mi wzrasta. Powinnam jeść warzywa gotowane na parze albo trochę białka, na przykład kawałek kurczaka. To znaczy nie jestem jakąś fanatyczką, po prostu chcę wypróbować ten pritikin. Tak czy inaczej nie przesadzam z tym wszystkim, tylko chcę wiedzieć. Muszę mieć rozeznanie, żebym - kiedy już się decyduję na używanie cukru rafinowanego albo oleju, albo jedzenia czegoś, co zawiera tłuszcz zwierzęcy - przynajmniej zdawała sobie sprawę z tego, co robię. Że swoje tętnice przerabiam na pizzę. I żadnych jajek. Przenigdy.

- Nie masz chyba... - zaczął.

* Pritikin - środek stosowany w dietach odchudzających.

- O, jeszcze jedno. Nie piłam niczego z kofeiną, odkąd tydzień temu rozpoczęłam medytację - dodała.

- Nie masz chyba żadnych kłopotów z jedzeniem, co? - zaniepokoił się.

- Właściwie jestem nie spełnioną anorektyczką* - odparła. - Moje myślenie jest anorektyczne, ale zdaje się, że nie potrafię zebrać się w sobie i zachowywać się jak anorektyczką.

- Przez jakiś czas umawiałem się z pewną dziewczyną - powiedział. - Potem okazało się, że cierpi na bulimię**. Wtedy o tym nie wiedziałem. Ciało miała wspaniałe. Zdaje się, że doszła do niego właśnie z powodu bulimii.

- Nie, nie mogłabym mieć bulimii - stwierdziła. - W żaden sposób nie mogłabym się zmusić do wymiotowania.

- Jesteś taka otwarta - zauważył. - Podoba mi się to.

- U kobiet? Słuchaj, tutaj się nie da zamówić nic specjalnego. Jesteśmy w „Pasta Hello”. Po prostu weźmy lazanie.

- Jesteś pewna? Świetnie. Kelner, dwie lazanie, jedno piwo Heineken i...

- Dietetyczną colę - wtrąciła.

- I jedną dietetyczną colę - powtórzył. - Dziękuję. Wiesz, to, o czym wspomniałaś, jest naprawdę ciekawe. Myślę o medytacji. W przypadku kogoś, kto przeżywa wszystko intensywnie, stan transcendentny musi być rzeczywiście interesujący. Nie sądzę, bym należał do ludzi, którzy miewają bardzo łagodne stany transcendentne. Myślę, że ja od razu osiągnąłbym nirwanę. Czytałem trochę na temat Zen.

* Anoreksja - jadłowstręt, choroba na tle nerwowym, charakteryzująca się intensywnym głodzeniem się chorego, prowadzącym do wyniszczenia organizmu i w końcu, nie leczona, do śmierci.

** Bulimia - wilczy apetyt, choroba na tle nerwowym, polegająca na niepohamowanych atakach żarłoczności, po których chory prowokuje wymioty.

Gdyby można było dojść do nirwany przez samo czytanie, to z pewnością już bym ją osiągnął.

W moim przypadku zastosowanie filozofii Zen sprowadziłoby się do jednego - mogę zrobić film albo nie. Cała ta filozofia zawiera się właśnie w owym „albo nie”. Tak jak w tym pytaniu: Ilu potrzeba buddystów do wkręcenia jednej żarówki? Czteranastu - siedmiu po to, żeby to zrobiło, a drugich siedmiu, żeby nie zrobiło.

- Słyszałeś o tej polskiej gwiazdce, która przyjechała do Hollywood? - spytała. - Spała ze wszystkimi scenarzystami.

- Tak, znam ją - odparł. - Zanim zapomnę, chciałbym ci powiedzieć, że zawsze uważałem cię za wspaniałą aktorkę. Strasznie mi się podobałaś w „Mist on the Lake”, szczególnie w tej scenie, kiedy stałaś na urwistym brzegu w tej przezroczyściej sukience, otulona włosami i po prostu patrzyłaś przed siebie. Muszę ci wyznać, że wtedy mi stanął. I nie z powodu rowka między twoimi piersiami, lecz twojej gry. Byłaś znakomita nawet w „Porkey's Nerds”, chociaż wydawałoby się, że w takim beznadziejnym filmie po prostu nie można dobrze grać. Jak to się stało, że taka bystra dziewczyna została aktorką?

- Moja terapeutka, Norma, twierdzi, że to wszystko dlatego, że za mało mnie kochano, kiedy byłam dzieckiem - odparła. - Teraz staram się to sobie zrekompensować zwracaniem na siebie uwagi otoczenia. Dlatego też mam bardzo uwodzicielską naturę. Widzisz, to jest tak. Wpadasz na rozmowę tu i tam, spotykasz się z ludźmi dosłownie przez chwilę, więc musisz tak się korzystnie zaprezentować, żeby naprawdę chcieli cię zaangażować. To jest bardzo ważne. Nawet jeśli odniesiesz sukces, to wcale nie jest ci łatwiej. Musisz się liczyć z publicznością. Zaspokoić każdą jej fantazję na swój temat. Nigdy nie wolno ci okazać, że czujesz się znużony i zmęczony. Zawsze musisz wyglądać tak, jakbyś był w znakomitej formie, a wtedy każdy myśli, że jesteś jego bratnią duszą. A ty w żadnym towarzystwie nie czujesz się swobodnie.

- Producenci muszą spotykać się z ludźmi i udawać, że ich lubią - zauważył. - Dawać im poczucie bezpieczeństwa. Wszyscy uwrażliwiamy się na odczucia innych ludzi, a zapominamy o własnych.

- W Hollywood nie istnieje prawdziwa bliskość - dodała - ponieważ każdy wyspecjalizował się w udawaniu przyjaźni! Ciągłe ktoś do ciebie dzwoni, jesteś otoczony życzliwymi ludźmi, ale zdajesz sobie sprawę, że gdyby twoje powodzenie zmniejszyło się odrobinę, nigdy by do ciebie nie zatelefonowali.

- Dobrze wiem, co masz na myśli - przytaknął. - Latami chodziłem na dziwki, ponieważ, muszę się przyznać, odniosłem wielki sukces jako producent i scenarzysta, a teraz myślę o reżyserowaniu. - Columbia chce, żebym wyreżyserował film, a ja czuję, że właśnie nadszedł na to czas. To znaczy z całą pewnością zajmuję się filmami, które mógłbym reżyserować. Jest taki jeden, o szkole średniej, która... Tak czy inaczej, robię to już od pewnego czasu i ludzie mogą mnie lubić tylko dlatego, że mam pieniądze. Więc pomyślałem sobie, że jeśli ktoś ma mnie lubić za pieniądze, to równie dobrze może to być kurewka, która i tak lubiłaby mnie wyłącznie za pieniądze. Chociaż miałem też dziewczynę. Nie wiem, czy był to poważny związek, w każdym razie chodziliśmy trochę ze sobą. Ale, wiesz, widywałem też innych ludzi. Trudno mi... Nie wiem dlaczego, ale myślę... Kiedy dojrzewasz w takich warunkach jak ja, to może...

- Masz problem z bliskością - wpadła mu w słowo.

- To nie tak - odparł. - Ja po prostu nie chcę żadnych bliskich związków. Nie widzę sensu w ich nawiązywaniu. To znaczy bardzo angażuję się w pracę i... To nie jest naprawdę tak, że nie chcę bliskości. Nie chcę zobowiązań. Nie wiem, przypuszczam, że w końcu to może być tylko wykręt. Mój prawnik twierdzi, że boję się prawdziwego uczucia. On mieszka z dziewczyną, stwarza pozory, że chodzi o coś poważnego. Po co? Uwielbiam seks, nie zrozum mnie źle. Można by nawet posunąć się do

stwierdzenia, że mam obsesję na punkcie seksu. To znaczy mam nadzieję, że nie uważasz mnie za nieokrzesanego typu - jakoś przylgnęła do mnie taka etykieta - ale, wiesz, chciałbym się z tobą kochać. Chodzi mi o to, że wyglądasz na kogoś takiego, z kim byłoby wspaniale się kochać.

- Cóż za romantyzm - wtrąciła.

- Masz rację - powiedział. - Jestem zimny. Jakoś ostatnio to do mnie dotarło. Przeraża mnie, że tak naprawdę nie obchodzi mnie nic, oprócz pracy. Sądzę, że mogłabyś mnie nazwać pracoholikiem. Gdybym nie został producentem filmowym, to byłbym na przykład trenerem, bo to zajęcie również wymaga zaangażowania. Potrzebuję intensywności, rozkwitam dzięki niej, jestem nią. Zatem uwielbiam otoczenie, które w jakiś sposób mnie uzupełnia. Na koncercie Bruce'a Springsteena potrafię się rozluźnić. W środku takiej energii umiem się odprężyć. Myślę, że osiągnąłbym sukces w armii, tylko że... Cóż, nie chciałbym zostać ranny, nie lubię bólu.

O ile wiem, nie jest to niczym nadzwyczajnym.

- Pomyślałeś, że lepiej o tym wspomnieć - powiedziała - na wypadek, gdybym miała ochotę dźgnąć cię widelcem.

- W każdym razie, chciałbym mieć ochotę z kimś się zaprzyjaźnić - dodał - bo wszyscy tak robią i ładnie to wygląda.

- Dla mnie bliskość to dwoje ludzi siedzących przy świecach i słuchających nago jakiejś ważnej dla nich muzyki - oznajmiła. -

Fakt, że oboje uwielbiają ten sam film wideo i że żadne z nich nie chciałoby przerwać oglądania „The Sot - Weed Factor”. Pewnego dnia umówiłam się z kimś w restauracji i powiedziałam, że nie lubię sushi*. Nazwałam tę potrawę „dziąsłami wieloryba”, a on wykrzyknął: „Naprawdę? Nie lubisz? Ja też tego nie znoszę”. - Zabrzmiało to tak, jakby powiedział: - Nareszcie! Ktoś, kto mnie rozumie.

* Sushi(susi) - japońska zakąska, złożona z małych, surowych kawałków ryb, ośmiornic, krewetek, wodorostów itp.

- Mieszkamy w Ameryce - wtrącił. - Każdy, kto mówi po angielsku, rozumie cię. Jak interpretują to, co mówisz, to już co innego.

- Zwykle wystarczy jedna rzecz, by ktoś poczuł, że jesteś mu bliski - kontynuowała. - Na przykład on mówi coś niemiłego o psychiatrach, a ty wtrącasz: „O, nie lubisz psychiatrów? Ja też sadzę, że są okropni. Można poradzić sobie samemu. Latami wszyscy tak robili. Na przykład pierwsi osadnicy. Nie mówili przecież »Nie mogę ściąć tego drzewa, bo w południe nie mam spotkanie z terapeutą« albo »Mój psychiatra twierdzi, że zabijanie Indian jest odreagowaniem agresji«.

- Zauważyłem, że ludzie, którzy przyznają, iż są samotni, mają tendencję do trzymania się razem - powiedział. - Jakby taki wspólny mianownik wystarczył. Mały klub niezadowolonych, pełnych egzystencjalnych lęków ludzi. Fi, Beta Furia.

- Fi, Beta Furia. Znakomite. Kupuję to.

- Kiedy spotykasz się z kimś na pierwszej randce, cała przeznaczona do nagłych wypadków adrenalina stawia cię w stan pogotowia. Pokazujesz to, co w tobie najlepsze, i to w taki sposób, jakbyś zawsze tak robił. Jakby to były naturalne warunki do ujawniania się twoich najlepszych cech. A wcale tak nie jest. To wszystko jest całkowicie wymuszone.

- Chodziłam kiedyś z pewnym senatorem - powiedziała - który bez przerwy powtarzał: „Jesteś nadzwyczajna. Wspaniała z ciebie dziewczyna”. A ja wtedy myślałam: „Zamknij się wreszcie. Przestań gadać na ten temat”. Mówił mi to, bo myślał, że właśnie tego potrzebuję, a nie dlatego, że naprawdę tak sądził. Gdyby naprawdę tak uważał, sama bym o tym wiedziała. Bez gadania.

Byłabym w stanie złożyć sobie tę informację z jego gestów i słów, krok po kroku. Tak czy inaczej, dobrze wiem o tym, że jestem wspaniałą dziewczyną. Wspaniałą dziewczyną muszę być podczas przesłuchań do roli. Marzę o tym, by dla kogoś być zupełnie kimś innym.

- Aktorzy występujący w moich filmach zawsze budzą we mnie sympatię - oświadczył. Zaczynałem jako aktor. Chodziłem do szkoły aktorskiej, Jeff Bridges był w mojej grupie. Grałem w kilku własnych filmach. Sądzę, że jestem urodzonym aktorem. Mój ojciec odprawiał msze, więc mam ten talent po nim. Wielu synów kaznodziejów zostaje aktorami, na przykład Olivier. Zresztą sama możesz kilku wymienić. W każdym razie sam czytam role z aktorkami. Jestem zaskoczony, że nigdy nie czytałaś ze mną.

- Czytałam z tobą sześć lat temu - odparła. - Byłeś bardzo miły, ale wydawałeś się całkowicie pochłonięty czymś innym. To było wspaniałe spotkanie.

- Naprawdę? Jestem przekonany, że zapamiętałbym kogoś takiego jak ty. Poczekaj, czy to było do „Why Is Ruth Dead?” Brałem wtedy mnóstwo kokainy. Czytałem, że niedawno byłaś w klinice dla narkomanów, więc domyślałem się, że wiesz, o co mi chodzi. Nigdy nie posunąłem się do palenia kraku, ale... Brałem mnóstwo kokainy. Ja naprawdę lubię kokainę. Musiałem przestać, bo miewałem napady lęku. Mimo to jednak myślę, że powinienem cię zapamiętać. Jesteś bardzo atrakcyjna, a ponadto inteligentna. W Indiach mówią, że ciało jest kopertą dla duszy, a dusza - myślę - jest istotą człowieka. Cóż, mieszkamy w mieście kopert. To, co jest w tobie naprawdę nadzwyczajne, to fakt, że jesteś listem. Dochodzę do wniosku, że my naprawdę jesteśmy dwoma listami w mieście kopert...

- Kopertę proszę - wtrąciła.

- ...więc kiedy znajdujesz kogoś, kto ma ciekawy list, to chcesz go przeczytać - dokończył. - Problem polega na tym, że jesteś na tyle zdeterminowany przez swoją własną pocztę, tak głęboko zanurzony w jej „listowość”, że po prostu... Czasami myślę, że być może już spotkałem tę właściwą, ale jej nie dostrzegłem, tak bardzo byłem zajęty przyglądaniem się sobie, zastanawianiem się, czy dobrze wyglądam, na wypadek gdyby się pojawiła.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Czasami jestem z facetem i myślę: „Kocham tego człowieka. To jest właśnie to”. Ale ja kocham swoje wyobrażenie siebie u jego boku, a to ma z nim niewiele wspólnego. Usprawiedliwiam swoją chęć spotkania się z nim jeszcze raz, bo kocham wizerunek kobiety, która po raz kolejny potrafi udowodnić, że jest dowcipna i bystra, silna i wiele może. I potrafi podnieść mężczyźnie ciśnienie krwi.

- Zazdroszczę ludziom, którzy spotykają mnie po raz pierwszy - wyznał. - To pierwsze zetknięcie jest najważniejsze. Obserwuję ich uważnie i widzę, co się z nimi dzieje. Chciałbym być na ich miejscu i spotkać kogoś takiego jak ja.

- A ja - powiedziała - gdy tylko zauważę, że facet się zaangażował, zaczynam szukać dziury w całym. Co wcale nie oznacza, że to ja wynajduję te wszystkie powody do narzekania. To ten Śpiący Olbrzym w moim organizmie, który budzi się z bojowym okrzykiem i woła: „Taak! Spójrz tylko na te włosy”. Albo: „Och, mój Boże, czy słyszałaś tę bzdurę, którą on właśnie powiedział?” Ten Śpiący Olbrzym, który nie zna litości, żądny jest wad i poluje na nie jak na wielkanocne jaja. Ale to Olbrzym robi to wszystko. Ja lubię tych facetów. Czuję się nieswojo, wiedząc, że ten Olbrzym zamierza coś takiego palnąć. Coś we mnie chciałoby ich ostrzec: „Proszę, nie bądź głupi”. Jak gdyby ludzie mogli coś na to poradzić. A wtedy ten Olbrzym oświadcza: „On nie jest wystarczająco interesujący”. Problem polega na tym, że mnie naprawdę - tego Olbrzyma nie - ale mnie naprawdę obchodzi, co czują ci faceci. Widzisz, czasami nie okazuję współczucia, ale noszę je w sobie. Jestem zdruzgotana, kiedy jakaś drużyna przegrywa w sporcie. Nie chce mi się żyć, kiedy pokazują twarze przegrywających. Ja wiem, jak to boli. To znaczy ja sama potrafię zaledwie rozgniatą pluskwy, no chyba że czuję się bezpośrednio zagrożona.

- Mój problem polega na tym, że otaczam się wyłącznie tymi bardzo potrzebującymi - rzekł. - Nie wiedziałbym, jak rozpoznać człowieka, u którego wszystko jest w porządku.

Nawet gdyby tacy ludzie nosili znak rozpoznawczy z napisem: Wierz mi, nie mam żadnych problemów. Ja po prostu bym go nie dostrzegł.

- Dla mnie jedynym sposobem osiągnięcia bliskości z drugim człowiekiem jest wielokrotne spotkanie go - oznajmiła. - W marszu do intymności marszrutą jest dla mnie rutyna. Ustalam pewien schemat, według którego spotykam się z ludźmi i w ten sposób łatwo zauważam, kiedy ich nie ma. Gdy już zaczniesz postępować zgodnie z takim schematem, musisz często wyjeżdżać na urlop, abyś miał szanse na ciągle odnawianie starych znajomości albo też na powracanie do nich myślą. Kiedy znowu spotkasz tych samych ludzi, czujesz się tak, jakbyś usłyszał swoją ulubioną piosenkę, która tak długo była pierwsza na liście przebojów, że aż cię to zemdliło. Przez pewien czas nie nadawali jej przez radio, a potem nagle słyszysz ją ponownie i myślisz: „Wspaaaaniaaaale! Jak dobrze jest znowu to usłyszeć”. To samo jest z ludźmi.

- Dla mnie jest to odnajdywanie siebie samego w innych - oświadczył. - Ale w ludziach jest zbyt mało mnie, żebym chciał z kimkolwiek pozostać na dłużej. Przecież każdy z nas ma złożoną osobowość i jest nią naznaczony. Kiedyś, gdy byłem w Indiach, podjechał do mnie na deskorolce jakiś chłopak i powiedział: „Mój brat, mój brat”. Najpierw trochę mnie przestraszył, że nazwał mnie bratem, ale potem pomyślałem sobie: „Tak, tak! Rozumiem to, oczywiście, że tak. Jeśli uda mi się odnaleźć samego siebie w trędowatym...” Nieustannie szukam siebie i znajduję siebie dosłownie wszędzie. Tylko że to za mało, by mogło mieć jakieś znaczenie.

- A ja już nawet nie wiem, co chciałabym znaleźć - przyznała się. - Tak bardzo wciągnęło mnie samo szukanie. Robię to już tak długo, że czuję się w to kompletnie wrobiona. Na początku naprawdę miałam zamiar kogoś odnaleźć, zaimponować mu, przywiązać go do siebie. Rzecz w tym, że do tej pory moje poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Uznałam więc, że tak już

będzie zawsze. I to jest zasadnicza różnica. Teraz uprawiam szukanie, a nie znajdowanie. Zwycięzanie, a nie zdobywanie nagród. A nagrodą jest samo wygrywanie, być może dokładnie te trzy minuty, w czasie których właśnie odniosłeś zwycięstwo. Dlatego też słodycz stosunku seksualnego jest doskonała, ale zaraz później czeka cię tylko rozczarowanie. Ponieważ wszystko, czego chciałeś, to było dotarcie w to miejsce, a nie przebywanie tam. Kierowało tobą pragnienie, a nie chęć posiadania. Gdy tylko zaczniesz pieprzyć, już jest po wszystkim. Gdy tylko zaczniesz pieprzyć.

- Powinnaś zobaczyć mój dom - wtrącił. - Przypomina jaskinię niedźwiedzia. Moją jaskinię. Lubię, kiedy jest w nim trochę wilgotno, chłodno i ciemno. Jestem stworzeniem, którym rządzą nawyki, dlatego też lubiłem brać kokainę. Towarzyszył temu bardzo ścisły rytuał. Gdy skończyłem z kokainą, musiałem zwiększyć intensywność rytuałów związanych z innymi dziedzinami życia. One także nie są zabawne. Na przykład nie lubię myć zębów, ale to chyba tylko opóźnia tę czynność, tak czy inaczej w końcu je myję. Gdybym czekał na moment, kiedy będę robił wyłącznie to, co lubię, to nie wiem, czy w ogóle cokolwiek bym robił, poza gadaniem o tym, czego robić nie zamierzam. Wiec teraz postanowiłem, że nie muszę lubić, a po prostu muszę robić. Nie muszę chcieć, tylko muszę iść. Pojawiam się tam, gdzie muszę. Jednak uwielbiam się golić. Kocham podcinać brodę i smarować ją płynem po goleniu. Bardzo lubię, gdy wpada do mnie ten facet od gimnastyki. Mam taki szlafrok frotte, który noszę rano, kiedy wemę prysznic...

- Szlafrokowy Wojownik - zakpiła.

- I - ciągnął dalej - mam jeszcze drugi, z innego materiału. Nawet nie wiem, co to za materiał. Używam go wieczorem. Uwielbiam włoskie prześcieradła firmy Pratesi. Nie ma delikatniejszych. Kiedyś myślałem, że chciałbym wypożyczyć moje prześcieradła jakiejś czystej norweskiej rodzinie, która oddałaby mi je po trzech latach, całe poprzecierane. Ale teraz

kupuję takie cienkie. Mam też budzik. Wszystko jest właśnie tak. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale znajduję prawdziwą przyjemność w zwyczajnych szczegółach mojego życia, w porządkowaniu przedmiotów, szukaniu dla nich właściwych miejsc. Pewnie jestem w fazie analnej. To po prostu daje mi mnóstwo przyjemności. Powinnaś zobaczyć mój dom.

- Nie należysz do grupy wysokiego ryzyka, co? - spytała.

- Bardzo zabawne - odpowiedział.

- Pamiętasz, jak podczas ostatniej terapii stwierdziłaś, że chyba przez pewien czas nie powinnam umawiać się z mężczyznami? Dopóki nie popracujemy nad moją świadomością? Jak długo, twoim zdaniem, trwa „pewien czas”?

- Nie chodzi o to, że się umawiam, po prostu zastanawiałam się, jak długo mam odczekać, żeby, według ciebie, było w porządku. To znaczy, wiem, że teraz jeszcze nie jest w porządku, nie umawiam się, a tylko spotkałam się z kimś. Kilka... trzy razy. Próbowałam, to znaczy chciałam do ciebie zadzwonić, ale nie było cię w mieście. Pomyślałam więc, że pójście na malutką randkę nie zrobi mi wielkiej krzywdy.

- Rzecz w tym, że to znowu jest interesujący facet, dlatego też mnie przyciąga. Wiem, że tak naprawdę tylko na nudnych facetów warto polować, ale ja dostrzegam jedynie tę świetlną obwódkę, która połyskuje wokół interesujących mężczyzn. A, oczywiście, „interesujący” oznacza „z problemami”. Już nawet nie myślę: „Tym razem będzie inaczej”. Myślę tylko: „Tym razem będzie tak samo, najwyżej w inny sposób”.

- W każdym razie, moja koleżanka Andrea umówiła mnie z nim. Zajmuje się produkcją filmów, odnosi wielkie sukcesy, jest atrakcyjny i tak dalej. Byliśmy razem na obiedzie i bardzo dobrze się bawiliśmy. To typ emocjonalny - nie miałam, jak często mam, wrażenia, że między nim a mną jest cała masa martwego powietrza. Chodzi o to, że nie znalazłam jakichś zasadniczych różnic między nami. W podobny sposób atakuje, ma podobne zachcianki. Chyba ma większy apetyt na seks.

Wiesz, nigdy nie byłam dobra na tym polu. Nie czuję się wtedy w swoim żywiole, a raczej poza nim. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło. Za każdym razem, kiedy się kocham, chciałabym zapytać: „Skąd się tutaj wzięłam?” Właśnie dlatego unikam seksu, jak tylko mogę.

- A więc, spotkałam go, zjedliśmy obiad i naprawdę odniosłam wrażenie, że mnie rozumie. A ściślej, że mógłby mnie zrozumieć, gdyby chociaż na chwilę przestał gadać. To znaczy ten facet wyglądał na testosteronową odmianę mnie, a ja jestem testosteronową odmianą siebie samej, więc wszystko to razem było bardzo dziwne. Czułam się tak, jakbym przebywała z większą ilością siebie samej. Myślisz pewnie, że siebie już mam dość. Jednak spędziliśmy czas bardzo przyjemnie, a potem on zaproponował, żebym obejrzała jego dom. Myślę, że powinienam przewidzieć...

- Nawet nie miałam przy sobie żadnych środków antykoncepcyjnych. Co miałam zrobić? Założyć kapturek przed pójściem do restauracji? Czuję się zakłopotana, kiedy wiem, że mężczyzna uważa, iż sprawa jest przesądzona. Wygląda to mniej więcej tak - czasami staram się być nowoczesna, ale w pewnym momencie osiągam taki poziom tej nowoczesności, że wszystko, co wtedy robię, budzi we mnie sprzeciw. Powiedziałam mu więc, że nie potrafię się odprężyć, kiedy kocham się z kimś, kogo dopiero poznałam. Chyba mnie zrozumiał. Zaproponował, żebym została na noc.

- Zostałam. Pieściliśmy się trochę i było bardzo miło. W pewnym momencie, gdy właśnie się całowaliśmy, powiedział: „Gdybym ci teraz zrobił zdjęcie, byłoby doskonałe”. Wspomniał, że kiedyś podczas pobytu w Indiach, patrząc na Himalaje, stwierdził: Świetna fotka. A przecież on wtedy tam był. Zdaje się, że nie bardzo wiemy, gdzie się znajdujemy. Zupełnie oderwani od naszych własnych przeżyć, angażujemy się w to, do czego możemy je wykorzystać. Kiedy ich doznajemy, przenosimy je do jakiegoś innego środowiska.

Największym środowiskiem, w którym nasze przeżycia mogą istnieć, jest życie. A my chcemy je przenieść do tych mniejszych środowisk, żeby je zredukować do skali...

- W każdym razie zostałam na noc, a rano czułam, że on jest już bardzo daleko. Ciągłe był miły, ale wydawał się... Sama nie wiem. Było rano, więc pewien dystans jest zupełnie zrozumiały. Jednak odniosłam wrażenie, że się ode mnie oddala, a to natychmiast sprawiło, iż stał się dla mnie bardzo atrakcyjny. No i kochaliśmy się. Zrobiłam mu śniadanie. Powiedziałam, że normalnie nigdy tego nie robię. Przez cały czas powtarzałam, że normalnie nie robię niczego, co wtedy robiłam. Nie było to jakieś nadzwyczajne śniadanie. Zdaje się, że nie potrafię tak zaplanować przyrządzenia posiłków, żeby wszystko było gotowe jednocześnie.

- Potem on wyszedł, aby popracować nad montażem swojego nowego filmu „Ziz!”, a ja wróciłam do domu. Zanim dzień się skończył, udało mi się porozmawiać z większością moich przyjaciół... Czasami nie jestem pewna, czy ja w ogóle mam przyjaciół. Może otacza mnie gromada ludzi, którym o wszystkim opowiadam. Czuję się tak, jakbym zamieniła bliskość w jakiś bardzo powierzchowny gest. W każdym razie, ich rada była następująca: „Uważaj. Mówią, że to maniak seksualny. Pieprzy każdą”.

- A ja, gdzieś bardzo głęboko, gdzieś w samym środku, przyznałam się sobie, że właśnie myślałam... Wiesz, penetrując moje wnętrze nigdy nie dotarłaś zbyt głęboko, bo ja wszystko, co głębokie, przerzuciłam tuż pod powierzchnię. Myślałam... Kiedy byłam młodsza, kochałam się w homoseksualistach, ponieważ oni odrzucili mnie, zanim zdołali mnie poznać. W tym wypadku jest podobnie. Babiarze wprawdzie cię nie odrzucają, ale akceptują cię tak, jakby cię odrzucali, co właściwie prawie na jedno wychodzi. Dlatego też teraz pomyślałam: „Ze mną będzie inaczej”. Nie chciałam przez to powiedzieć, że koniecznie chce się z nim związać. Nawet nie pozwalałam sobie

mieć nadziei, że osiągnę tak wiele, ale niejasno przeczuwam, że gdzieś pod tym brakiem nadziei jest jednak jakaś nadzieja, że...

- Szkoda, że nie było cię tutaj w zeszłym tygodniu. Gdybym z tobą porozmawiała, to może pomogłabyś mi się powstrzymać od kochania się z nim. Zdaje się, że o własnych siłach nie byłam w stanie się od tego powstrzymać. Potrzebuję zachęty, aby tego nie robić. Czy mogłybyśmy ostro popracować nad tą słabością? Po prostu przesiąknąć pracą nad tym, zintensyfikować ją, tak jak zintensyfikowano kiedyś bombardowanie Wietnamu i w ten sposób nastąpiła eskalacja działań wojennych. Nasilmy działania wojenne na tym obszarze mojego życia. Jeśli nawet nie uda nam się mnie ulepszyć, to może chociaż będziemy w stanie sprawić, że przestanie mnie gnębić poczucie, iż jestem gorsza.

- W każdym razie zdawałam sobie sprawę, że chyba powinnam podejść do tej znajomości trochę chłodniej. Wiedziałam, że on podczas weekendu wybiera się na Festiwal Filmowy Jacksona Hole'a, a ponieważ nie chciałam, żeby przyłapał mnie na próbie zrobienia czegoś z tą naszą znajomością, wymyśliłam historyjkę o odwiedzaniu przyjaciół w Napa. W poniedziałek zadzwonił tuż przed dziesiątą. Poszliśmy razem na lunch, a potem kochaliśmy się u mnie w domu. Podoba mu się mój dom. Przez cały czas był dla mnie bardzo miły, a ja myślałam tylko, że muszę się starać robić wrażenie obojętnej, co było bardzo dziwne, bo właściwie jestem w stosunku do niego obojętna. To znaczy, wiem, że jest przystojny, że jest niezwykły i tak dalej, ale trzeba przecież wziąć pod uwagę jego reputację. Był kokainistą i pieprzy kurwy.

- Niektóre nasze rozmowy były naprawdę świetne. Dyskutowaliśmy o rzeczach istotnych z taką łatwością, jakbyśmy rozprawiali o pogodzie. Powiedział, że tamtej nocy nie mógł się ze mną spotkać, gdyż był umówiony z grupą rockową Bad Hetero w sprawie tytułowej piosenki do filmu. Ty jeszcze nie wróciłaś, więc pojechałam do Santa Barbara, aby po

prostu stąd uciec i nie myśleć o nim. Albo przeciwnie, po to by uciec i myśleć tylko o nim. Zdaje się, że można powiedzieć, iż mam obsesję na jego punkcie.

- Kilka dni później, na parkingu przy hotelu, wpadłam na montażystkę, Evelyn Ames, którą od lat widuję na różnych przyjęciach. Ta dziewczyna nie kryje się ze swoim temperamentem i na dodatek jest zadowolona z opinii, jaką się cieszy. Przynajmniej stwarza pozory, że tak się sprawy mają. Poszłyśmy razem na lunch i podczas rozmowy wspomniałam, że poznałam tego faceta, Jacka Burroughsa - nazywa się Jack Burroughs - i zapytałam ją, czy kiedyś z nim spała albo coś w tym rodzaju. Nie znam jej dobrze, ale wiem, że nie zwykła się kępować nawet wobec osób, które ledwie zna. „Tak, spałam z nim” - powiedziała. A potem spytała: „Czy skłonił cię do zrobienia czegoś takiego?” I nagle, ni z tego ni z owego, podciągnęła wysoko kolana do głowy. Odpowiedziałam: „Nie”. - Pomyślałam sobie, że jeśli nawet był to jedyny sposób, w jaki zademonstrował swój szacunek dla mnie, to chyba i tak już jest coś. Dodała też, że kiedy był z nią, to ciągle mówił o innej dziewczynie, która miała bardzo miękką skórę i którą zamierzał sprowadzić z Bostonu samolotem. Ocierał się o jej skórę i jednocześnie mówił o skórze tamtej dziewczyny. Dodała, że widziała się z nim całkiem niedawno. Okazało się, że była z nim w poniedziałek wieczorem, w ten poniedziałek, kiedy po południu był ze mną. Przecież to jest bardzo atrakcyjna dziewczyna, pomyślałam. Jeśli ktoś potrzebuje dwóch takich dziewczyn w jeden dzień, to... Przez głowę przeleciało mi wyrażenie „poza kontrolą”. Najwyraźniej zrobiło jej się głupio, więc dodała: „Ciebie chyba naprawdę lubi. Ze mną tylko się pieprzy i kiedy jest we mnie, to opowiada o innych dziewczynach”.

- Postanowiłam więc, że powinnam z nim skończyć. Chodzi o to, że wpaść na kogoś, kto tego samego dnia był z facetem, z którym ty byłaś, to po prostu upokarzające. Byłam wściekła.

Jadąc do domu, ostro wzięłam ten niebezpieczny zakręt w prawo. Koła jakby uniosły się nad drogę, a ja wyobraziłam sobie, że miałam wypadek i zabrano mnie do szpitala, a kiedy on mnie odwiedził, to wyrzuciłam go z sali. Pomyślałam, że naprawdę jestem już niespełna rozumu.

- A potem, po powrocie do domu, zadzwonił do mnie mój menedżer, Charlie, i chciał wiedzieć, czy spotykam się z tym facetem. Odparłam, że z trudem można to nazwać umawianiem się. Powiedział, że jego znajoma była z nim we wtorek wieczorem, a on wtedy zwierzył się jej, że widuje się ze mną. To znaczy, że mniej więcej w ciągu dwóch dni kochał się z trzema kobietami - przynajmniej o trzech słyszałam. Mogę sobie wyobrazić, czego jeszcze bym się o nim dowiedziała, gdybym dorwała się do którejś z tych krążących wokół niego piękności.

- Chciałam zatelefonować do niego i oznajmić mu, żeby już nigdy do mnie nie dzwonił. Jednak jakaś cząstka mnie ciągle żywiła nadzieję, że taki telefon sprawi, iż zrobi mu się przykro i uświadomi sobie, jak bardzo mnie kocha. Jeśli się ze mną nie ożeni, to będzie mu bardzo mnie brakowało. Myśląc w ten sposób, czułam się kompletną idiotką, ale byłam wobec tego bezsilna, jakby ktoś nie uprawniony namieszał coś w moim kodzie genetycznym. Niemal od urodzenia wyobrażałam sobie siebie w fartuchu, otoczoną zapachem stygnących na parapecie pierogów i płaczem dzieci dochodzącym z góry. Sądziłam, że właśnie to wszystko jakoś by mnie zakotwiczyło na tej planecie, że takiego właśnie balastu potrzebuję, by nie oderwać się od ziemi i nie polecieć w kosmos.

- Zadzwoniłam więc do niego i starałam się trochę żartować z tej całej sytuacji, ale on na mnie naskoczył. Powiedział: „Przyganiał kociół garnkowi”. Insynuował, że jest we mnie coś z dziwki, skoro w ciągu ostatnich pięciu lat spałam z dwoma facetami, których zna, i na dodatek zaraz po pierwszej randce poszłam z nim do łóżka. Myślę, że wszystkie, które z nim spały, muszą być dziwkami. Pokłóciliśmy się nie na żarty. On oskarżył

mnie o to, że w jego domu to ja doprowadziłam do zbliżenia i w ten sposób zapoczątkowałam cały ten romans, a ja na to: „No cóż, jeśli to ja zaczęłam, to właśnie teraz kończę. Stanę się dla ciebie wspamiętaniem wspomnieniem”. Odłożyłam słuchawkę.

- Ponieważ on nie zatelefonował do mnie, postanowiłam zadzwonić do niego i zakazać mu niepokożenia mnie telefonami. Połączyłam się. Odezwała się automatyczna sekretarka, która przekazała mi wiadomość od niego, wyrażoną jednym tylko słowem „Dziwko”. Wycofałam się w popłochu. To znaczy wiedziałam, że to było adresowane nie tylko do mnie, ale do tych wszystkich kobiet, które z nim kiedykolwiek spędzały czas. Mimo to byłam tak wstrząśnięta, że nie potrafię tego opisać. Oczami duszy ujrzałam go martwego i bardzo zimnym głosem zostawiłam dla niego wiadomość. Kiedy odezwał się następnego ranka, twierdził, że na taśmie nie było słowa „dziwko”, tylko „czego”. Pomyślałam wtedy, że chyba to moja chora wyobraźnia. Był taki czarujący, że może... O tym kotle przy ganiącym garnkowi powiedział na pewno, ale może rozumiał to w inny sposób.

- Byłam taka zmieszana, że naprawdę mogłam usłyszeć „dziwko” zamiast „czego”. Wiedziałam przecież, że nie oszczędził mi przykrych uwag. Teraz wydawało mi się, że ja też nieźle mu nagadałam. Poprzedniej nocy przysięgałam, że już nigdy się do niego nie odezwę, no chyba żeby mnie przeprosił, a teraz rozmawiałam z nim, mimo że wcale tego nie zrobił. Kocham tego faceta, pomyślałam. W chwilę później uświadomiłam sobie, że nie kocham go, tylko się zadurzyłam.

- Zaprosił mnie na lunch, a ja odmówiłam. Stwierdziłam, że wprawdzie nisko siebie cenię, ale to nie oznacza, że wcale. Tej samej nocy zadzwonił do mnie i żartował z tego, w jaki sposób zerwaliśmy. Zapytał, co mam na sobie, a ja odpowiedziałam, że wspomniałam suknię balową, buty do krykieta, maskę do nurkowania, rudą perukę, ale za to nie nałożyłam bielizny. Oboje staraliśmy się być dowcipni i wyglądało na to, że

rozpoczynamy nową znajomość, tyle że ta poprzednia trwała zbyt krótko, by się zestarzeć. A jednak się zestarzała. Doprowadziliśmy ją do końca, a jeszcze nie była całkiem martwa.

- W niedzielę po południu zatelefonował, aby zapytać, czy mógłby wpaść wieczorem i razem ze mną obejrzeć pokaz nagrodzonych filmów. Zgodziłam się. Ciągłe zachowywałam dystans, co z całą pewnością przyciągnęło go do mnie. Nie może się oprzeć ludziom, którzy potrafią się jemu oprzeć. Wpadł więc do mnie, razem podgrzaliśmy jedzenie, a wtedy oświadczył, że za mną tęsknił i to było wspańiałe. Poszliśmy więc do łóżka i kochaliśmy się. Jednak tym razem wykręcił się denerwująco ograniczoną grą miłosną przed stosunkiem. Właściwie tylko opowiedział mi dowcip o miłosnej grze wstępnej po irlandzku. Facet mówi: „Zbierz się w sobie, Bridget”. Potem chciał, żebyśmy nie wychodzili z łóżka przez całe rano, ale ja musiałam przyjść tutaj.

- Rzecz w tym, że mam nadzieję, iż nie jestem w ciąży. Wydaje mi się, że należę do tych, co łatwo wpadają. Wspomniałam mu o tym, a on stwierdził, że gdybym była w ciąży, to on nie miałby nic przeciwko temu, by pójść ze mną na zabieg. W latach osiemdziesiątych w ten sposób chłopcy wyrażają troskę o swoje dziewczyny - idą z nimi na zabieg. Nowe obyczaje. Jednak to chyba zbyt kłopotliwe i nieprzyjemnie - spotykać się przez tydzień, a potem iść razem na skrobankę. Może po prostu powinnam mieć dziecko...

- Jedna rzecz mnie naprawdę martwi. Być może ten facet jest dla mnie stworzony, a ja zbyt krótko chodzę na psychoterapię, żebym umiała się cieszyć tym, iż go znalazłam. Jak myślisz, jak długo może trwać cały ten proces leczenia? Może sądzisz, że nasze spotkania powinny być dwa razy dłuższe? Bo teraz moje zachowanie nie tylko przypomina zmienianie kabin na „Titanicu”, ale także umawianie się z jego załogą. Może powinnam przychodzić codziennie...

- Wywierają na mnie ogromną presję, żebym skończył ten film na czas, przed Bożym Narodzeniem. Kiedy pracuję pod ciśnieniem, staram się rozluźnić, a gdy staram się rozluźnić, to... Tak, kiedyś po prostu lubiłem się porządnie naćpać, ale teraz najbardziej lubię umawiać się z kobietami. Z pewnością to nic szokującego, po tych wszystkich latach. Nie szukam dziewczyny, ale spotykam się z dziewczynami i przez cały czas jestem gotowy na przyjęcie tej właściwej, gdybym na nią kiedyś trafił.

- To wszystko naprawdę mnie wkurwia. W zeszłym tygodniu poznałem tę dziewczynę, tę aktorkę, Suzanne Vale i... Wiesz, jestem absolutnie zdecydowany nie wchodzić w żadne stałe układy. A dziewczyny zawsze najpierw się na to godzą, a potem nagle bardzo zaczyna im zależeć na trwałym związku. I natychmiast pojawiają się pytania w rodzaju: Z kim jeszcze się spotykasz? Jeśli spotykasz się jeszcze z kimś, to nazywają cię babiarem albo niewybrednym typem, co to leci na każdą. Naprawdę nie sądzę, by spanie z dwoma lub z trzema, no, może z czterema - ale rzadko więcej niż czterema - czyniło ze mnie babiara.

- A ja działałem bardzo wybiórczo. Chodzę tylko z określonymi typami dziewcząt - pięknymi lub lubieżnymi. I nie jest to tak, że spotykam się z nimi wyłącznie dla seksu, ale nie sądzę też, iż powinno się wchodzić w jakieś poważniejsze związki bez sprawdzenia strony seksualnej. Chciałem powiedzieć, że jeśli to nie działa... A zatem, tłumaczę to tej dziewczynie, a ona jest zdziwiona. Pyta: „O co ci chodzi? Czy myślisz, że to jest coś w rodzaju papierka lakmusowego? Jeśli twój fiut wychodzi z dziewczyny zabarwiony na niebiesko, to znaczy, że znalazłeś dziewczynę dla siebie? To absurd!” Idzie o to, że jeśli w sferze seksualnej coś nie działa, to naprawdę nie powinieneś się uganiać za resztą, bo tego na pewno nie uda ci się naprawić.

- Opinia kogoś, kto czuje przymus uprawiania seksu, naprawdę zaczyna mi działać na nerwy. Bardzo lubię seks,

przyznaję. Ale, wiesz, jedzenie także bardzo lubię, a mimo to nikt nie mówi, że jestem uzależniony od jedzenia. Po prostu nie chcę, by ludzie bez przerwy przypinali innym łatki. Kobiety oczekują, że będziesz na nie leciał. Jeśli tego bym nie robił, pomyślałyby, że jestem niezdolny do miłości albo coś w tym rodzaju. Impotent. To wcale nie oznacza, że nie mógłbym poradzić sobie ze świadomością, iż ktoś uważa mnie za impotentą, ale po prostu nie podoba mi się sama myśl, że ludzie mogliby tak sądzić.

- Nie, wcale się nie bronię, tylko jestem zły. Nie wydaje mi się, bym przyjmował pozycję obronną. To ona tak twierdziła. Sam nie wiem... Wszystko rozwija się tak szybko, wiesz? Zawsze czekam, żeby one zwolniły tempo, ale one nigdy tego nie robią. Myślałem, że może ta dziewczyna będzie inna, bo oznajmiła, że nie chce od razu iść ze mną do łóżka. Odwiedziła mnie i oświadczyła, że nie będzie ze mną spać. Ulżyło mi. Pomyślałem, że oto ktoś, kto spowolni całą tę procedurę. Widziałem, że jest typem emocjonalnym, więc wszystko wskazywało na to, że sprawy przybiorą bardzo szybki obrót, dlatego też odczułem ulgę, słysząc, iż ona zamierza naciskać na hamulec. Ja sam nie bardzo wiem, jak się to robi. Chciałbym wykształcić w sobie tego rodzaju umiejętność, ale ponieważ na razie jej nie posiadam, zwykle oczekuję, że zrobią to dziewczyny. Może to ja powinienem powiedzieć: „Pal sześć, że się zbłądziłem, ale nie kochajmy się”. Tylko że coś takiego nie leży w mojej naturze. Mój fiut chce, czego chce, a potem ja chcę tego, czego on chce.

- Możesz sobie być terapeutą, ale jesteś też facetem. Dobrze wiesz, o czym mówię. Patrzę na kobietę wysyłającą list i z kształtu jej piersi pod swetrem wnioskuję, że nie ma biustonosza, a wtedy chce mi się przewrócić ją na maskę samochodu i tam ją wziąć. Wiesz, o co mi chodzi. Widujesz te filmy o ludziach pierwotnych, którzy po prostu kładą dziewczynę i bum! Szkoda, że tu tak nie jest. Cholera,

mężczyźni czują tę żądzę jako ssaki. Zawsze chciałem coś więcej o tym poczytać.

- Nie wiem, może kiedyś będę w stanie związać się z kimś. A może nie jestem stworzony do stałych związków. Pewnie jest trochę takich ludzi. Ale, wiesz, mam teraz trzydzieści pięć lat i już nieco zwalniam... Nie, właściwie nie zwalniam, a tylko... Wcale nie zwalniam. Ale uważam, że po prostu powinienem pozwolić, żeby ten proces trwał i...

- Chodzi o to, że wszystko jest takie ciekawe. Każdy element stosunku jest bardzo interesujący. I to, w jaki sposób się rozbierają, i jak wtedy wyglądają, i ich reakcja na tę sytuację, i wszystko to razem. Myślę, że naprawdę jestem wrażliwy. Byłoby mi trudno uwierzyć, że kobieta mogłaby udawać orgazm, będąc ze mną. Jestem w pełnej harmonii z tym, co się z nimi dzieje, jak wybuchający w odpowiedniej chwili fajerwerk.

- Mógłbym napisać coś w rodzaju broszury na temat kobiecych ciał. Lubię, kiedy kobieta jest oświetlona od tyłu i widać, co ma pod spodem. Lubię, kiedy porusza się w pewien sposób, tak że coś odsłania. Lubię, kiedy nagle pojawia się coś, czego pozornie wcale nie było. Lubię być zaskakiwany przez ciało. Niekoniecznie muszę być zaskakiwany przez umysł, chociaż trzeba przyznać, że ta dziewczyna zainteresowała mnie także od tej strony. W pewnym momencie oznajmiła, że powinienem pieprzyć różne głupie cizie, a z nią wypalić papierosa, co było naprawdę zabawne. Powiedziała kilka bardzo zabawnych rzeczy.

- Jednak pod pewnym względem jest taka sama jak inne. Kiedy tej pierwszej nocy zastrzegła się, że nie będzie się ze mną kochać, poprosiłem, żeby - tak czy inaczej - została na noc, myśląc, że rano, jeśli będę udawał faceta z dystansem... I rzeczywiście! Dziewczyny po prostu nie umieją sobie radzić z oddaleniem. Nawet te bystre dziewczyny nie są pod tym względem wystarczająco bystre. A ona jest na dodatek bardzo zaborcza i w dodatku trochę szalona. Pewnego dnia zadzwoniła

do mnie. Byłem wtedy w bardzo podłym nastroju, więc nagrałem na swojej automatycznej sekretarce opryskliwe „Czego”, a ona pomyślała, że to „Dziwko”. Uznała, że to ją nazywam dziwką. Myślę, że właśnie coś takiego psychologia nazywa projekcją.

- Nie wiem, uważam, że nie jest to dla mnie dobry czas na wiązanie się z ludźmi, ale może coś z tego wyniknie. Naprawdę ją lubię. Oczywiście z przyjemnością myślę, że jestem w niej zakochany. Właśnie to pozwala mi przejść przez to wszystko i nie mieć wrażeń, że jestem tylko tanim podrywaczem. Nie potrafię zachowywać się jak zakochany, no chyba że naprawdę jestem zakochany, więc zakochuję się za każdym razem.

- Czasami myślę, że powinienem ożenić się z jedną z tych dziewcząt i po prostu pieprzyć na okrągło. Są takie chwile, kiedy żałuję, że nie mam dzieci. Ja po prostu nie chcę mieć żony. Myślę, że potrzebuję takiej kobiety, która rozumiałaby, że jeśli od czasu do czasu chciałbym się spotkać z inną, to jest to czysto fizyczna sprawa, a nie miłość do kogoś innego. Oczywiście byłbym bardzo dyskretny, tak jak byłem dyskretny wobec Jill, mojej ostatniej dziewczyny. Tak, to prawda, dowiedziała się, ale trwało to już dłuższy czas. I nie dlatego mnie rzuciła. Rzuciła mnie, bo dałem jej kraby - pamiętasz? To przypieczętowało jej odejście. Fakt, że podarowałem jej kraby...

- Być może urządzam sobie kpiny. Może to nie jest dobry sposób utrzymywania związków z ludźmi. To dlatego, że przyprawia mnie to o klaustrofobię...

- Oto, co sobie myślę. Że obszary mojej specjalizacji są dlatego obszarami mojej specjalizacji, że zajmuję się nimi aż do przesady. Jestem ekspertem w swojej branży, bo pracuję ponad miarę. I sądzę, że jeśli w końcu będę umiał się z kimś związać, to stanie się tak dlatego, że będę ćwiczył to do przesady. To prawie tak, jakbym nad tym pracował, ale takie zajęcia są po prostu przyjemnością. Problem polega na tym, że ta dziewczyna zarzuciła mi parę rzeczy, które naprawdę... Nie sądzę, by trafiła

w dziesiątkę, ale prawie w dziesiątkę. Z pewnością miała sporo racji, a ja tego nie lubię.

- Nie wiem, czy powinienem się jeszcze z nią umawiać. Chodzi o to, że mówimy o kimś bardzo pociągającym i zabawnym, o kimś, kto ma świetne ciało i wspaniałe cycki - wiesz, że uwielbiam cycki - i świetną pupę, i doskonałego kotka, ale przecież nigdy nie wiadomo. To znaczy, ona jest wspaniała, lecz być może istnieje lepsza. A może ktoś taki jak ja umrze w poszukiwaniu tej doskonałej. Szkoda, że nie mogę po prostu spojrzeć i zobaczyć wszystkiego w jednej dziewczynie. Żałuję, że nie mogę zostać z tą dziewczyną i nie czuć, że się duszę, nie czuć, że moje własne potrzeby mnie przerażają albo odpychają, albo coś jeszcze innego.

- To tak, jakby na każdą z nich składało się wiele różnych osobowości, co zawsze jest ciekawe, ale nigdy nie jest ciekawe przez dłuższy czas. Wadą tej dziewczyny jest to, że jest kobietą, tylko jedną kobietą. Jest tylko jedną kobietą, a nie wszystkimi naraz. I będzie postępować tak jak jedna kobieta. I będzie robić to wszystko, kiedy mnie potrzebuje, kiedy na mnie wrzeszczy, kiedy chce, żebym był kimś, kim nie jestem. Nie o to chodzi, że szanowałbym dziewczynę, która zaakceptowałaby mnie takiego, jakim jestem. Ona powiedziała coś zabawnego: „Gdybym mogła stworzyć mężczyznę, to byłby taki jak ty, a potem próbowałbym go zmienić”. Myślę, że była naprawdę szczerą.

- Po prostu nie lubię tego wścibiania nosa, wiesz? Tego, że liczą dni, które upłynęły od twojego ostatniego telefonu, że dokładnie wiedzą, co powiedziałeś, że będziesz robił i przypominają ci o tym w momencie, gdy mówisz, że robiłeś coś innego. To znaczy, uważam, że jestem wrażliwym facetem, ale nie mogę przecież przez cały czas kontrolować wszystkiego, co mówię. Po prostu nie jestem w stanie zajmować się nimi przez cały czas. To zbyt wielka odpowiedzialność. Nie jestem do tego przygotowany. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę.

- Teraz raczej wolałbym tworzyć dobre filmy niż dobry dom. Nie twierdzę, że jest to jakiś idealny pogląd, mówię tylko, jak widzę to wszystko w tym momencie. Naprawdę sędzę, że ten mój nowy film będzie dobry, co w pewnym sensie będzie dla mnie jakimś obciążeniem. Ponieważ wtedy nie będę mógł odróżnić, czy kobiety lubią mnie dla mnie samego, czy z powodu „Ziz!”...

- W piątek wieczorem byłem u Heleny i widziałem tam George'a - powiedział. - Był w stosunku do mnie taki chłodny, że po prostu nie mogłem w to uwierzyć.

- Z kim byłeś u Heleny? - zapytała.

- Nie sędzę... Po prostu opowiadam ci o George'u - odparł. - Sędzę, że to, z kim byłem, nie ma jakiegokolwiek znaczenia.

- Nie chodzi o'to. Popatrz, znamy się od trzech miesięcy. Wiem, że nie spotykasz się wyłącznie ze mną, już to szczegółowo omówiliśmy. Z kim byłeś?

- Cóż, pewnie tak czy inaczej o tym usłyszysz. Z Charlene Hasselhof.

- Z tą dziewczyną z telewizji? - zdziwiła się. - Z aktorką telewizyjną?

- Tak.

- Naprawdę? - nie dawała za wygraną. - Nigdy bym nie przypuszczała, że umówisz się z kimś, kto pracuje w telewizji.

- Właściwie na ogół tego nie robię - potwierdził. - Jak wiesz, telewizja jest dla mnie ograniczonym środkiem przekazu. Ale okazało się, że ona jest bardzo... Jest inteligentna. Jest prawie... Nie, jeśli mam być szczerzy, jest tak inteligentna jak ty.

- Jest tak inteligentna jak ja - powtórzyła.

- Uhm - mruknął.

- Czy jest zabawna? - spytała.

- Cóż - powiedział - nie jest tak zabawna jak ty, ale jest zabawna. Tak, jest zabawna. Chciałem powiedzieć, że byłem zaskoczony.

- Dlaczego mi to mówisz? - spytała. - Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- O co ci chodzi? Przecież mnie pytałaś. Pomyślałem, że może chciałabyś wiedzieć, że jest tutaj jeszcze jedna inteligentna dziewczyna.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Dlaczego pomyślałeś, że chciałabym o tym wiedzieć? Co jest we mnie takiego, co kazało ci sądzić, że chciałabym wiedzieć o tym, że istnieją inne ładne i inteligentne dziewczyny? Bo ja chcę to naprawić, zmienić. Czy to jest coś, co noszę? Czy może moja warga jest wygięta w pewien sposób, który mówi: Musisz jej powiedzieć, że gdzieś w pobliżu znajduje się jeszcze jedna inteligentna kobieta? Dlaczego pomyślałeś, że chciałabym wiedzieć, że jakaś piękna, wspaniała, znana we wszystkich domach towarowych aktorka z telewizji jest tak inteligentna i zabawna jak ja?

- Nie powiedziałem, że jest tak inteligentna i zabawna - odparł.

- Nie jest tak inteligentna. Nie jest inteligentna podobnie jak ty. Jest inteligentna w zupełnie inny sposób.

- Jak może być inteligentna w inny sposób? - spytała. - Jaka jest jej specjalizacja? Gotowanie? Literatura? Może zna języki.

- O Jezu - jęknął. - Ja naprawdę...

- To mnie po prostu bardzo interesuje - stwierdziła. - Pomyślałeś, że ja chciałabym usłyszeć, że tak piękna dziewczyna jest także olśniewająco inteligentna i że ją kochasz.

- Nie kocham jej - odparł. - Nie mam pojęcia, dlaczego prowadzimy taką rozmowę.

- Jestem zazdrosna, co? Przyznaję, jestem zazdrosna. Posłuchaj. Nie mamy zobowiązań, ale z pewnością mamy jakiś zakres zobowiązań, z którego między innymi wynika, że ze sobą rozmawiamy. To znaczy nie rozumiemy się, ale przynajmniej nie udajemy, że się rozumiemy. Ja w tym momencie czuję się zdradzona. Przypuszczam, że rozmawiasz z nią tak samo jak ze mną?

- Nie, nie rozmawiam z nią - odparł. - Właściwie...

- A więc, kim ona jest? - spytała. - Świetną dupą?

- Nie - zaprzeczył. - Właściwie jeszcze się nawet nie pieprzyliśmy.

- O, wspaniale - powiedziała. - Wspaniale. Zbyt ją szanujesz, żeby ją pieprzyć. Nie zrobiłeś z nią tego numeru z oddalaniem się rano? A może jest zbyt inteligentna, żeby się na to nabrać?

- Posłuchaj, ja... - wtrącił. - Lubisz, żeby inteligentne dziewczyny traciły dla ciebie głowę, co? - przerwała. - Uważaj więc. Jeśli zgłupieję za bardzo, to równie dobrze mógłbyś wrócić do zabawiania się z tymi lalami, które mają większe cycki niż mózg.

- Posłuchaj. Nie sędzę, że powinniśmy ciągnąć dalej tę dyskusję - powiedział. - Nie lubię cię z tej strony.

- Nie jestem pudełkiem - odparła. - Nie można patrzeć na mnie z różnych stron. I w tym tkwi problem. Jedna strona pasuje do wszystkich. To jest właśnie to.

- Jak to się stało, że do tego doszliśmy? - spytał. - Czy naprawdę musimy się tak kłócić? Rozumiemy, że się nie rozumiemy, i sprawia nam to dużą przyjemność. Myślę, że teraz powinniśmy po prostu zamówić coś do jedzenia i spędzić miły wieczór, jeśli to tylko jest jeszcze możliwe.

- Tak jest, w porządku - powiedziała. - Zgadzam się. Nie powinnam była cię pytać.

- Co chcesz zjeść? - spytał.

- Coś, co mi szkodzi - odparła. - Coś z kofeiną, z cukrem i z solą. Frytki, może trochę coli. Wiesz, po prostu takie świństwo, które wstrząśnie organizmem. Ty zamawiasz.

- W porządku. Dwa dobrze wysmażone cheeseburgery, duża porcja frytek, dwie cole i jakie tam jeszcze produkty rakotwórcze macie. Dziękuję.

- Dzwonił ten facet, z którym Gary chciał mnie wyswatać.

- Jaki facet? - zapytał.

- Mówiłam ci - odparła. - Gary zamierzał zorganizować mi randkę w ciemno ze swoim przyjacielem.

- Naprawdę? Nie przypominam sobie, byś mi to mówiła. Czym on się zajmuje?

- Jest scenarzystą – odparła - Scenarzystą - powtórzył.

- Tak - potwierdziła - właśnie napisał scenariusz dla Spielberga.

- Naprawdę. Rozmawiałeś z nim więc i...

- Cóż - stwierdziła - ma bardzo bogate słownictwo.

- Zabrzmiało to tak, jakby to słownictwo było trochę za bardzo bogate - wtrącił. - Chodzi mi o to, że zwykle nie zwracamy uwagi na słownictwo innych ludzi, prawda? Zupełnie tak samo jak na zęby. Chyba nie chcesz, żeby ludzie mówili: Świetne koronki. Chcesz, żeby myśleli, że masz miły uśmiech. Bogate słownictwo mruknął.

- Nie, wcale nie nazbyt bogate - zaprzeczyła. - Ale rzeczywiście użył dwóch słów, których nie rozumiałam.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Co to za słowa?

- Nie pamiętam - odparła. - Chodzi mi o to, że rozumiałam sens zdania, ale nie znałam słów.

- Czyżby? - nie ustępował. - A więc stara się zaimponować ci swoim sposobem mówienia. Zatem, kiedy się z nim spotkasz?

- Nie wiem. Obiecał, że jeszcze do mnie zadzwoni. Był wtedy w biurze swojego agenta i mówił, że się spieszy. Nie mam pojęcia, jak wygląda ani nic z tych rzeczy, ale był zabawny. Powiedziała mu o kompleksie Edypa i o tym, że mój ojciec oszedł, kiedy byłam małą dziewczynką, więc teraz umiem tylko usysać z tęsknoty za mężczyznami, ale nie potrafię ich kochać. A on na to: „Pewnie byłabyś świetna dla żołnierza walczącego podczas drugiej wojny światowej. Poznałabyś go, a potem wysłałiby go statkiem na front”. Stwierdziłam, że być może podczas pierwszej randki podprowadzę go do portu, by mógł się zaciągnąć. Odrzekł, że po prostu by tam poszedł i wypożyczył sobie mundur. A zatem był bardzo zabawny.- Czyżby? - wtrącił. - To ma być zabawne? Myślę, że chyba jest

zabawne. Jednak powiedziałaś mu o tym? O tym usychaniu z tęsknoty? Dlaczego?

- Cóż, to bardzo inteligentny facet - odparła. - To wszystko naprawdę było interesujące. Gary twierdzi, że to wspaniały gość. Jest bardzo młody.

- Naprawdę? - zainteresował się. - Ile ma lat?

- Jest młodszy od... trzydzieści dwa - zawahała się. - Gary twierdzi, że jest naprawdę bardzo przystojny i ma świetny samochód - to akurat mnie gównem obchodzi, ale wiesz... Ciekawa jestem, co takiego w nim jest, że ciągle jest wolny. Ma trzydzieści dwa lata, całą tę forszę, jest inteligentny... Dlaczego więc jest sam?

- Tak, rzeczywiście - zastanowił się. - Dlaczego jest sam?

- No, nie wiem - powiedziała. - Może... Dlaczego ja jestem sama? No, nie, nie jestem sama, jestem z tobą, ale tak naprawdę wcale z tobą nie jestem, więc w efekcie jestem sama.

- A więc powiedziałas temu facetowi całą tę masę cholernych bzdur o sobie? - stwierdził. - Wszystkie te intymne rzeczy? Myślałem, że ten obszar zarezerwowaliśmy wyłącznie dla siebie.

- Kochanie, przecież jeszcze nie wiemy, na czym ten związek polega - powiedziała. - O co chodzi w twoim związku z tą aktorką?

- Cóż, także jeszcze nie wiem, co tam się dzieje - odparł.

- Nie wiesz, co się tam dzieje - powtórzyła. - Nie wiesz też, co dzieje się tutaj. Żadne z nas nie wie, na czym stoimy, więc siedzimy sobie w tej knajpie. Chyba moglibyśmy się umawiać podwójnie. Ty masz swoją bystrzaczę z TV z tym jej całym IQ*. Ma TVQ** i IQ, co za świetna partia dla ciebie.

* IQ - iloraz inteligencji (intelligence quotient) - wskaźnik inteligencji, mierzony w punktach przy pomocy odpowiednich testów.

** TVQ - analogia do IQ, „wskaźnik telewizyjności”, aluzja autorki do wyglądu dziewczyny.

A, kto wie, może ten facet ma wyższy IQ niż ty.

- Przestań się ze mnie wyśmiewać - zaprotestował. - Przestań się wyśmiewać ze mnie z powodu tego IQ. Ja się nie wyśmiewałem z twojej reakcji na wiadomość, że się spotykam z Charlene. A więc, tak przy okazji, jak się ten facet nazywa? Słyszałem kiedyś o nim? Spielberg. Spielberg robi tyle rzeczy...

- Ma na imię Arthur - odparła. - Arthur Soames.

- Naprawdę? - westchnął. - Och.

- Słyszałeś o nim? - spytała.

- Tak. Czytałem parę jego scenariuszy - odpowiedział. - Były niezłe. Przypuszczam że ma jakiś rzadki talent. A zresztą, sam nie wiem.

- Widziałeś go? - spytała. - Przystojny?

- Chyba go kiedyś spotkałem - odparł. - Nie pamiętam, żeby był jakoś szczególnie przystojny. Nie pamiętam... Nie chcę o tym mówić, bo czuję, że mogę być nieco uprzedzony. W tym zakresie odczuwam sam jakąś dziwną zazdrość. Nie chodzi o to, że... Cóż, powiedzmy otwarcie, pociągasz mnie. Cokolwiek by to było, przyzwyczailem się do tego i podoba mi się, że to wszystko jest takie niejednoznaczne, a jednak... Gdzie to jedzenie? Naprawdę jestem głodny. Nie jesteś głodna? Ja jestem głodny jak wilk. Mógłbym zjeść...

- Gwiazdę telewizyjną? - wtrąciła.

- To wcale nie jest śmieszne - powiedział. - Nie sądzę, że powinniśmy jeszcze o tym rozmawiać.

- Eddie Samuels powiedział mi, że podczas jakiegoś spotkania mówiłeś zupełnie jak ja - zaczęła.

- Cóż, dużo rozmawiamy przez telefon - odparł - ale wątpię, czy naprawdę mówiłem całkiem jak ty. Oboje przejęliśmy coś od siebie w sposobie mówienia. Dużo rozmawiamy. Chciałem powiedzieć, że Eddie Samuels to kompletna oferma, zgadzasz się? Dlatego jest sekretarzem produkcji. Ni chuja nie wie o tym całym gównie.

- Ni chuja o gównie - powtórzyła. - Jakie to piękne. To ten iloraz inteligencji podnosi swój ohydny łeb. Hej, moja terapeutka powiedziała w tym tygodniu wspomniała rzecz...

- Norma, Królowa Wglądu? - wtrącił.

- Powiedziała, że jesteś moim wyobrażonym towarzyszem zabaw - dokończyła.

- Czyżby? To brzmi jak tytuł z „Playboya”. I co ta twoja terapeutka jeszcze twierdzi?

- Nazywa nas Bliźniakami Pieprzącymi Mózgiem - odparła. - Mówi, że uczuję na bankiecie, gdzie podano same okruchy.

- Świetnie brzmi. Ona mogłaby pisać scenariusze - uznał. - Czy jesteś pewna, że chodzisz do dobrej terapeutki? Nie wygląda to wcale na jakiś głęboki wgląd. Wybacz tę grę słów, ale nie sądzę, bym był dla ciebie czymś tak kruchym. Uważasz, że nasz związek jest bardzo nowoczesny. To reakcja na dzisiejsze czasy. Wiesz, nie przestrzegamy reguł, oboje jesteśmy bardzo niezależni, ale z całą pewnością żywimy dla siebie coś w rodzaju szacunku. W pewien sposób podziwiam cię.

- Dziękuję - odparła. - Ja także cię podziwiam. Uwielbiam twoją pracę i twoje oczy. Nie, po prostu sądzę, że ona próbuje... Właściwie nie podoba jej się to, że się z tobą spotykam. Uważa, że nie jest to dla mnie dobre. Myśli, że wykorzystuję cię w pewien sposób, bo miałabym mnóstwo trudności z nawiązaniem kontaktu innego rodzaju.

- A co w naszym związku jest nie w porządku? - spytał. - To nie jest żaden związek, ale cóż jest w tym złego? Oboje czujemy podobnie, oboje mamy wrażenie, że jesteśmy odizolowani od innych ludzi, podzielamy też pewną pogardę dla stylu życia w Hollywood, który w gruncie rzeczy kochamy i sądzę, że łączy nas braterstwo, które jest bardzo...

- Bzdura - przerwała. - Łączy nas braterstwo, ale robimy coś bardzo dziwnego. Chodzi mi o to, że to wszystko jest dziwne. Jest w nas jakaś dziwaczność... Co sądzi o tym twój terapeuta?

- Ja nie pozwalałam mojemu terapeutce kierować swoim życiem - odparł. - Wiesz, chodzę do niego, rozmawiam z nim... Jest dla mnie czymś w rodzaju płaszczyzny odbijającej moje własne myśli. Głównie po to tam chodzę - żeby słyszeć, jak myślę, i czasami w ten sposób coś odkrywam. Chodzę do niego już przez wiele lat i zasadniczą część pracy nad moim życiem rodzinnym wykonaliśmy na samym początku. Teraz to jest po prostu... Teraz jest to rodzaj odświeżania dawnych umiejętności, coś jak mycie zębów. W każdym razie chyba nie opisujesz naszego związku swojej terapeutce zbyt dokładnie, bo wtedy by się nie sprzeciwiała. Ona mnie nie zna, nie może więc opierać swoich zastrzeżeń na doświadczeniu, tylko na czymś, co ty jej opowiadasz. I sądzę, że musiałaś niewłaściwie przedstawić tę sytuację, bo nie uważam, żeby była aż taka zła.

- Cóż - odparła. - A więc, kiedy wejdzie na ekrany? W czwartek?

- Mówisz o „Ziz!” Tak, w czwartek. Wiesz o tym. Na który pokaz przychodzisz - o siódmej czy o dziewiątej?

- A ty? - spytała.

- Ja? Na oba - odparł. - Przecież jestem producentem. Oczywiście, że idę na oba.

- W takim razie ja przyjdę na ten późniejszy - zdecydowała. - Denerwujesz się?

- Myślę, że to wspaniały film.

- Wiem - powiedziała - ale co będzie, jeśli wszyscy inni tak nie pomyślą?

- No cóż, pieprzę ich. Ja myślę, że to jest wspaniały film.

- Pamiętasz tę linijkę z „Ihe Philadelphia Story”? „Ledwo go znać oznacza znać go dobrze”. Czuję, że z nami jest tak samo, że ciągniemy to wszystko, ciągniemy i ciągniemy, ale tak naprawdę nie wyszliśmy nigdy poza oczarowanie pierwszym spotkaniem. Podtrzymujemy teraz tylko jakieś takie przyćmione światełko, ale... Chciałam powiedzieć, że ze wszystkich ludzi, których mogłabym pokochać, przynajmniej na pewnym

poziomie, jesteś dla mnie w tej chwili kimś najbliższym, chociaż ciągle tak bardzo dalekim. Ktoś najbliższy, z kim mogłabym się związać, jest bardzo daleko. Myślę, że to interesujące.

- Chciałbym poznać kogoś takiego jak ty - powiedział - ale nikt nie jest bardziej jak ty niż ty.

- Może znajdziemy kogoś, kto nas sobie przedstawi - odparła.

RS

MARZENIE POZA WŁASNĄ GŁOWĄ

Suzanne rozpaczliwie chciała zrobić coś, co by usprawiedliwiło jej istnienie. A przynajmniej mogło być postrzegane jako usprawiedliwienie. Coś, co sprawiłoby, że stałaby się atrakcyjna, godna pożądania. Idealnym wyjściem byłoby przyjęcie propozycji małżeństwa z członkiem rodziny królewskiej, który na dodatek zrzekłby się dla niej praw do tronu. Ponieważ taki rozwój wypadków był niezwykle mało prawdopodobny, skupiła się na innym zamierzeniu - zdobyciu pracy.

Miesiącami nachodziła swoich agentów, aż w końcu zdobyli dla niej propozycję zagrania w niskobudżetowym filmie pod tytułem „The Kitchen Sink”. Miała wystąpić u boku Roberta Muncha, znanego przede wszystkim z serialu „Mr Blue”, w którym odtwarzał rolę dozorca budynku zamieszkanego wyłącznie przez kobiety. Całkiem niedawno można go było zobaczyć w roli biskupa w miniserialu „Read My Lips”.

„The Kitchen Sink” to komedia pomyłek, w której ciągle ktoś brany jest za kogoś innego. Dwójka gliniarzy w cywilu - Munch i Suzanne - śledząc zorganizowaną grupę prostytutek, przeżywa całą serię nieszczęść i niepowodzeń, aż w końcu ląduje w więzieniu, po czym bierze ślub. Ponieważ plenery kręcono bardzo blisko Palm Springs, Suzanne postanowiła zamieszkać u dziadków, którzy mieli niewielki dom na skraju pustyni. Przed domem tkwiła flaga, a za nim usytuowano basen, co razem sprawiało wrażenie pewnego rodzaju ochrony, jakby dom został wzięty w jakiś dziwaczny nawias.

Dziadek, którego uwielbiała, był już całkiem zgrzybiały. Suzanne nigdy nie miała pewności, czy dziadek ją rozpoznaje. Jednak zawsze się cieszył na jej widok. Większą część dnia przesypiał albo też oglądał telewizję meksykańską, mimo że prawie nie znał hiszpańskiego. Za to babcia była na ogół na chodzie. Miała trzy małe teriery - Jiggera, Peanuta i Howdie'ego

- i kiedy nie była zajęta układaniem mozaiki lub podgrzewaniem francuskich i amerykańskich potraw w kuchence mikrofalowej, rozmawiała ze swoimi psami.

- Nieprawdaż, Jigeer? - mamrotała. - Zrobiłabym, Peantut? Czy nie mam racji, Howdie?

Pierwszego dnia kręcenia filmu budzik Suzanne zadzwonił o piątej rano. Suzanne weszła do łazienki i, bez zapalania światła, zaczęła się kąpać. Następnie wróciła do łóżka, aby na moment odsunąć początek dnia, i starała się z wdzięcznością myśleć o tym, że znowu pracuje.

Leżała na wznak przebudzona. Nagle przypomniała sobie przyjęcie zorganizowane po nakręceniu pierwszego filmu. Wyściskała wtedy Rosie, czterdziestopięcioletnią kobietę mówiącą cockneyem, która szła jej kostiumy, i powiedziała:

- Będę za tobą tęskniła. Podaj mi swój adres i numer telefonu.

- Kochana, najprawdopodobniej nigdy więcej się nie zobaczymy - odparła Rossie. - Od tego czasu upłynęło dziesięć lat i, jak dotąd, Rossie miała rację.

Zawsze było tak samo, stwierdziła w duchu. Przez kilka miesięcy robiło się film i wtedy miało się rodzinę. Bardzo bliską rodzinę, z całym jej wewnętrznym życiem i światem. Świadomość tymczasowości tego stanu tylko zwiększała intensywność przeżyć. Nie tylko wiedziało się, że to się skończy, ale także, z dokładnością do tygodnia lub dwóch, kiedy się skończy. Nie wiedziało się jedynie, jakie się to wszystko okaże. Czy film będzie dobrą rozrywką, czy przeciwnie, kiepską. Mógł odnieść sukces, mógł też ponieść klępkę. Było to jak kopanie celuloidowego złota. Suzanne ubrała się szybko, nie zwracając sobie głowy wysuszeniem włosów, i wymknęła się z domu. Wskoczyła do furgonetki, która czekała na drodze wyjazdowej, aby ją zabrać na plan.

* Drzewiaste juki (*yucca breviflora*), ang. Joshua trees - małe, wiecznie zielone drzewa o białych kwiatach, rosnące na pustynnych terenach zachodniej części USA.

Na miejsce przybyli o piątej trzydzieści, właśnie wtedy, gdy słońce wynurzało się ponad koronami drzewiastych juk*. Suzanne obserwowała szaleńczą aktywność na planie, kontrastującą ze spokojem pustyni. Wyglądało to tak, jakby plan filmowy był jakimś bezsensownym dziełem natury. I powiedział Pan, niech się stanie rozrywka, pomyślała Suzanne, wysiadając z samochodu. A potem, przypomniawszy sobie scenariusz, dodała w myślach: pseudo. Podszedł do niej jakiś mężczyzna z brodą. Suzanne domyśliła się, że był to asystent reżysera.

- Tak, właśnie dotarła - powiedział do walkietalkie - Zaprowadzę ją do przyczepy. - Uśmiechnął się do niej. - Jestem Ted - przedstawił się. - Stworzony po to, żeby twoje życie uczynić bardziej dokuczliwym.

Suzanne odwzajemniła uśmiech, skłoniła mokrą głowę i powiedziała:

- Suzanne, stworzona po to, żeby jej dokuczano. Ted roześmiał się.

- Zatem powinniśmy świetnie się ze sobą dogadać. - Zaprowadził ją do przyczepy z szeregiem drzwi, z których każde miały tabliczkę z nazwiskiem.

- A to, oczywiście, jest twoje...

- Moja chomicza klatka - wtrąciła Suzanne, zaglądając do środka.

- Zamierzałem powiedzieć: Miejsce odpoczynku - dokończył Ted.

- Moje miejsce odpoczynku - powtórzyła Suzanne. - Moje miejsce ostatecznego odpoczynku. Zawsze podejrzewałam, że skończę w ten sposób - sama w malutkim pokoju z klimatyzacją, toaletą, radiem z modulowaną amplitudą, w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Miejmy nadzieję, że to jeszcze nie koniec - powiedział Ted. To tylko środek.

- Tak, najprawdopodobniej skończę sama w wielkim pokoju z klimatyzacją i radiem z modulowaną amplitudą i częstotliwością.

- Cóż, rozpoczęłaś ten dzień raczej w ponurym nastroju - zauważył Ted. - Już wiem! - wykrzyknął. - Zrobimy ci charakteryzację. To cię od razu rozweseli.

- O, tak - mruknęła Suzanne, idąc za nim do następnej przyczepy. - Połóż na mnie trochę podkładu i szminki i już będę chichoczącą idiotką.

Weszli po schodkach do dużej przyczepy. W środku zastali mężczyznę, który bawił się rudą peruką. Na krześle siedziała kobieta i czytała jakiś magazyn.

- Dostarczyłem wam głowę Suzanne Vale - oznajmił Ted. - Suzanne, to jest Marilyn, nasza charakteryzatorka, a to jest Roger, fryzjer. - Wymieniono pozdrowienia. ,

- O, masz jeszcze mokre włosy - zauważył Roger. - Lepiej przyjdź najpierw do mnie.

- No dobra, zostawiam was i idę sprawdzić, co ze śniadaniem.
- Ted otworzył drzwi, wpuszczając do środka odrobinę rześkiego, porannego powietrza znad pustyni, po czym wyszedł, głośno zatrzęsawszy je za sobą.

Suzanne usiadła w fotelu i wpatrywała się w odbicie swojej strasznej porannej twarzy. Roger przejrzał zawartość stojaka na kasety.

- Chcesz coś kojącego czy pobudzającego? - zapytał. Suzanne namyślała się przez chwilę. To było pytanie, które

zawsze zadawała sobie w odniesieniu do mężczyzn. W końcu doszła do wniosku, że potrzebuje pobudzających, którzy bardzo łagodnie zmieniają się w kojących - zagłada, która stanie się rajem. Kiedyś miała nadzieję, że Jack Burroughs będzie mógł wykonać taki nieprawdopodobny skok, ale udało mu się jedynie przejść od pobudzania do stresowania.

- Kojącego - odparła w końcu.

- Oto coś kojącego - powiedział Roger, wkładając kasetę Windham Hill do magnetofonu i puszcżając ją. Popatrzył na Suzanne. - Wcześnie, co? - zagadnął z macierzyńską troską.

- Jest tak wcześnie, że aż późno - odparła ponuro.

- Przewrotne - roześmiał się Roger. - Sama to wymyśliłaś?

- Nie wiem - odpowiedziała. - Pewnie później się dowiem.

- Posłuchaj jej! - wykrzyknął Roger do Marilyn. - Będziemy mieli zabawę! - Suzanne się uśmiechnęła.

Marilyn zapaliła papierosa i podeszła do drzwi.

- Może przynieść któremuś z was coś z bufetu?

Suzanne przypatrzyła się jej. Była blondynką około czterdziestki, miała niebieskie oczy i opaloną, zniszczoną przez słońce i wiatr twarz. Była wysoka i chuda, nosiła niebieskie dżinsy i podkoszulek z napisem: Niektóre z nas stają się mężczyznami, których chciały poślubić. Suzanne uśmiechnęła się. W domu miała taki sam podkoszulek.

- Jeśli mają jakieś pączki albo naleśniki... - powiedziała nieśmiało, przekonana nagle, że jedzenie, a szczególnie śmieszne jedzenie, z pewnością ją obudzi.

- Nie masz kręćka na punkcie zdrowej żywności, co? - rzuciła Marilyn poprzez kłęby dymu papierosowego. - Zobaczę, co się da zrobić.

- Jest świetna - odezwał się Roger, potrząsając swoją długą, podfarbowaną, kręconą czupryną, gdy tylko za Marilyn zamknęły się drzwi. Włączył suszarkę do gniazdka. - Pracowaliśmy nad... -Wywrócił oczami, jakby liczba filmów, które razem zrobili, była schowana gdzieś wysoko w jego głowie. - Piąty - powiedział. - To będzie nasz piąty wspólny film. - Mówiąc to, podniósł suszarkę do góry, wycelował ją prosto w głowę Suzanne i zawołał:

- Pach, pach, jesteś sucha.

Suzanne pogrzebała w mózgu w poszukiwaniu trafnej riposty. Nie natrafiła na żadną. Siedziała w fotelu, głupawo szczerząc

zęby do odbicia Rogera w lustrze i czując się tak, jakby ta cisza przepalała ją na wylot.

- Tak się cieszę, że mam okazję z tobą pracować - zaczął się entuzjasmować Roger. - Zawsze byłem twoim wielbicielem.

- Dziękuję.

- Ale bardziej ciebie niż twoich włosów - ciągnął dalej. - Tak naprawdę nigdy nie widziałem, żebyś w jakimś filmie miała właściwie dobrane uczesanie. Nie chciałem przez to powiedzieć, że wyglądałaś źle, a tylko, że twoje włosy mogłyby wyglądać lepiej. - Włączył suszarkę i ciągnął, przekrzykując jej szum: - Z wyjątkiem „Mist on the Lake”. Ze wszystkich filmów, które widziałem, tam prezentowałaś się najlepiej. - Kiedy mówił, przebiegał palcami po jej włosach. Suzanne, patrząc na swoje odbicie w lustrze, z niezadowoleniem zmarszczyła brwi.

- Ale w „Mist on the Lake” prawie przez cały czas miałam mokłą głowę - zauważyła.

- No właśnie! I coś podobnego zamierzam z tobą zrobić teraz. Włosy gładko zaczesane do tyłu. Pozornie mokre. Wrażenie dramatyzmu i przypadkowości.

- Świetnie!

Przemysł rozrywkowy, pomyślała Suzanne, jak ten mężczyzna, którego właśnie poznała - ten mężczyzna, którego przed upływem tygodnia będzie pewnie znała całkiem dobrze - bawił się jej włosami. Wszystko, o co w tym chodzi, to oderwanie się, to znalezienie sposobu przeniesienia się poza własne życie i wejście w cudze na pewien czas. To identyfikacja z kimś innym. Uczucie ulgi, że jego ciężkie położenie nie jest twoim, albo uczucia ulgi, że jest. To pewien sposób marzenia poza własną głowę. Odchylanie głowy wraz z aktorami, kiedy się całują. Myślenie: To takie prawdziwe. Nowa Rzeczywistość, niczym Nowy Ład.

Nowa Rzeczywistość nie polega na byciu rzeczywistym, lecz na udawaniu rzeczywistego. Suzanne znalazła się w przemyśle pozorów - w przemyśle polegającym na dostarczaniu ludziom

rozrywki poprzez stwarzanie pozorów rzeczywistości. Przedstawianie rzeczywistości stało się dla niej sposobem przeżywania jej. Wiedziała, jak grać człowieka z krwi i kości. Umiała w sposób świadomy zatracić świadomość siebie samej. Nie miała nic przeciwko temu, że jest oglądana, natomiast przeszkadzało jej, przynajmniej w pewnym stopniu, że jest nagrywana. W momencie kiedy kamery szły w ruch, czuła, że przeistacza się w kogoś w rodzaju afrykańskiego tubylca. Wydawało się jej, że okradają jej duszę. Jeśli w tej kwestii tubylcy rzeczywiście mieli rację, to ilość duszy, jaka jeszcze pozostała w Suzanne, była nieznośnie mała. Przyszło jej nagle do głowy, że w chwili, gdy zauważy, że nic już z jej duszy nie zostało, bardzo szybko utraci tę arcyważną umiejętność wyglądania na kogoś, u kogo wszystko jest w porządku.

W tym momencie otworzyły się drzwi i weszła Marilyn.

- Szczęściara - powiedziała, kładąc kilka czekoladowych pączków przed Suzanne. - Dotarłam do tacy z pączkami przed kamerzystami, więc było jeszcze dużo porządnie polukrowanych.

- Jakże ci się odwdzięczę? - zapytała Suzanne, patrząc na pączki tak, jakby były długo poszukiwanym lekarstwem.

- Po prostu siedź spokojnie, kiedy będę ci malowała oczy. - Marilyn przeniosła się na swój teren i zdjęła wieczko z filizanki z kawą.

- Jest cała twoja - oznajmił Roger Marilyn, żywo przy tym gestykułując. Suzanne podziękowała mu z ustami pełnymi ciasta, a potem przeszła przez pokój w kierunku fotela Marilyn. Spojrzała z ukosa na błyszczące światła wokół lustra, starając się przystosować do ich połyskliwej okropności.

- Jaskrawe, co? - odezwała się Marilyn.

- Oślepiające - zgodziła się Suzanne.

- A więc - zaczęła Marilyn, kładąc chusteczkę higieniczną wokół kołnierza Suzanne, żeby go nie pobrudzić podczas robienia makijażu - może masz jakieś upodobania, może na coś

jesteś uczulona? A może coś wyjątkowo cię denerwuje? Być może uda nam się to zatuszować, zanim będzie za późno. - Pociągnęła łyk kawy, obserwując Suzanne znad brzeżka filiżanki.

- Niech tylko moja twarz wygląda na szczuplejszą, a usta na pełniejsze. Całą resztę przeżyję - powiedziała Suzanne. - I jeszcze jedno - przerażają mnie wszelkie plamki na skórze.

- Cienkie usta, pełna twarz i plamki - zamyśliła się Marilyn, przyglądając się Suzanne. - No cóż, nie będzie z tym za dużo kłopotów. Użyjemy kredki do warg, cienia i podkładu kryjącego. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, o czym mówisz, bo nic nie widzę, ale większość aktorek zbyt długo przygląda się swoim twarzom i wynajduje w nich za wiele wad. - Marilyn zaczęła nakładać podkład na twarz i szyję Suzanne. - Musisz wiedzieć, że jestem znana ze swojej umiejętności tuszowania plam - ciągnęła dalej. - Mam taki specjalny ołówceczek z prawie żółtym barwnikiem, a potem nakładam podkład i puder, a następnie, jeśli to konieczne, używam kredki kryjącej. Średniej. Zdaje się, że w tej chwili nie masz żadnej plamki. Czy mówiłaś o czymś konkretnym, czy tylko ostrzegałaś mnie na przyszłość? - Marilyn stała z łyżeczką do nakładania kosmetyków, zawieszoną nad szczęką Suzanne i czekała na odpowiedź, ale Suzanne, ukołysana przez muzykę, makijaż i samą Marilyn, zasnęła.

- Obudź się, Śpiąca Królowno. Księżę przybył. - Ted delikatnie potrząsnął Suzanne za ramiona. - Moja matka uważa, że jestem księciem - wyjaśnił.

Marilyn uważnie przyglądała się Suzanne, kiedy ta dokładnie badała w lustrze swoją twarz. - Jak na wpół do siódmej rano to doskonale, co?

Suzanne uśmiechnęła się.

- To chyba powinno stać jednym z moich ulubionych zajęć. Zasypianie z pospolitą twarzą, a budzenie się z piękną. - Podniosła się z fotela i poszła z Tedem w stronę drzwi.

- Wyglądę ci włosy na planie - krzyknął Roger, który właśnie suszył cieniutkie loczki na peruce.

- Jest w drodze do garderoby - powiedział poważnie Ted do swojego walkietalkie. - Jesteśmy dosłownie za drzwiami - ciągnął dalej, kiedy zeszli po schodach, zanurzając się w chłód pustynnego poranka. - Producent przychodzi się z tobą zobaczyć. - Zwrócił się do niej. - To znaczy, jeden z producentów.

- To ilu jest producentów?

- Trzech - wyjaśnił. - Ojciec, Syn i Duch Święty. - Otworzył przed nią drzwi do przycypy.

- I który z nich ma mnie polubić dziś rano? - zapytała, wspinając się do swojej klatki dla chomików.

- Duch Święty. Joe Pierce, rzekomo kierownik planu. Przyniesić ci coś, zanim się tu zjawi?

- Cołę - odparła, kiedy rudowłosa kobieta wyłoniła się zza Teda z całym naręczem kostiumów.

- Rito, kochanie - powiedział Ted - to jest nasza artystka, Suzanne. Suzanne, to nasza garderobiana, Rita. Moje panie, na pewien czas zostawiam was. - Skłonił się i wyszedł, uspokajając kogoś na drugim końcu swojego walkietalkie.

- Przyniosłam twoje kostiumy - oznajmiła Rita, apetyczna, no, może trochę za pulchna kobieta z najpocziwszymi wodnistoniebieskimi oczami, jakie Suzanne kiedykolwiek widziała na planie filmowym. - Pewnie powinnyśmy je na ciebie nałożyć. - Suzanne zauważyła, że Rita ma także dołeczki i piegi, czyli wszystkie przyjazne cechy twarzy. Rita pomogła Suzanne włożyć strój gliniarza w cywilu, który składał się z dzinsów, lekkiego swetra i tramppek. Właśnie zawiązywała drugi but, kiedy wszedł Ted, wymachując puszką dietetycznej coli.

- Twoja porcja kofeiny - powiedział, wręczając Suzanne zimną puszkę.

- Dzięki - Gdzie można dostać tego więcej, gdyby była taka potrzeba?

- W ciężarówce z aparaturą sceniczną - wyjaśnił Ted. - Zapytaj Raidera, faceta od sprzętu. Albo ja przyniosę ci jeszcze jedną, jeśli będziesz dla mnie miła.

- Och, przecież jestem miła - stwierdziła Suzanne. - Myślę, że ten okres zostanie zapamiętany jako lata, w których byłam miła, a po nim szybko nastaną ponure miesiące, a potem, oczywiście, ciemne dekady. Właśnie niedawno zakończyłam okropnie popieprzone lata, więc jesteś pierwszym, który skorzysta na zmianach, jakie we mnie zaszły.

Rita właśnie miała coś powiedzieć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zawołała Suzanne.

- Joe Pierce. Właśnie przyszedłem przywitać cię na pokładzie. Suzanne otworzyła drzwi i Ted wyszedł, przeciskając się obok Joe Pierce'a.

- Dzień dobry panu - zwrócił się do Joe, a potem do Suzanne:

- A więc mogę im powiedzieć, że jesteś gotowa?

- Pewnie tak.

Joe Pierce wszedł do przyczepy - nieciekawym mężczyzną w białej koszulce polo i džinsach, które na nim wyglądały jak spodnie od dresów. Przypominał czyjś ojczyma.

- Jeszcze parę osób w tym pomieszczeniu i będziemy potrzebowali smaru - zauważył.

Suzanne roześmiała się nerwowo, a Rita przeprosiła, że musi już iść.

- Do zobaczenia później, Rito - zawołał Joe jowialnie, po czym przeniósł coś, co można nazwać uwagą, na Suzanne. - Wpadłem tylko po to, żeby się przywitać i upewnić, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- Wszystko jest wspaniale - zapewniła go Suzanne, zmuszając się do uśmiechu.

- Chciałbym, byś wiedziała, że naprawdę doceniamy to, iż zrobiłaś test na obecność narkotyków - powiedział Joe, który ze

swoimi malutkimi, ciemnymi oczami, osadzonymi w wielkiej, białej głowie, przypominał Suzanne flądrę.

Odstawiła puszkę z colą.

- Jasne. Przeszłam?

- Czy przeszłaś? - powtórzył Joe, śmiejąc się. - Oczywiście, że przeszłaś. My wiedzieliśmy, że przejdiesz. To towarzystwo ubezpieczeniowe się o to martwiło, nie my. Podczas kręcenia ostatniego filmu miałaś, zdaje się, jakieś kłopoty, ale... - Joe klepnął się w kolano i wstał. - Po prostu chcę, byś wiedziała, że na sto procent jesteśmy za tobą. A teraz zostawiam cię, żebyś mogła się przygotować. - Otworzył drzwi. - Do zobaczenia na zewnątrz - powiedział i machnąwszy ręką na pożegnanie, zniknął.

Po raz pierwszy od chwili, gdy pojawiła się na planie, Suzanne była sama. Siedziała, ściskając puszkę z colą i rozmyślając o wizycie Joe. Nie miała nic przeciwko temu, żeby zrobić testy na obecność narkotyków. Rozumiała, że czas, który teraz nadszedł, musi być dla niej czasem rzetelnej współpracy. Nie odbierała tego jako kary. Jak również zapisu o tym, że jej wypłata będzie trzymana w depozycie aż do zakończenia zdjęć, na wypadek gdyby się naćpała i naraziła producentów na straty finansowe. Wiedziała, że dopóki to będzie konieczne, musi się z tym pogodzić. To był proces naprawy, który mógł się ciągnąć tak długo, jak długo mu się będzie podobało. Żalowała tylko, że nie robi tego dla jakiegoś lepszego filmu – wysokobudżetowego albo nawet interesującego filmu o dużych wartościach artystycznych.

Suzanne usłyszała trzaski walkietalkie dochodzące z zewnątrz. Przełknęła ostatni łyk dietetycznej coli, otworzyła drzwi i poszła za Tedem na plan.

Reżyser, Simon Markham, był Anglikiem. Sympatyczny facet. Spotkała go tydzień temu, kiedy przeprowadzano z nią wstępną rozmowę. Mimo całej desperacji, nie zależało jej szczególnie na tym, czy dostanie tę rolę, czy nie. Po prostu

założyła, że nigdy już więcej nie będzie pracować. Za każdym razem, gdy nie grała, Suzanne była przekonana, już nigdy nie zdobędzie roli i kiedy - w sposób nieunikniony - jednak pracowała, wiedziała, że to po raz ostatni. Jej związek z własnym zawodem oparty był na zaufaniu.

Simon stał obok kamery. Miał na sobie wielki słonkowy kapelusz, lniane spodnie, biały podkoszulek i zarzuconą na ramiona marynarkę.

- Wyglądasz tak, jakbyś się ubrał na przejażdżkę jachtem - powiedziała Suzanne.

- O, dzień dobry, kochanie - przywitał się Simon, niemalże całując ją w oba policzki. - Wyglądasz doskonale. - Kamerzysta poprosił, żeby reżyser popatrzył przez obiektyw na ujęcie, które właśnie ustawiali. Była to scena, w której Suzanne i jej partner, Robert Munch, zostali przywiązani przez bandę sutenerów do kaktusa i zostawieni, żeby tam powoli umarli. Była to scena z mnóstwem dialogów, z wyjątkowo długą wypowiedzią Suzanne na temat jej lęku przed ciemnością.

Patrzyła, jak Simon radzi sobie z ekipą. Był to jego pierwszy film pełnometrażowy, więc bardzo się denerwował. Starał się nie pokazywać tego po sobie. W sukurs przychodziła mu jego naturalna żywość. Teraz właśnie słuchał kierownika zdjęć, który tłumaczył mu, dlaczego to ujęcie nie wyjdzie tak, jak chciał.

Nagle tuż obok niej pojawił się Ted.

- Jesteśmy gotowi do ustawienia - oznajmił. Suzanne skinęła głową i podeszła za nim do kaktusa. Została przedstawiona Robertowi Munchowi, związana razem z nim. Zaczęła opowiadać do kamery o swoim lęku przed ciemnościami, a wszystko to działo się przed dziewiątą rano.

Suzanne uśmiechała się, jadąc tego wieczoru z powrotem do domu dziadków. To był dobry dzień, pomyślała. Spotkała co najmniej pięć osób, które należały do klubu Anonimowych Alkoholików, w tym Roberta Muncha i jego żonę, która mu tutaj towarzyszyła. Znalazła kogoś, kto poda jej pojemniki z

wodą przed sceną w kostiumie kąpielowym. Zapamiętała znaczną część swoich dialogów i Simon wydawał się zadowolony z jej gry. Pod koniec dnia spotkała też obu pozostałych producentów - Ojca i Syna. - Mimo że zachowywali się sympatyczniej w stosunku do Roberta niż do niej, zapisała to na karb powszechnie panującej w przemyśle rozrywkowym dyskryminacji seksualnej i nie zwracała sobie więcej tym głowy.

Suzanne czuła, że jej zgoda na rzeczywistość graniczyła niemal z dorosłością i była bardzo z siebie dumna. Tak, biorąc wszystko pod uwagę, był to zupełnie przyzwoity pierwszy dzień.

Następnego ranka, kiedy przestawiano kamery, żeby kręcić zbliżenia, Simon podszedł do Suzanne i usiadł obok niej. W jego przyjaznym nastawieniu Suzanne wyczuła coś jeszcze. Wyglądał, jakby był zmieszany.

- Co się dzieje? - zapytała. - Czyżby tobie też kazali robić testy na obecność narkotyków?

Simon sprawiał wrażenie zażenowanego.

- O nie, nie - powiedział. - Naprawdę nic się nie dzieje. Tylko... Producenci obejrżeli wczoraj wieczorem próbne zdjęcia i mieli bardzo ciekawe uwagi.

Suzanne natychmiast ogarnął niepokój. Zaczęła nerwowo bawić się mokrymi włosami, które zmoczyły się podczas sceny z deszczem.

- No i co? - spytała najspokojniej jak potrafiła.

- Ależ nie odbieraj tego niewłaściwie - zastrzegł się Simon. - Widziałem te zdjęcia dziś rano i byłaś świetna.

- To mój pierwszy dzień - odparła Suzanne ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

- Jasne, że to twój pierwszy dzień - powiedział Simon z naciskiem. - Absolutnie się z tobą zgadzam. Producentom się po prostu wydaje, że powinnaś się bardziej tym bawić. - Na chwilę

przestał mówić i uśmiechnął się do niej. - Po prostu - wzruszył ramionami - bardziej się tym ciesz, to wszystko.

Suzanne patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Simonie, gdybym umiała bawić się tym wszystkim, nie potrzebowałabym terapii. Nie musiałabym też robić testów na narkotyki.

- No dobrze już, dobrze. - Simon przechylił głowę i popatrzył na nią tak, jakby była małym dzieckiem, które nie zjadło surówki. - Myślę, że mają parę ciekawych uwag. Może nie objaśniłem ci tego jak należy. W każdym razie wydaje mi się, że chodzi im o to, iż powinnaś tę grę uczynić swoją. Zrób ją bardziej własną. Jakoś ciesz się.

Suzanne wpatrywała się w mrowisko u swych stóp.

- Czyżby? - mruknęła. - A ja sądziłam, że wszystko, co tutaj robię, powinno być pełne udręki. To niewiarygodne. Dlaczego jakiś terapeuta nie powiedział mi o tym?

- Posłuchaj, Suzanne - tłumaczył Simon cierpliwie. - Jeśli nie potrafisz przyjąć słów krytyki, nie powinnaś pracować w przemyśle rozrywkowym.

Suzanne rzeczywiście nie lubiła pouczeń. Nawet kiedy reżyserzy udzielali jej wskazówek, często myślała, że ją krytykują.

- Ale, Simon, proszę - powiedziała, nie patrząc na niego. - „Baw się tym”. Czy nie sądzisz, że już bym to zrobiła, gdyby to w ogóle było możliwe?

Simon objął ją ramieniem.

- Wiem, że potrafisz zagrać tę rolę. Tylko bardziej się rozluźnij. Bądź sobą i wszystko będzie cudownie. - Pocałował ją w czubek głowy i odszedł porozmawiać z kierownikiem produkcji, bo Ted właśnie podszedł do niej z puszką dietetycznej coli.

- Słodzik dla słodkiej - oznajmił, wręczając jej puszkę.

- Wiesz, co sobie myślę? - zwróciła się do niego. - Aktorzy to najniżsi z niskich. Chyba że odnoszą sukcesy kasowe. Wtedy są

traktowani z szacunkiem, mimo że się ich nie szanuje. - Pociągnęła wielki haust coli. - W moim przypadku poziom pogardy jest przynajmniej uczciwy. Ani mnie nie szanują, ani nie traktują mnie z szacunkiem.

Ted pokiwał głową współczująco.

- Jeśli chcesz się dokopać do prawdziwego złoza pogardy, powinnaś zostać asystentem reżysera. A najlepiej drugim asystentem reżysera - wyjaśnił, biorąc ją pod rękę. - Musimy trochę poprawić makijaż. Jesteś w następnym ujęciu.

Po nakręceniu tej sceny Suzanne wyruszyła w stronę ciężarówki ze sprzętem, żeby sprawdzić, jakie są możliwości kupienia ciastek i cukierków. Normalnie nie chciałoby się jej iść taki kawał. Ciężarówka znajdowała się w odległej części pleneru. Jednak w ten chłodny, jesienny dzień wszystko wydawało jej się jakieś takie ożywcze. Słyszała kiedyś, że na pustyni ciągle zmienia się oświetlenie, postanowiła więc pójść do ciężarówki i przekonać się o tym na własne oczy.

Kiedy szła przez plener, dobiegał ją ożywiony gwar rozmów ekipy filmowej, zajętej właśnie sprawdzaniem świateł, wymianą obiektywów w kamerach i ustawianiem statystów. Suzanne kochała ekipy filmowe. W ich nieustannej krzątaninie było coś kojącego, co potwierdzało, że może jednak wszystko to ma jakiś sens. Uwielbiała ich stroje: baseballowe czapeczki, a także marynarki i koszule z programów i filmów, przy których pracowali wcześniej. I te ich historyjki o wydarzeniach z poprzednich planów filmowych, anegdoty o kiepskim jedzeniu, o kacu i o dziewczynach. Cała ta kuchnia filmowa. Kiedy pomyślała, że sama też jest częścią tego światka, zrobiło jej się lekko na sercu.

Kiedy dotarła do ciężarówki, mruzczała pod nosem: Nie ma biznesu jak show „biznes”. Metalowe schodki, prowadzące do sklepiku, znajdowały się z tyłu. Suzanne okrążyła samochód i omal nie zderzyła się z młodszym z kierowników produkcji, Neilem Bleene'em.

- Cóż za niespodzianka - powiedział Neil, odskakując na bok.
- Cieszę się, że cię widzę.

Suzanne uśmiechnęła się niepewnie i weszła po schodkach. Neil Bleene trzymał pod pachą oprawiony w bordową skórę scenariusz. Ubrany był w beżowe skórzane spodnie i prostą białą koszulę, rozpiętą pod szyją. Podwinięte rękawy odsłaniały ramiona. Miał ciemne włosy i oczy, brodę, bladą karnację i na wpół rozchylone usta. Wyglądał tak, jakby przed chwilą zaniemówił, przyjemnie czymś zaskoczony. Albo jakby był niemy.

Nie znalazłszy pączków ani innych łakoci, Suzanne wzięła dietetyczną colę i popatrzyła na Neila z wysoka.

- Rozumiem, że poziom przyjemności, jaką odczuwam, grając w tym filmie, jest zbyt niski.

Neil spojrział na swoje buty z krokodylej skóry i chrząknął.

- No, cóż - zaczął lekkim tonem - grasz doskonale, ale... - przecesał wzrokiem horyzont, jakby tam szukał odpowiedniego wyrażenia - coś w sobie zatrzymujesz.

Neil nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia sześć lat i Suzanne uświadomiła sobie nagle, że jest od niego starsza.

- Coś w sobie zatrzymuję - powtórzyła z powagą.

- Czuję, jakbyś nie była... jakbyś jeszcze nie wybrała. Wybrałaś powstrzymywanie się od wyboru. Jakbyś skupiła się na tym, że czegoś nie robisz, a nie na tym, że coś robisz.

- Rozumiem - odparła Suzanne

- Gram w teatrze - wyjaśnił Neil. - A poza tym reżyseruję sztuki teatralne. Przede wszystkim jestem reżyserem teatralnym. Ten film robię tylko dla pieniędzy. Powiedziano mi, że podczas próby spontanicznie uderzyłaś Roberta. Uważam, że nie powinno się hamować twoich odruchów. - Neil zaczął naprawdę marudzić. - Całkiem inną kwestią jest to, że istnieje pewien prawidłowy sposób czytania dialogów. Na przykład w komedii końcówki fleksyjne na końcu wypowiedzi mają intonację wznoszącą. To jest reguła.

Suzanne uklękała, żeby - bez konieczności schodzenia z ciężarówki - móc spojrzeć mu w oczy. Miała wrażenie, że ciężarówka oddziela ją od niego i chroni. Nie chciała z tego zrezygnować.

- To w komedii są jakieś reguły? - zapytała. Neil przesunął rękami po włosach.

- No, nie. To raczej nie reguły, lecz wskazówki. Wskazówki, jak grać komedię. - Na chwilę przestał mówić, a potem spróbował dotrzeć do niej z innej strony. - W „Public Domain” byłaś bardzo dobra. Jak to zrobiłaś?

- Moim doradcą, jeśli chodzi o grę, była Magna Valnepov, a reżyserem Benjamin Keller - powiedziała podniesionym głosem Suzanne. - Nie bawiłam się tam. Mieliśmy miesiąc na próby. Pracowaliśmy bardzo ciężko. Niemal bez odpoczynku.

Zauważyła, że Neil nie spuszczał z niej oczu, przyciskając do piersi, jak tarczę, oprawiony w skórę scenariusz. Zdała sobie nagle sprawę, że teraz ona zaczyna się bronić.

- Posłuchaj, być może nie potrafię przyjmować słów krytyki jak należy, ale to wcale nie oznacza, że ich nie słyszę. Kiedyś na pewno do mnie dotrą. Teraz zbyt trudno byłoby mi je znieść. Chciałabym stać się kimś, kto przyjmuje krytykę z wdzięcznością i potrafi natychmiast docenić jej wartość, ale, niestety, nie jestem. Jeśli wyglądam na nieszczęśliwą z tego powodu, to dlatego, że tak jest. Pracuję nad tym filmem dopiero przez jeden dzień, a już po raz drugi rozmawiam o tym, czego w mojej grze brakuje.

Neil potrząsnął głową.

- Rozmawiamy przecież o dwóch minutach filmu. Dwóch minutach kręcenia, podczas gdy cały film ma dziewięćdziesiąt.

- Czy to da się poprawić? - spytała. Neil roześmiał się.

- Przestań - powiedział uspokajająco. - Nie jest tak źle. Tragicznie byłoby dopiero wtedy, gdybyś podczas dialogu puszczała bąki, a my wszyscy, oglądając potem nakręcony

materiał, dziwilibyśmy się: - „Co to za hałas nakłada się na jej tekst?”

- Co za ulga - zauważyła Suzanne. - Tego typu porównanie przyniosło mi prawdziwą ulgę. - Ostrożnie zeskoczyła z ciężarówki, uważając, żeby nie rozlać coli. - Dziękuję za wskazówki na temat gry i za tę podnoszącą na duchu rozmowę - rzuciła przez ramię, kierując się w stronę planu. - Teraz jestem znacznie bardziej rozluźniona.

W drodze do domu Suzanne spytała Lesa, swojego kierowcę, czy podoba mu się przemysł rozrywkowy.

- Raz tak, raz nie - odparł. - To taka babska robota. Zmienna. - Wzruszył ramionami. - Z zewnątrz wygląda całkiem dobrze, a w środku po prostu nic nie ma.

- To dlaczego podjąłeś tę pracę?

Les wyszczerzył zęby w głupawym uśmiechu.

- Chciałem poznać Jean Arthur - przyznał się.

- I poznałeś?

- Jasne, że tak - odparł z dumą. - Kręciła trzy filmy dla wytwórni Columbia. Wozilem ją wtedy. Ostatnim razem to ona sama prosiła, żebym był jej kierowcą.

Od powrotu Suzanne do domu dziadków nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy zadzwonił telefon.

- Oczywiście do ciebie - powiedziała babcia. - Jakiś George.

- George Lazan - szepnęła Suzanne, zasłaniając słuchawkę ręką. - Jeden z kierowników produkcji.

- O - odezwała się babcia - Panna Snobka Przemądrzalska. - Poszła do kuchni otworzyć jakąś puszkę na obiad - Panna Snobka Przemądrzalska - powtórzyła. - Prawda, Howdie?

- Halo. - Suzanne podniosła słuchawkę do ucha.

- Czy nie przeszkadzam? - spytał grzecznie George Lazan.

- Ależ skąd - zaprzeczyła Suzanne. - Jak się masz?

- Posłuchaj - George przystąpił do rzeczy - oglądałem nakręcone sceny i szczerze mówiąc, nie jesteś spontaniczna. Jakbyś coś chciała zachować dla siebie. Widzisz, wyobrażam

sobie ten film jako zabawne, lekkie widowisko, coś w rodzaju „Whafs Up, Doc?” Powinnaś się rozluźnić. Musisz po prostu dobrze się bawić, musisz zaufać naturalnej radości.

Suzanne rzuciła okiem na dziadka, który siedział w salonie i oglądał mecz piłkarski. Na końcu jego papierosa tworzyła się niewiarygodnie długa warstwa popiołu.

- Cóż - odparła - naprawdę nie mogę ci przyrzec, że będę grać jak Barbra Streisand.

- Nie i jeszcze raz nie - powiedział George. - Raczej spróbuj potraktować Roberta Muncha jako kogoś w rodzaju Ryana O'Neala. Jest aktorem, który świetnie potrafi reagować na grę innych. To ty powinnaś dyktować tempo w tym filmie. Jeśli to zrobisz, Robert się podporządkuje.

Suzanne usiadła i wzięła Jiggera na kolana. Milczała.

- Chcemy więc, żebyś narzuciła tempo, a Robert się dostosuje - powtórzył szorstko.

Suzanne pogłaskała Jiggera.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że to ja jestem odpowiedzialna za tempo filmu.

- Posłuchaj - powiedział George niecierpliwie - to film w rodzaju „Happened One Night”. Wiesz, o co mi chodzi. - Odchrząknął. - Czy sądzisz, że jesteś w stanie to zagrać?

Suzanne zdrętwiała. Jigger zeskoczył z jej kolan. Popiół z papierosa dziadka opadł na podłogę.

- Tak - odparła cichutko. To absurdalne, pomyślała, chcąc mnie wywalić z kiepskiego filmu tylko dlatego, że nie udało mi się rozluźnić.

- Zawsze pytam o to aktorów - wyjaśnił. - Posłuchaj, tylko dlatego, że wyobrażaliśmy sobie w tej roli kogoś w typie Goldie Hawn czy Marilyn Monroe, nie możemy... Musimy zająć się tym, co ty powinien do niej wnieść. Zaangażowaliśmy cię, więc teraz musimy zadowolić się tym, co ty możesz nam zaoferować.

Suzanne westchnęła. Tego już za wiele, pomyślała. Dostałam tak mocno, jak kiedyś za branie narkotyków.

- Doceniam pańskie uwagi - powiedziała w końcu. - Z pewnością zrobię wszystko, żeby się rozluźnić. Jednakże, jeśli na planie nie okazuję zbytnej radości, to nie dlatego, że rozmyślnie sabotuję pański film.

George odchrząknął raz jeszcze.

- Zdaję sobie sprawę - wyjaśnił. - Po prostu zrób, co w twojej mocy.

- Postaram się - odparła możliwie spokojnie.

- No, cóż - rzekł - miło było... Zobaczymy się na planie.

- Na pewno - odpowiedziała Suzanne i odłożyła słuchawkę. - Na pewno - rzuciła w przestrzeń.

- „A rolnik powlókł kolejny ciężar!” - zaśpiewał dziadek. Suzanne spojrzała na niego. Uśmiechnął się. - Trajkoczesz i trajkoczesz - burknął. Suzanne podeszła do jego fotela, usiadła na poręczy i pocałowała go w głowę.

- Zupa na stole - zawołała z kuchni babcia.

- Czyż to nie najważniejsze? - powiedział dziadek i potrząsnął głową.

Po kolacji Suzanne postanowiła wcześniej się położyć, bo chciała już mieć za sobą ten dzień. Zmyła makijaż, wyszorowała zęby i włożyła nocną koszulę. Przed pójściem do łóżka zdecydowała się jednak zadzwonić jeszcze do swojej terapeutki.

Nie zdążyła nawet podnieść słuchawki, żeby wykręcić numer Normy, kiedy telefon odezwał się znowu.

- Suzanne? - zapytał w słuchawce męski głos. - To ja, Robert. - Jej agent.

- O co chodzi? - spytała.

- Zadzwonił do mnie dzisiaj George Lazan. Jest bardzo zdenerwowany. Uważa, że nie podoba ci się ta praca. - Suzanne poczuła się tak, jakby wszystko, co z takim trudem przez cały dzień starała się uchronić przed rozpadem, rozleciało się na drobne kawałeczki.

- Jeśli George Lazan denerwuje się z tego powodu, to niech idzie do terapeuty - powiedziała ostro. - Jeśli fakt, że ja, jego zdaniem, nie umiem się dobrze bawić na planie, wyprowadza go z równowagi, to niech sobie, kurwa, zafunduje psychoterapię.

- Pięknie. Co ty wyprawiasz? - W głosie Roberta brzmiała nuta niepokoju. - Co ty najlepszego wyczyniasz?

- Właśnie wzięłam ludes - wykrzyknęła Suzanne jak rozkapryszone dziecko. - Wzięłam ludes, paliłam krak, strzeliłam heroinę.

- Nie musisz wcale tak wrzeszczeć - zauważył.

- Robercie, to przecież ja, Suzanne - jęknęła. - Pracuję dopiero jeden dzień.

- Dwa dni - poprawił ją.

- Rozluźniam się na dobre zazwyczaj około czwartego, piątego dnia na planie.

- George Lazan powiedział mi, że wyglądasz tak, jakbyś coś w sobie zatrzymywała.

- Nie rób mi tego - ostrzegła Suzanne. - Nie rób mi tego! W każdym razie, ani chwili dłużej nie chcę tu być. - Zaczęła płakać. - Nie życzę sobie, by traktowano mnie tak, jakbym celowo coś w sobie zatrzymywała. Zaczęłam w poniedziałek, dzisiaj jest wtorek i ja naprawdę robię, co mogę. Dostałam tę robotę w piątek wieczorem. Dzisiaj jest wtorek! - Głośno pociągnęła nosem i natychmiast zrobiło jej się głupio.

- No, cóż - odezwał się Robert zmartwionym głosem. - Nie ma potrzeby aż tak się denerwować. Po prostu chciałem ci przekazać to, co mi powiedział Lazan...

- Czy chcą mnie wyrzucić? - spytała odważnie.

- Nie, oczywiście, że nie - zaprzeczył.

- Więc o co w tym wszystkim chodzi? Działają przeciwko mnie, a zarazem sobie. Spychają mnie na pozycje obronne. Jeśli chcą, żebym się rozluźniła i potraktowała ten film jak dobrą zabawę, to na pewno nigdy nie osiągną tego w taki sposób. Od

dwunastu lat występuję, a odnoszą się do mnie, jakbym dopiero co skończyła szkołę aktorską.

- Uspokój się, Suzanne - powiedział Robert. - George Lazan jest po twojej stronie. Chce tylko, żebyś zagrała tę rolę najlepiej, jak potrafisz. Uspokój się więc, jedź tam jutro i po prostu bądź świetna.

- W porządku. - Suzanne westchnęła głęboko. - Ale już więcej nie będę wysłuchiwać takich uwag. Jeśli jutro zadzwonią, że im się nie podobam, to chcę, żebyś, kurwa, wyostał mnie stąd i... Przepraszam. Jestem zmęczona. Spałam tylko cztery godziny, a przez cały dzień pracowałam. Wiele godzin czytania dialogów, a teraz jeszcze... - Wycofała się nagle. - Porozmawiam z tobą jutro. Do tego czasu będę w bardziej filozoficznym nastroju.

- Dobrze, kochanie. Nie martw się.

- Dziękuję - powiedziała Suzanne i odłożyła słuchawkę.

- Moja droga, nie powinnaś się tak unosić - rzuciła babcia od progu.

- Mają mnie za kretynkę - odparła Suzanne.

- Nie musisz zachowywać się jak kretynka tylko dlatego, że tak cię traktują. Nie jesteś tym, za kogo cię uważają. Tak zwykła mawiać moja matka: „Kochanie, chociaż traktują cię jak gówno, możesz ciągle zachowywać się jak placek”.

- Dla prababci Pearl był to powracający temat - zauważyła Suzanne. - Pamiętam, że twierdziła, iż tak samo prawdopodobne jest, że mucha usiądzie zarówno na gównie, jak i na placku.

Myślała, że wszystko można podzielić na dwie kategorie. Albo gówno, albo placek.

- No tak, ale była inteligentną kobietą. Bardzo inteligentną. Nie byliśmy nigdy dość bogaci, aby mieć twoje problemy. Twój dziadek pracował przy torach. - Przerwała na chwilę i usiadła na łóżku obok Suzanne. - Wiesz, co powinnaś zrobić? Powinnaś zająć się pisaniem. Niektóre twoje wiersze są lepsze niż wszystkie te, które czytałam na pocztówkach w domu towarowym w Palm Desert.

- Naprawdę nie wiem, czy chciałabym to robić - powiedziała Suzanne z powątpiewaniem.

- Znajdź więc miłego faceta, wyjdź za niego za mąż i ustatkuj się.

- Faceta mogę znaleźć. Gorzej z „miłym”. - Nie uważasz, że gdyby to w ogóle miało się stać, to już by się stało?

- Nie - odparła babcia. - Jesteś w dobrym wieku do małżeństwa. Znajdź miłego faceta, żeby o ciebie zadbał.

- Ale, babciu, ja potrzebuję bardzo troskliwej opieki.

- Och, przechwalałaś się - uznała babcia. - Przechwalałaś się i dziwacznie myślisz, ale w gruncie rzeczy jesteś taka sama, jak inne. Udajesz osobę gruboskórną, ale masz słaby charakter. Po prostu za dużo myślisz i za głośno gadasz.

- Czy nie sądzisz, babciu, że mam dziwne życie?

- Dziwne, dziwne, wszystko dla ciebie jest dziwne. Nie jest wcale aż takie dziwne. Prędzej czy później będziesz musiała coś zrobić, żeby się pozbierać, dziewczyno. Przestałaś brać narkotyki i z tego powodu naprawdę jestem z ciebie dumna, ale teraz powinnaś sobie jasno uświadomić, co właściwie chcesz robić ze swoim życiem.

- Zaraz, zaraz, co ty zawsze mówiłaś? Ze nie to, co zjadasz, sprawia, że tyjesz, a to, co dostajesz? - zapytała Suzanne.

- Uhm.

- Co to znaczy? Zawsze uważałam, że wymyślono to specjalnie, by zamieszać ludziom w głowach.

- Nie - odparła babcia. - Oznacza to mniej więcej tyle: Oczy są większe niż żołądek. Tyjesz nie z powodu tego, co jesz, a tego, co dostajesz. To tak, jakby to, co zjesz, było tym, co dostajesz - nawet jeśli jest to tylko talerz zimnej fasoli.

- Rozumiem.

- Co tu się dzieje? - spytał dziadek, który właśnie stanął w drzwiach. - Popatrzcie, co ten kot tu przywłókł.

- Cześć, dziadku.

- Cześć, kochanie - powiedziała babcia. - Co robisz na gorze?

- Usłyszałem, że wszyscy są tutaj i trajkoczą, więc pomyślałem sobie, że też tu przyjdę - odparł.

- Chcesz jeszcze trochę tego gulaszu wołowego? - zapytała Suzanne.

- A już jadłem?

- Nie pamięta - szepnęła babcia.

- Och, z pewnością pamiętam - zaoponował. - Pamiętam. Wszystko słyszałem. Nie gadajcie za moimi plecami. Powiem wam, kobiety...

- Kochanie, nie irytuj się - prosiła babcia. - Chcesz może trochę...

- Chcę tylko trochę kawy i pączka - przerwał jej dziadek. - Usłyszałem, że głośno gadacie. Czuję się dobrze. - Powędrował z powrotem do swojego pokoju.

- Gorzej z nim z każdym dniem - zauważyła babcia. - Przypomina mi ciebie, kiedy z powodu środków przeciwbólowych robiłaś się taka niewyraźna.

Suzanne westchnęła.

- Chciałabym tylko mieć normalne życie. Myślisz, że stałoby się tak, gdybym się tutaj przeprowadziła i pisała te wiersze na pocztówkach i...

- Szczerze mówiąc, nie sędzę, żebyś potrafiła tak żyć - wpadła jej w słowo babcia. - Ale masz przyjemne marzenia. Większość ludzi marzy o wielkich rzeczach, a ty o małych. Po prostu każdy chce mieć to, czego nie ma. Samo życie nie jest istotne, ważne co z nim zrobisz. Zrób więc raczej coś normalnego ze swoim nienormalnym życiem, a nie staraj się mieć normalnego, bo i tak z tego normalnego zrobiłabyś coś nienormalnego.

- Ale czy sądzisz, że mogłabym mieć pracę? Zwyczajną pracę? Stałą?

- Zaliczam się do tych, którzy uważają, że możesz zrobić wszystko, co ci przyjdzie do głowy - odparła babcia. - Jak już powiedziałam, myślę, że niektórym ludziom łatwiej jest skupić na czymś uwagę niż innym. Twój umysł wydaje się zawieszony

w powietrzu. Twój brat nie ma głowy w chmurach, ale ty masz swoją dokładnie tam. Zawsze zbyt dużo czytałaś, zawsze siedziałaś z nosem w książce. Mól książkowy. Po prostu brak ci trzeźwego spojrzenia na rzeczywistość i nie wiem, czy możesz się go nauczyć, czy nie. Ale chyba da się z tym żyć. Zresztą, nie sądzę, że to aż takie złe. Są gorsze rzeczy.

- Czy moja mama też taka była?

- Nie jesteś podobna do mamy. Ona nigdy nie przepadała za książkami tak jak ty, ale za to miała silną osobowość. Kiedy byłaś małą dziewczynką, byłaś bardzo spokojna. Twoja matka była prawdziwym trzpiotem, ale ty... Kiedyś jechaliśmy gdzieś moim samochodem. Okropnie trzęsło. Walnęłaś o coś porządnie i powiedziałaś: „Cholera!” Nie wiem, skąd wytrzasnęłaś to słowo.

Suzanne uśmiechnęła się.

- Co jeszcze pamiętasz?

- Byłaś bardzo poważna - ciągnęła babcia. - Miałaś wielkie, brązowe oczy i bez przerwy pytałaś: „Co to? Co to?” Byłaś ciekawa świata. Marszczyłaś brwi, pokazywałaś palcami na wszystkie strony jak dyrygent szukający swojej orkiestry. Zawsze wydawałaś się bardzo zajęta, jakbyś szła z jednego spotkania na drugie, a byłaś tylko małym dzieckiem.

- Wiesz, co pamiętam, babciu? Byłam tak mała, że nie sięgałam głową nawet do klamki, i strasznie chciałam powiedzieć pewne słowo, a to słowo brzmiało „niezależny”. Bardzo się starałam wypowiedzieć je prawidłowo, ale za każdym razem wychodziło mi „nieżelazny”. To był mój pierwszy wielki stres.

- Zawsze wszystko mocno przeżywałaś - przypomniła babcia. - Próbowала ostrzec cię, ale - sama nie wiem - chyba nie można przekonać dzieci, żeby były inne niż są, a ty masz już taką naturę, że przyjmujesz wszystko jak surowiec do obróbki. Zbyt to potem w środku przeżywasz. Ja uważam, że trzeba życie brać, jakim jest, ale ty zawsze musisz wszystko drobiazgowo

przemyśleć i sprawdzić. O, tak, byłaś naprawdę wścibskim stworzeniem.

- Lubię słuchać o sobie - wtrąciła Suzanne. - Jakbym oczekiwała, że pewnego dnia usłyszę coś, co będzie dla mnie wskazówką, co sprawi, że pomyślę: Tak, to był ten moment. Widzisz, tak naprawdę w ogóle nie pamiętam, że kiedyś byłam dzieckiem. Przynajmniej nie kojarzę, bym kiedyś czuła coś takiego, co myślę, że czują dzieci. Tej atmosfery biegania po zielonej łące w wielkim podnieceniu. Dlatego właśnie uwielbiam opowieści o swoim dzieciństwie. Wydaje mi się wtedy, że chyba jednak nie wylądowałam tutaj gdzieś z innego świata.

- Nie, z całą pewnością nie spadłaś z księżyca - powiedziała babcia. - Byłaś dzieckiem. Na świecie jest mnóstwo poważnych dzieci. Z powodu rozwodu rodziców musiałaś szybko dorosnąć. Nie było to łatwe, ale coś takiego zdarza się dzisiaj wielu ludziom. Oczywiście, że dzieciom jest źlej, jeśli nie muszą tego przeżywać, ale teraz nie ma już sensu w to drobiazgowo wnikać. Robiłaś to, co robią dzieci. Nosiłaś wielkie kapelusze, malowałaś się kosmetykami matki i wkładałaś jej buty na wysokim obcasie. Reżyserowałaś małe przedstawienia w garderobie. Byłaś dzieckiem i jeśli chcesz, możesz jeszcze nim być. Możemy się wybrać na rynek i kupić trochę jedzenia dla dzieci. Nic nie tracisz.

- Od zawsze mam wrażenie, że coś mi ucieka.

- Zawsze reagowałaś w ten sposób. Nie pozwalałaś sobie nawet na drzemkę w ciągu dnia. Nigdy.

- Przez całe życie gnębi mnie przecucie, że stanie się coś złego - wyjaśniła Suzanne - że coś mogłoby się zepsuć i...

- I co? Wydaje ci się, że gdybyś tam wtedy była, to mogła byś temu zapobiec? Jeśli ma się stać coś złego, to się na pewno stanie, bez niczyjego udziału.

- Wiem, ale czuję, że gdybym tam była, to przynajmniej miałabym szansę to naprawić.

- No cóż, mylisz się, czując w ten sposób - oświadczyła babcia. - Może więc mylisz się też, kiedy czujesz, że zdarzy się coś złego. Jeśli coś dzieje się samo, nie można tego powstrzymać. Panujesz tylko nad tym, co ty sama robisz. Więc jeśli naprawdę chcesz wyjść za mąż, urodzić dzieci i gotować, to rusz się, siostrzyczko. Bo na razie nic nie robisz w tym kierunku. Wybacz dosadność, ale trzeba srać albo wynosić się z nocnika.

- Cóż za dowcipne powiedzonko - zauważyła z przekąsem Suzanne.

- Nie bądź bezczelna.

- Czy istnieje jakaś granica wieku dla bezczelności? - spytała Suzanne. - Czy po prostu tak długo jesteś zbyt bezczelna, jak długo żyją twoi starsi krewni?

- Nie wyśmiewaj się ze mnie - oburzyła się babcia. - Wiesz przecież, że mam rację. Po prostu wybierz kogoś i niech się to kręci, zamiast zużywać całą potrzebną do tego energię na uwagi typu: „Ten za niski, ten za wysoki, a ten niedobry...” Po prostu kogoś wybierz. Ja żyję z twoim dziadkiem około pięćdziesięciu lat. Wcale mi się on szczególnie nie podoba, ale go sobie wybrałam. Jestem dumna z tego, że tak długo jesteśmy małżeństwem. Nie upieram się, że na okrągło jestem szczęśliwa, ale żyjemy razem, zgodnie z wolą bożą. Masz partnera, którego nie zawsze akceptujesz, ale nie porzucasz go tylko dlatego, że czasami przestaje cię fascynować. Jesteście zepsuci. Twoje pokolenie uważa, że jeśli komuś się coś nie podoba, to może zrobić cokolwiek - wziąć narkotyki albo jeszcze coś innego. Moje pokolenie jest inne. My trzymaliśmy się tego, co wybraliśmy. Myślę, że mogłabyś wyciągnąć z tego jakieś wnioski.

- Tak - powiedziała Suzanne - ale przecież ty i dziadek nienawidzicie się.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Nie ma między nami nienawiści. Dziadek po prostu prawie przez cały czas jest za

domem, a ja przed domem, ale widzimy się czasem. Mamy wspólną historię. Każde z nas jest częścią życia tego drugiego, a ja nie czuję nienawiści do swojego życia.

- Więc po prostu powinnam... kogoś wybrać? - zapytała Suzanne.

- Nie mówię, że ja tak po prostu wysłałam sobie z domu i wybrałam go, ale kiedy już go wybrałam, to się go trzymałam - ciągnęła dalej babcia. - Nie twierdzę, że nasze małżeństwo było najszczęśliwsze z możliwych, ale nigdy nie zrywaliśmy się nagle i nie wybiegaliśmy z domu, kiedy się pokłóciliśmy. Byliśmy sobie wierni, a to już się liczy. Kocham twojego dziadka. Nie jest tak, że mi się bez przerwy podoba, myślę, że jest upartym, starym zrzędą, ale zostanę z nim, bo jest moim mężem.

- Czego więc powinnam szukać w mężczyźnie?

- No cóż, nie możesz sobie pozwolić na zbytne grymaszenie. Wiesz, szukają też dwudziestolatki ze sterczącymi cyckami i najlepszymi latami, które mogą mężczyźnie poświęcić. Ty zmarnowałaś już swoje najlepsze lata, nie możesz więc za bardzo wybrzydzać. Jeśli znajdziesz kogoś, kto cię polubi i uszanuje, jeśli polubicie się nawzajem, wtedy nad resztą można popracować.

- To brzmi rozsądnie - uznała Suzanne, kiwając głową.

- Nie myśl sobie, że nigdy nie będziecie się kłócić - przestrzegła babcia. - Nie można przeżyć z kimś wielu lat i ani razu nie poczuć, że ten ktoś działa ci na nerwy. Albo odwrotnie. Jeśli oczekujesz, że w ogóle nie będziesz się kłócić, to najlepiej nie wiąż się z nikim.

- No, cóż, na razie się nie wiąże - powiedziała Suzanne.

- A właśnie, że tak - zaprzeczyła babcia. - Miałaś chłopaka. Poznałam Jonathana i Alberta...

- No cóż.

- I co się z nimi stało? Zerwałaś z nimi.

- Nie mogliśmy się dogadać.

- Widzisz, tego właśnie nie rozumiem - wtrąciła babcia. - Tego właśnie w twoim pokoleniu nie rozumiem. Przestaliście się zgadzać? Trzeba ciężko pracować, żeby się nawzajem dopasować. I to musi być najważniejsze, to musi być coś, na czym ci zależy.

- Babciu, powinnaś nakręcić film wideo na temat związków między ludźmi. Od seksu mamy doktor Ruth. Kiedy ludzie już pójdą do łóżka, to możesz im powiedzieć, co mają zrobić, żeby zostać razem.

- No, dalej, wyśmiewaj się ze mnie - burknęła babcia, wstając. - I nie traktuj tego filmu tak poważnie. Przecież mówi się: To tylko film.

- Tak, babciu. Właśnie tak się mówi.

- A teraz powiedz, jak mam ci rano przyrządzić jajka?

- Nie musisz wstawać razem ze mną. Mam jutro spotkanie bardzo wcześnie rano.

- Tak czy inaczej wstaję wcześnie - odparła babcia. - Dziadek musi dostać lekarstwo na serce.

- W koszulkach - powiedziała Suzanne.

- Dobrze. Dobranoc, kochanie. Słodkich snów. Karaluchy do poduchy, a szczypawki do zabawki.

- Kiedy rozdawali znane powiedzonka, byłaś dokładnie tam, gdzie trzeba, prawda? Dobranoc. Kocham cię, babciu - powiedziała Suzanne.

Kiedy rano zjawiała się na planie, była znacznie spokojniejsza. Pierwszą scenę kręcono w samochodzie, który - wraz z całą ekipą i sprzętem - został umieszczony na platformie ciągniętej przez lekką półciągarówkę. Rita skończyła właśnie podłączanie mikrofonu Suzanne, kiedy wszedł Simon z Rockym, pierwszym asystentem reżysera. Omawiali scenę z przejeżdżającymi samochodami.

Suzanne poszła za nimi. Poczekała, aż skończą, po czym powiedziała:

- Przepraszam, Simonie. Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Oczywiście, kochanie. O co chodzi?

- Problem polega na tym - zaczęła - że wczoraj aż cztery osoby, z moim agentem włącznie, poruszały ze mną temat mojego samopoczucia na planie. Naprawdę było to dla mnie męczące. Wolałabym otrzymywać wskazówki wyłącznie od ciebie.

Simon sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Wiał silny wiatr, który omal nie zerwał mu z głowy kapelusza.

- Naprawdę? - W jego głosie brzmiała typowo angielska uraza. -To niemożliwe. Muszę zamienić z nimi kilka słów. Nawet twój agent dzwonił do ciebie?

- Mój agent - potwierdziła Suzanne z oburzeniem. - Jakbym była dzieckiem. Jakby naprawdę tak trudno było się ze mną porozumieć. Chodzi o to, że równie dobrze mogłabym im dać numer telefonu mojej matki! Albo, jeszcze lepiej, wezwać moją babcię. Mieszka tu niedaleko, mogłaby być na planie i pilnować, czy jestem wystarczająco rozluźniona!

- To jest to! - wykrzyknął Simon, strzelając palcami. - To właśnie ona! Chcę, żeby twoja bohaterka filmowa była właśnie taka. Taka jak jesteś teraz. Rozumiesz?

- Ależ Simonie - odparła Suzanne, starając się opanować, to przecież wcale nie jest rozluźnienie. To niewiarygodne zdenerwowanie. Jeśli tego potrzeba tej bohaterce, to może...

- Kochanie - objął ją ramieniem i odprowadził do samochodu na platformie, gdzie ekipa czekała już na próbę - po prostu bądź sobą i będziesz doskonała. Wiem, że to brzmi banalnie, ale zaufaj mi. Porozmawiam z kierownikami produkcji, żeby to, co stało się wczoraj, na pewno się więcej nie powtórzyło. A teraz uspokój się. - Pocałował ją w czubek głowy.

Wtedy podszedł do niego Rocky.

- Jesteś potrzebny przy kamerze - powiedział.

- Dobra, dobra, już - odparł Simon, skręcając za ciężarówkę. Suzanne skierowała się w stronę platformy. Ted pomógł jej wdrapać się do samochodu. Kilka minut później wszedł Robert

Munch i Suzanne opowiedziała mu całą zawiłą historię zadowolenia i odprężenia, podczas gdy platforma wlokła się w stronę odludnego odcinka biegnącej przez pustynię szosy, gdzie mieli spędzić następne kilka godzin.

Kiedy Suzanne skończyła opowiadać, Robert uśmiechnął się rozradowany.

- Telefon do Suzanne - powiedział. - Drrrr! Halo, kochanie, to twoja ciotka Lillian z Tucson. - Robert zmienił głos. - Posłuchaj, kochanie. Dzwonił dzisiaj George Lazan i wspomniał, że - zdaje się - nie bawisz się dobrze. Tak, wiem, że w dzisiejszych czasach trudniej jest się bawić niż wtedy, kiedy ja byłam dziewczynką. Wiesz, co robiliśmy, żeby się zabawić? Szliśmy nad sadzawkę, gdzie huściliśmy się na oponie przywiązanej na linie, po czym jeden po drugim wskakiwaliśmy do wody. W każdym razie, wydaje mi się, że jeśli zamierzasz zajmować się tym idiotycznym filmem dla zarobku, mogłabyś równie dobrze spróbować się nim bawić. Do zobaczenia, kochanie.

Suzanne dawno już nie była taka szczęśliwa.

- Drrrrr - zawołała radośnie. - Halo - powiedziała jako ona sama. A potem ciągnęła dalej - Suzanne, to ja, Mary. Posłuchaj, dziewczyno, opiekowałam się tobą od maleńkości, a teraz martwię się o ciebie. Ten pan George Lazan dzwonił do mnie, tak, tak, dzwonił. Mówi, że jesteś za bardzo spięta. Suzanne? Co jesz? Mogę się założyć, że jesz za dużo cukru, a za mało białka i tym podobnych rzeczy. Wiesz co mój Piotrek robi, żeby się odprężyć? Tak, wiem, że on nie jest aktorem, ale też jest bardzo spięty. On często bierze bardzo gorącą kąpiel i zaraz potem zimny prysznic, a potem... Tak, poza tym nie możesz pić, bo to też może ci szkodzić. Dobra, kochanie. Trzymaj się ciepło. Cześć.

- Drrrr! Drrrr! - zawołał Robert. - Halo? Cześć, Suzanne. Być może już mnie nie pamiętasz, ale chodziłem z tobą do przedszkola, Louis Bodenfelden. Byliśmy razem w grupie pani Webber. Kiedyś po drodze do biblioteki tak wymiotowałem, że

aż jajecznicą wyszła mi nosem. To było na schodach? W każdym razie, ten facet, George Lazan, zadzwonił do mnie. Myślał, że może ja mógłbym z tobą porozmawiać na temat rozluźnienia się podczas gry. Nie wiem, dlaczego zadzwonił do mnie. Mówił, że próbował dotrzeć do pani Webber, ale ona nie żyje. W każdym razie, miło mi było znowu z tobą porozmawiać. Śledzę twoją karierę od lat. Powodzenia.

Suzanne zauważyła, że Simon, Rocky i wszyscy faceci od dźwięku pokładają się ze śmiechu i wtedy przypomniała sobie, że zarówno ona, jak i Robert ciągle mają podłączone mikrofony. Każdy, kto miał słuchawki na uszach, mógł ich słuchać. Zastukała natarczywie w okno.

- Panna Vale? - powiedziała niskim, męskim głosem. - Panno Vale! To ja, Jeff, facet od basenu. Przepraszam, że panią budzę, ale ten lalusz George taki owaki zadzwonił do mnie i powiedział, że nie panuje pani nad swoją grą. Powiedziałem mu, że zawsze wydawała mi się pani całkiem rozluźniona, ale, z drugiej strony, kiedy przychodziłem, zwykle pani spała. Może w basenie jest za dużo chloru. Niech się pani nie denerwuje. A facet niech się wypcha. Sie ma.

W każdej przerwie między zdjęciami ciągnęli tę grę z telefonami od ludzi, z którymi skontaktował się George Lazan. Dzwoniła pracownica pralni, instruktorka od gimnastyki, ginekolog, instruktor jazdy na nartach wodnych, ktoś z rady obozu harcerskiego, rodzice oraz ojczym i macocha, Jack Burrouhgs i, w końcu, krytyk z Nowego Jorku, który kiedyś sugerował, że Suzanne powinna zmienić zawód, i który teraz wypowiadał swoją opinię znacznie bardziej gwałtownie.

- Przez całe rano byłaś wspaniała - powiedział z entuzjazmem Simon w drodze powrotnej na plan. - Sama rozkosz, przed kamerami i poza.

Suzanne uśmiechnęła się i zaczerwieniła lekko. Całe ciało bolało ją od śmiechu. Musiała przyznać, że czuła się nieźle rozluźniona.

Tydzień później, w swoje trzydzieste urodziny, Suzanne siedziała w nie oznakowanym samochodzie policyjnym, przemoczona do suchej nitki i czekała, aż Simon zawoła: „Akcja!” Popatrzyła na Roberta.

- Jeśli to ma być jakaś oznaka tego, jak ma wyglądać moje życie po trzydziestce... - zaczęła.

- Po trzydziestce? - wykrzyknął Robert. - Pomówmy lepiej przez chwilę o mojej czterdziestce, dobrze? Porozmawiajmy o tym, że mam żonę i dwie córki, a mimo to jestem przemoczony do suchej nitki, na ramieniu mam wielką filmową ranę i bawię się w policjantów i złodziei.

- A co ty na to, że ja mam trzydziestkę i nie posiadam dzieci - odparowała Suzanne - ani męża?

Robert zaczął się śmiać.

- Co za wspaniała pogawędka. Co ze mną? Dobrze, ale co ze mną?

- Aktorka w dzień swoich trzydziestych urodzin, prześladowana myślami o sobie - powiedziała Suzanne, także się śmiejąc. - Stałam się bardzo typowa.

- Kochanie, dawno temu stałaś się typowa, tylko byłaś zbyt zapruta, żeby to zauważyć.

- Och, dziękuję. Przypuszczam, że ty nie jesteś typowy?

- Ja wprost rozkoszuję się własną typowością - odparł ironicznie Robert. - Czy sądzisz, że oni pamiętają, iż siedzimy tutaj i czekamy na zdjęcia? - Spojrzał na szosę, gdzie rozłożyła się ekipa filmowa. Simon i Rocky byli pogrążeni w rozmowie. Simon popatrzył na drogę w kierunku ich samochodu i podniósł w górę pięć palców. - Jeszcze pięć minut - westchnął Robert.

- Hej, kochanie - zaczęła mu dokuczać Suzanne - przecież chciałeś pracować w rozrywce.

- Nie w takiej rozrywce - odparł Robert. - W zabawnej, fascynującej rozrywce. - Łagodny, ciepły wietrzyk stale wiał przez pustynię, przynosząc głosy ekipy. - Jak na kogoś, kto właśnie skończył trzydziestkę, jesteś okropnie wesoła.

- Nienawidzę samej myśli, że mogłabym pamiętać swoje trzydzieste urodziny jako przykry dzień - wyjaśniła. - Czasami jestem szczęśliwa i po prostu nie... - przerwała, szukając odpowiednich słów - jestem szczęśliwa, ale ponieważ spodziewam się czegoś innego, stawiam to uczucie pod znakiem zapytania. A zatem teraz, kiedy ogarną mnie wątpliwości - wzruszyła ramionami zuchowato - założę, że jestem szczęśliwa.

Nagle usłyszeli, że Rocky ich woła i zobaczyli, że Simon podnosi kciuk do góry na znak, że to już. Roger wbiegł na wzgórze z butelką wody, żeby ich spryskać.

- Akcja! - zawołał Simon.

Robert uruchomił silnik i zaczął zjeżdżać ze wzgórza. Suzanne chwyciła rewolwer. Kiedy jechali przed kamerami, była bardzo rozradowana. Ciągłe była młoda, ładna, bystra, jej mokre włosy rozwiewały się za nią na wietrze i - na dodatek - miała w rękę broń. Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem kamery, zaczęła śpiewać: Ach, co za piękny poranek.

Kiedy dotarli do głównej szosy, Suzanne zauważyła, że w kinie dla zmotoryzowanych wyświetlano „False Start”. Był to film, w którym chciała kiedyś zagrać, ale odpadła po wstępnym czytaniu dialogów. Jej nastrój natychmiast się zepsuł.

- Powinniśmy wracać - powiedziała cicho. - Wściekną się. Robert zauważył reklamę i uśmiechnął się współczująco.

- Chciałaś w tym grać?

Suzanne udawała, że interesuje ją rewolwer.

- Przejdzie mi - odparła ze stoickim spokojem.

- Kiedy? - zapytał Robert, zwracając samochód.

- Gdy w mojej terapii nastąpi przesilenie i już nic nie będzie mnie dręczyć.

- Wiesz, są ludzie, którzy czują się źle, bo nie dostali się do naszego filmu. Co byś im doradziła?

- Żeby jeszcze raz przemyśleli swoją karierę - odparła. - Ja zawsze zastanawiam się nad sobą. To mi daje świeżość spojrzenia.

- Czy sądzisz, że wytrwasz do końca tego filmu? - zapytał. Zatrzymał samochód. Suzanne rozejrzała się dookoła i zobaczyła, że cała ekipa wybieła w jej stronę gołe tyłki i śpiewała „Sto lat”. Marilyn stała przy samochodzie, trzymając tort czekoladowy, w którym tkwiło trzydzieści jeden świeczek.

- Mam najgorszą dupę, więc muszę pokazywać tort - powiedziała z uśmiechem.

- Nigdy tego nie zapomnę. - Suzanne zaczerwieniła się jak pustynna róża.

- Jednak - wtrącił Robert - gdybyś się poddała odpowiednio długiej psychoterapii...

- Na to żadna psychoterapia nie jest odpowiednio długa - podsumowała Suzanne.

RS

DYSFORIA

Wybierała się na przyjęcie, ale ponieważ była w ciąży, a nie chciała zabierać dziecka ze sobą, wyjęła je z brzucha i zostawiła w domu. Kiedy już dotarła na przyjęcie, uświadomiła sobie nagle, że nie można przecież robić czegoś takiego z własnym dzieckiem, wróciła więc do domu. Dziecko było już sine. Wpadła w panikę i zaczęła je wpychać z powrotem do brzucha. Jak mogłam coś takiego zrobić? - pomyślała. Jak mogłam nie przewidzieć, że coś takiego się stanie? Przecież nawet nie bardzo chciałam iść na to przyjęcie.

Zupełnie nieoczekiwanie zaczęła latać. Szybowała ponad rozległymi połaciami wiejskiego krajobrazu. To było cudowne. Cudowne. A potem, w trakcie tego lotu, pomyślała: Nie umiem latać. Wtedy nagle zdała sobie sprawę, że wcale nie lata, tylko spada z ogromnej wysokości. Próbowwała łapać wiatr pod ramiona, tak jak ptaki łapią go pod skrzydła, żeby utrzymać się w powietrzu, kiedy ktoś zaczął z ziemi do niej strzelać. Czowała, że jest absolutnie odsłonięta. Nie mogła się schować, nie mogła się schylać, aby uniknąć kul. Chciała głębiej wejść we własne ubranie. Nie miała dokąd uciekać. Nie mogła opaść na ziemię, bo stamtąd do niej strzelano, ale ponieważ do niej strzelano, pozostawanie w powietrzu także było niebezpieczne.

A potem znalazła się w samochodzie jako pasażer. Kierowca siedział w półmroku, ale zorientowała się, że to mężczyzna. Chciała wysiąść z tego samochodu, bo wydawało się jej, że nikt nad nim na panuje, ale jechał zbyt szybko, pokonując ogromne odległości w nie znanym jej kierunku. Nagle przyjechali do jakiegoś domu. Otworzyła drzwi i znalazła się w tunelu, w bardzo długim tunelu. Wydawało jej się, że z głębi tego tunelu dochodzi płacz niemowlęcia. Echo tego płaczu przeraziło ją. Zaczęła biec, a mężczyzna z samochodu gonił ją z rewolwerem w rękę przez głębokie zasy pnie...

Wtedy właśnie zadzwonił telefon, swoim jazgotem wyrывая Suzanne ze snu i przerywając koszmar. Wychyliła się z łóżka.

- Halo - powiedziała, chwytając powietrze ustami. - Halo? - powtórzyła ponownie, słysząc pisk linii międzykontynentalnej.

- Halo? - W słuchawce odezwał się męski głos, który dochodził do niej jak z zaświatów. - Czy mogę prosić Suzanne Vale?

- Kto mówi? - zapytała Suzanne z zamkniętymi oczami. Zaciskała mocno powieki, żeby nie dopuścić do oczu promieni porannego słońca.

- Sven Gahooden - usłyszała starannie wymawiane słowa, choć z obcym akcentem. - Spotkałem ją na intensywnym treningu osobowości kilka lat temu i prosiła, żebyśmy zadzwonił do niej, jeśli tylko...

- Suzanne jest w Nowym Meksyku, na jakiejś medytacji, podczas której nie wolno się odzywać - przerwała.

- Na treningu intuicji w Chaparral*?! - wykrzyknął Sven.

- Myślę, że to jest to - powiedziała cierpliwie Suzanne.

- Przekaż jej, że chciałem jej podziękować. Podczas oglądania w Sztokholmie filmu, w którym grała, w mojej terapii nastąpił przełom.

- Przekażę - odparła Suzanne

- I że porzucię studia medyczne, aby pracować na cały etat w Stowarzyszeniu Walki z Głodem - dokończył Sven.

- W porządku, powiem jej - obiecała Suzanne z odrobiną zapалу. - Do widzenia, Svenie.

- Z kim rozmawiałem? - zapytał grzecznie Sven.

- Z Ruth Buzzi, koleżanką Suzanne.

- Dziękuję Ruth.

* Chaparral - gęstwiną karłowatych dębów, wiecznie zielonych lub twardych, kolczastych krzewów, rośnie w południowych stanach USA.

- Dziękuję, Svenie. Do widzenia. - Suzanne odłożyła słuchawkę i potrząsnęła głową. Ruth Buzzi, pomyślała z niedowierzaniem. Może rzeczywiście powinnam zakazać sobie mówienia?

Burzliwy sen spowodował, że koszula nocna owinęła jej się wokół ciała w taki sposób, że hamowała dopływ krwi do lewej ręki. Suzanne zrzuciła koc, jakby to był jakiś zaczarowany płaszcz i wstała, przygotowując się do wkroczenia na niebezpieczną arenę dnia bez jego, tak przecież potrzebnej, ochrony.

Odplątała koszulę nocną, weszła do łazienki, napuściła trochę wody do wanny i poszła do kuchni napić się soku pomarańczowego, żeby się dokładnie obudzić. Mężczyzna z karabinem, pomyślała. Jakie to głupie.

Następnie wróciła do sypialni i włożyła kasetę do magnetofonu. Lubiła rano słuchać ścieżek dźwiękowych do filmów. W samochodzie słuchała tylko rock and rolla, ale domową muzyką były dla niej ścieżki dźwiękowe. Tego ranka włączyła dźwięk z „Somewhere in Time”. Tak według niej powinna brzmieć miłość. Słuchała muzyki w zamyśleniu, a kiedy wypła sok, wróciła do łazienki. Przy takiej muzyce jej własne myśli bardziej przypominały poezję, a mniej jałową paplaninę. Zakręciła wodę i usiadła w wannie.

Muzyka zaczęła przenikać jej duszę. Chester Pryce, muzyk, z którym w przeszłości chodziła, wspomniał o tej muzyce. Lubiła go, ale nigdy już więcej nie miała z nim kontaktu. Nie mogła sobie przypomnieć, czy lubiła go wtedy, gdy z nim chodziła, czy później. W każdym razie, to on opowiedział jej o tej muzyce - mówił, że bardzo często jej słucha - ale nie ostrzegł jej, że przypomina ona uczucia, wobec których trzeba być bardzo dzielny. Suzanne wyobraziła sobie Chester a jadącego stromym brzegiem morza i słuchającego w samochodzie tej właśnie muzyki.

Sięgnęła po ręcznik, wstała i wyszła z wanny. Przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu w lustrze. Musi schudnąć. I to niemało, żeby przez parę dni mogła jeść nie martwiąc się zbytnio o figurę. W ogóle nie będę dzisiaj jadła, chyba że będzie to absolutnie konieczne, pomyślała.

Z ogromnym niepokojem dostrzegła na brodzie nową plamkę. Wydawało jej się, że nadaje ona jej twarzy jakiś nowy wyraz. Już martwię się zmarszczkami, a jeszcze na dodatek wyskakują mi pryszcze, pomyślała. Życie jest jak okrutny, przerażający żart, a ja jestem jak jego pointa. Świeży pryszcz na brodzie wprowadził ją w konsternację. Tego wieczoru powinna wybrać się na przyjęcie do swojej przyjaciółki Wallis, co nawet przy nieskazitelnej skórze byłoby dla niej wystarczająco trudne.

Włożyła strój gimnastyczny, którym był czarny kostium kąpielowy w malutkie misie. Kupiła go kilka lat temu na Hawajach, kiedy zginął cały jej bagaż. Nie była żadną miłośniczką misiów, lecz po prostu znalazła się w warunkach wyższej konieczności, a akurat w tym kostiumie jej piersi prezentowały się doskonale. Naciągnęła szorty w turkusowo-czarną kratkę. Nie było to gustowne zestawienie, ale Suzanne nie rozstawiała się ze swoimi strojami, kiedy już się do nich przyzwyczaiła. Włożyła czarne skarpetki, turkusowe tenisówki, spryskała się perfumami i dezodorantem, starła nadmiar makijażu pod oczami, wzięła portmonetkę i udała się na gimnastykę.

Wyjechała w kierunku Venice za samochodem marki Kharmann Ghia z tablicą rejestracyjną, na której widniał napis BURRRPP. Znała tę trasę na pamięć, więc nie musiała nawet szczególnie się koncentrować. Uważała, że jest świetnym kierowcą, i żałowała, że na tym przeświadczeniu nie da się zbudować szacunku dla samego siebie. Kiedy w grę wchodziły ważniejsze sprawy, wiara w siebie jako dobrego kierowcę nie znaczyła jednak zbyt wiele.

W samochodzie z odkrytym dachem, otwartymi oknami i radiem włączonym na cały regulator, Suzanne czuła się spokojna. Kiedyś uznała, że Bóg mieszka w jej radiu samochodowym i gra jej ulubione piosenki tylko wtedy, gdy jest z niej naprawdę zadowolony. Tydzień temu, słuchając z taśmy nagrań zespołu Pretenders, uszkodziła wzmacniacz. Najwyraźniej Bóg nie był tego dnia szczególnie z niej zadowolony. Głośniki zamilkły w trakcie piosenki „Middle of the Road”, zaraz po tym, jak przejechała poprzeczny garb na szosie, ograniczający szybkość pojazdów. Jechała dalej, całkiem oszołomiona ciszą. Zaraz następnego dnia oddała wzmacniacz do naprawy i teraz piosenka Boba Segera „Still the Same” była znowu tak głośna, że aż nogi jej drżały. Kiedy skręcała w Lincoln Boulevard, zawsze robiło jej się smutno, bo wiedziała, że przed dotarciem do sali gimnastycznej Golda czekała ją tylko jeszcze jedna cała piosenka.

Lubiła jeździć do sali gimnastycznej, a ściślej, mieć już za sobą pobyt w sali gimnastycznej. Lubiła też ten skurcz, który po podnoszeniu ciężarów łapał ją między ramieniem a mięśniem trójgłowym.

Wiedziała jednak, że bez względu na to, ile wysiłku włoży w gimnastykę, nie będzie mieć ładnego ciała, jeśli nie nauczy się prawidłowo odżywiać. Na razie umiała tylko odżywiać się niewłaściwie.

Zawsze jadła nie to, co zalecają dietetycy. Taka była jej rodzinna tradycja. Nabiał, czerwone mięso, sól, cukier, kofeina i wszystkie potrawy smażone - typowe amerykańskie jedzenie. Wiedziała, co takie jedzenie robi z człowiekiem, ale i tak zbyt długo nie mogła bez niego wytrzymać. Jej diety zwykle trwały do wpół do piątej po południu, kiedy nie mogła już dłużej ich znieść i zjadała coś tak niezdrowego, jak gulasz wołowy.

Nie lubiła przygotowywać jedzenia ani też do niego zasiadać, może dlatego, że kiedy była mała, jej matka po posiłkach kazała dzieciom siedzieć i prowadzić rozmowę. Suzanne uważała

jedzenie za czynność intymną i lubiła to robić gdzieś w kącie albo w samochodzie. Pożywienie to po prostu paliwo dla ciała. Kiedy napełniała paliwem zbiornik, samochód nie prowadził rozmów z innymi samochodami. Kiedy mijała bary McDonalda i budki z hot dogami, czuła ich znajome sodowe opary i uśmiechała się do siebie.

Do sali gimnastycznej Golda przyjechała o piętnaście minut za późno i zobaczyła, że jej trenerka, Michelle, czeka na nią przed budynkiem. Michelle była muskularną blondynką ze wschodu, która kiedyś nałogowo brała PCP, a teraz próbowała na sali gimnastycznej znaleźć to, co kiedyś dawały jej narkotyki.

- Przepraszam - powiedziała Suzanne.

Michelle wzruszyła ramionami. Suzanne zawsze spóźniała się o piętnaście minut.

- Co dzisiaj robimy? Nogi? - zapytała.

Twarz Suzanne skurczyła się na te słowa. Nogi były najtrudniejsze.

- Może klatkę piersiową i ramiona? - poprosiła słabo.

- W porządku - roześmiała się Michelle - ale nie możesz wiecznie unikać zabrania się do tych swoich babskich tłuściości. Jutro robimy nogi.

Suzanne odetchnęła z ulgą. Wyrok odroczonego o jeden dzień. Szła za Michelle w kierunku sali ze sprzętem gimnastycznym, rozglądając się dookoła. Rozpoznawała niektórych przychodzących tu regularnie ludzi - wysokiego faceta z opaską na głowie i wytatuowanymi na ramieniu hieroglifami egipskimi, aktorkę

z czarnymi, sztywnymi jak druty włosami, która wiecznie była złana potem, i swojego ulubieńca - zwalistego Murzyna, który przychodził tu codziennie, spędzał w sali całe dni i nigdy do nikogo się nie odezwał. Michelle przypuszczała, że długo siedział w więzieniu. Rozpoznawała to po jego sposobie bycia.

- Oto i twój chłopak - powiedziała Michelle.

- Kocham go - odparła Suzanne z rozmarzeniem w głosie, podczas gdy Michelle układała ją prawidłowo w aparacie do gimnastyki ramion. - Jest taki wielki - dodała, zaczynając zmagania. - Nigdy się nie odzywa... Jest samą kwintesencją tajemniczości... Jak malowanka złożona z ponumerowanych fragmentów... Można go całkowicie... wypełnić... - zamilkła, gdyż ćwiczenie stawało się coraz trudniejsze.

- Szkoda, że ja nie mogę w nim znaleźć niczego interesującego - westchnęła Michelle. - Szkoda, że nikt nie wydaje mi się szczególnie interesujący. Jestem na „p”.

- Na co? - wysapała Suzanne.

- Na „p” - powtórzyła Michelle. - Pusta. Nie mam motywacji. Już od wielu tygodni w nikim się porządnie nie zadurzyłam. Zrób to jeszcze pięć razy. Pięć, cztery, trzy, dwa. I jeszcze jeden.

- To za ciężkie - jęknęła Suzanne.

- Ależ to tylko piętnaście kilogramów! - wykrzyknęła Michelle. Pozwoliła Suzanne nieco odpocząć, a potem zaprowadziła ją do kolejnego aparatu.

Z każdym następnym ćwiczeniem Suzanne stawała się coraz cichsza. Była zdumiona, że w ogóle robi to wszystko, szczególnie od momentu, gdy Michelle uświadomiła jej, że bez stosowania diety cały wysiłek jest po prostu bez sensu. Przestrzeganie diety przychodziło jej z trudem, więc jedynym efektem gimnastyki były mięśnie zanurzone w tłuszczu jak wyspy pod wodą. Przyglądała się, jak czarnowłosa dziewczyna o rozbudowanych barach wytrwale ćwiczyła, co sprawiało, że jej mięśnie stawały się jeszcze masywniejsze. Zastanawiała się, jaki to wszystko ma sens. Z podobnym pytaniem filozofowie zmagali się przecież już od zarania ludzkości, więc kimże ona była, żeby znaleźć na nie odpowiedź? Zastanawiała się, czy Kierkegaard był kiedykolwiek w życiu w jakimś miejscu podobnym do sali gimnastycznej Golda.

W końcu dotarły do ostatniego aparatu. Suzanne nienawidziła go, gdyż musiała siedzieć w nim tak, że stale patrzyła na siebie w lustrze, na dodatek przy niewłaściwym oświetleniu.

- Nic nie wiesz o Salu? - zapytała w nadziei, że rozmowa odciągnie jej myśli od własnego ciała. Sal był przyjacielem Michelle i ostatnio zniknął.

- Och - wykrzyknęła żywo Michelle - nie powiedziałam ci?! To niewiarygodne!

- No, to teraz mi powiedz - oświadczyła Suzanne stanowczo.

- Odnalazł się w Nowym Jorku na odwyku - oznajmiła Michelle z nutą wyraźnej satysfakcji w głosie. - To jeden z tych rocznych programów.

- Cały rok - mruknęła Suzanne, potrząsając głową. - Oszalałabym.

- On już wcześniej oszalał - zauważyła Michelle. - Nie wiem, czy może być coś bardziej szalonego niż strzelanie koki w żyłę przez cały dzień. Zrób jeszcze dwa razy. Dwa, jeden, dość. Jeszcze jeden zestaw, potem trochę ćwiczeń na mięśnie brzucha i po wszystkim.

- Tak - wtrąciła Suzanne - nabrał wprawy, wstrzykując sterydy.

- Nawet na temat sterydów kłamał - odparła Michelle. - Jakby można było zbudować kark jak u wieprza wyłącznie przy pomocy pocziwej, staromodnej gimnastyki. A on przecież miał kark jak wieprz. Trzeba sztucznego wsparcia, żeby zbudować taki kark. Gotowa?

Suzanne wykonała ostatni zestaw ćwiczeń w milczeniu. Żeby nie widzieć siebie w lustrze, starała się patrzeć wysoko na ścianę. Powtórzyła zestaw osiem razy, kiedy poczuła, że więcej nie da rady.

- Dalej! - wykrzyknęła Michelle. - Prawie ci się udało!

- Nie! - wrzasnęła Suzanne.

Ogarnęło ją zażenowanie, ale mimo to przestała ćwiczyć. Puszczone znieńacka ciężarki z głuchym brzękiem upadły na

podłogę. Suzanne bez entuzjazmu zrobiła kilka zestawów ćwiczeń na mięśnie brzucha, po czym Michelle odprowadziła ją do samochodu.

Przy drzwiach wyjściowych spotkały Chada Paleya, obrońcę drużyny Rams.

- Cześć, słoneczko - przywitał Suzanne.

- Chad - powiedziała Suzanne - założę się, że wiesz, kim jest ten wielki, czarny facet, tam przy aparacie do ćwiczenia ramion?

Chad zajął w głąb sali we wskazanym kierunku i jego twarz pociemniała.

- Trzymaj się od niego z daleka - odparł, patrząc groźnie. - To nic dobrego.

- Dlaczego? - zapytała Michelle. - Co on takiego...?

- Po pierwsze, siedział za zabiciem człowieka - wyjaśnił Chad - a po drugie, to pedał. Prawie co noc można go spotkać na Hollywood Boulevard.

- Och! - zawołała Suzanne.

- Trzymaj się od niego z daleka - ostrzegł ją Chad po ojcowsku. Poglaskał ją pod brodą i wielkimi krokami wrócił do swojego aparatu. Dziewczęta wyszły z sali, nie oglądając się na milczącego Murzyna, który zawzięcie podnosił żelastwo, żeby na Hollywood Boulevard robić jeszcze większe wrażenie.

- Trzymaj się od niego z daleka - powtórzyła Suzanne. - A co ja takiego chciałam zrobić? Umówić się z nim czy co?

Skierowały się w stronę BMW Suzanne.

- Jutro - rzuciła Suzanne konspiracyjnym szeptem - nogi. Michelle kiwnęła głową.

- Pamiętaj o diecie - upomniała.

- Będę pamiętała - obiecała Suzanne, wyłączając alarm i wsiadając do samochodu.

- Nie będziesz - powiedziała Michelle.

- Pewnie trochę tak, a trochę nie - odparła Suzanne, zapuszczając silnik. - Będę i nie będę. Dieta w stylu filozofii Zen.

- I skończysz, wyglądając jak Budda! - zawołała Michelle, starając się przekrzyczeć piosenkę Dona Henleya „Ali She Wants to Do Is Dance”, dobiegającą z radia w samochodzie. Suzanne pomachała jej ręką i odjechała.

Wróciła do domu, by umyć głowę i przebrać się na lunch z Alem Hawkinsem, menedżerem, który chciał zająć się jej karierą. Spotkanie zorganizował jej przyjaciel, Bob Becker. Suzanne nie była zbyt entuzjastycznie nastawiona.

Włożyła krótką, niebieską sukienkę, która była bardzo wygodna i wyglądała chociaż trochę przyzwoicie. Suzanne dzieliła stroje na dwie kategorie. Ubranie, dla mnie i ubranie dla nich. Niebieska sukienka była czymś pośrednim. Nie należała do żadnej z tych kategorii, ale była cudowna. Suzanne udało się zgromadzić trzy takie sukienki. Ta miała na dole po lewej stronie małą dziurkę wypaloną papierosem, ale Suzanne była niemal pewna, że nikt tego nie zauważy.

Zrobiła makijaż, kontrolując przy okazji postęp w rozwoju przyszcza, i wysuszyła włosy. Cztery razy wyłączała suszarkę, w obawie, że dzwoni telefon, ale się myliła. Potem nałożyła czarne buty na wysokich obcasach, które definitywnie zaliczały jej strój do tych „dla nich” i udała się do restauracji, którą sama wybrała - „Hamburger Hamlet” przy Beverly Drive.

Mniej więcej na wysokości ostatniego budynku przed restauracją zauważyła, że jedzie za ogromnym samochodem marki Bentley. Suzanne nabrała nagle pewności, że prowadzi go człowiek, z którym umówiła się na lunch. Starła się dopuścić do siebie możliwość, że się pomyliła, ale kiedy zasygnalizował, że skręca na parking, opanował ją strach. Może za rogiem skręcić w Safeway i zadzwonić do restauracji, żeby powiedzieć Alowi Hawkinsowi, że jest chora? Nie. Już trzy razy zmieniała porę i miejsce spotkania. Musiała iść. Cóż, może się czegoś nauczę, pomyślała filozoficznie, wręczając kluczyki mężczyźnie z obsługi parkingu. Wyobraziła sobie, że siedzi nad morzem, wpatruje się w dal, i spokojnie pali sobie fajkę i mówi: „No cóż,

jasne, że był zwyczajnym dupkiem, ale jednak nie był typowym dupkiem. Naprawdę tego dnia w »Hamlecie« nauczyłam się czegoś".

W chwili gdy weszła do restauracji, usłyszała donośny głos z nowojorskim akcentem.

- Suzanne? - Z pewnością był to kapitan krążownika SS Bentley.

- Al Hawkins? - spytała potulnie.

- We własnej osobie - zagrmiał Al, ściskając jej dłoń. - Chodźmy do stolika.

- Panienko? - zawołał w stronę kelnerki. - Czy nasz stolik jest już gotowy? Dziękuję.

Poprowadził Suzanne do stolika przy ścianie pod lustrem. Al Hawkins mierzył niewiele mniej niż metr osiemdziesiąt, miał krótkie, obcięte prawie po wojskowemu włosy, oczy brązowe, cerę śniadą, bardzo ładne zęby. Własne, pomyślała Suzanne. Na czubku głowy nosił dziwaczne okulary przeciwsłoneczne, z długimi, cienkimi, czarnymi szklami. Gdyby firma Ferrari kiedykolwiek zajęła się okularami, pewnie produkowałyby coś takiego. Nosił niebieską, rozpinaną koszulę, obcisłe, wypłowiałe dzinsy i wykwintne, brązowe buty. Był niczym sierżant w Korpusie Przemysłu Rozrywkowego i Suzanne poczuła się natychmiast jak szeregowiec przyłapany na opuszczeniu koszar bez przepustki. Wręczył kelnerce kilka jednodolarówek z prośbą, żeby kupiła mu papierosy i podprowadził Suzanne do krzesła, jakby była inwalidką.

- Usiądziesz twarzą do ściany, dobrze? Dobrze - powiedział. Był całkowicie samowystarczalny - zadawał pytania i sam na nie odpowiadał. Suzanne poczuła się zbyteczna.

- Nie jesteś blondynką - stwierdził Al Hawkins, wpatrując się w nią badawczo.

- Nie. I nigdy nie byłam - odparła Suzanne.

- Tak, w filmie nigdy nie byłaś blondynką, ale... - Al wzruszył ramionami - znam mnóstwo dziewcząt, które w pewnym momencie po prostu... stają się blondynkami.

- Tak samorzutnie? - spytała Suzanne.

- No, nie, postanawiają to zrobić po tym, jak... Och, rozumiem. To żart. - Uśmiechnął się. - Zamawiamy?

Pojawiła się kelnerka. Suzanne poprosiła o biały ser i owoce. Al wziął numer jedenasty w jadłospisie, czyli hamburger z bekonem i rosyjskim sosem, frytki i dietetyczną colę. Suzanne poczuła ogromną ochotę na napój z kofeiną, zawahała się przez chwilę, ale zebrawszy całą siłę woli, zamówiła w końcu wodę mineralną. Kelnerka odeszła, a oni zostali, siedząc naprzeciwko siebie w milczeniu. Al zapalał papierosa vantage, a Suzanne przyglądała mu się tak, jakby nigdy nie widziała palacza. Zastanawiała się, czy to spotkanie mogłoby stać się tematem anegdoty, ale nie potrafiła tego ocenić.

- Masz ładny samochód - powiedziała.

- Czyż nie jest wspaniały? - odparł rozpromieniony Al, wydmuchując dym. - Przywieziono mi go tutaj statkiem z Nowego Jorku. Czy wyobrażasz sobie ten ból, który czuje się, przesyłając samochód statkiem?

- Moim samochodem też kiedyś kierował ktoś inny - oświadczyła Suzanne.

- No, cóż - powiedział Al - trudno by mi było zaufać komukolwiek na tyle, żeby mu powierzyć mojego bentleya.

- Nigdy takim nie jechałam - odparła niepewnie Suzanne. - Pewnie się bardzo lekko prowadzą, skoro stały się symbolem statusu społecznego! Chciałam powiedzieć, że wyświechtany frazes nie staje się wyświechtanym frazesem bez powodu. - Sama już nie wiedziała dokładnie, o czym mówi, więc zamilkła, co z powrotem pogрузiło ich w ciszy. Powoli ich stół stawał się cmentarzem dla nieruchomego powietrza.

Al podniósł w górę kciuk w dobrze znanym geście.

- Jeździ jak marzenie.

- Naprawdę? - odezwała się Suzanne. - To świetnie. Al nagle przeszedł do rzeczy.

- Przede wszystkim chciałem ci powiedzieć, że bardzo nie podoba mi się sposób, w jaki dobierasz agentów.

- Słucham? - Suzanne nie bardzo wiedziała, do czego on zmierza.

- Kiedy Bob dał mi twój numer telefonu, nie wiedziałem jeszcze, że masz nowego agenta - powiedział Al. - Nie mógłbym pracować z Markiem Auerbachem. Dla mnie to gnojek.

- Czyżby? - mruknęła Suzanne beznamiętnie.

Jeśli chodzi o wrażenie, jakie to zrobiło na Alu, równie dobrze mogłaby powiedzieć „garbus”, albo „opiekacz do grzanek”. Teraz on był górą.

- Żaden z moich ludzi nie współpracuje z Empire Agency - ciągnął Al. - Wszystkich stamtąd przeniosłem. Nawet Zite Farinę. Ona zapowiada się na wielką gwiazdę.

Suzanne kiwnęła głową i zastanawiała się, ile kosztował jego zegarek, kiedy litościwie zjawiała się kelnerka z jedzeniem. Suzanne wetknęła banana w usta i zanotowała sobie w pamięci, że ma zabić Boba Beckera.

- Wiesz, jak postąpiłbym z tobą? - spytał Al, soląc frytki. Mimo że nie patrzył na nią, Suzanne potrząsnęła przecząco głową.

- Wystarczyłoby, żebym wspomniał, iż jesteś moją klientką i że interesujemy się projektami nowych filmów, a zobaczyłabyś, jaka byłaby reakcja. Od razu wiedziałabyś, na czym stoisz. - Odgryzł duży kęs hamburgera i przeżuując go, mówił dalej: - Potrafisz grać inteligentnie, więc doskonale nadajesz się do seriali. Ludzie lubią inteligentnych aktorów. Właśnie opracowujemy nowy serial. Byłabyś w nim świetna.

- Dobrze, przyślij mi scenariusz - zgodziła się Suzanne. - Przeczytam go.

- Kiedy będzie gotowy, przyślę ci go - odparł Al. - Potrzebujemy do niego jednego aktora i trzech aktorek. W roli

tej młodszej kobiety, wydawcy pewnego magazynu, byłaby naprawdę wspaniała. Zabawna, inteligentna i mocno trzymająca się ziemi.

- Chciałabym zagrać w serialu - powiedziała Suzanne poważnie. - Byłoby głupio z mojej strony, gdybym nie chciała. Ale ciągle myślę, że filmy kinowe są znacznie bardziej...

- Jesteś naiwna - przerwał Al, machając frytką tak, jakby się chciał pozbyć jakiegoś natręta. - Jeśli możesz dostać dobrą rolę w filmie pilotażowym, powinnaś na to pójść.

- Bez względu na to, czy jestem naiwna, czy nie - wtrąciła ostro - chciałabym najpierw się trochę rozejrzeć, zanim na dobre wejdę w świat telewizji.

- Ten świat ma ogromne możliwości, jeśli chodzi o tworzenie karier aktorskich. - Al przeżuwał następny wielki kęs hamburgera. - Pamiętasz „Happy days”? Winkler wylądował na afiszu na szóstej pozycji. A „Welcome Back, Kotter”? Travolta znalazł się na liście obsady na samym dole. Malusiańka mówiona rola.

Suzanne postanowiła w duchu, że nie chce żadnego osobistego menedżera, a już na pewno nie takiego, który robi tego rodzaju osobiste wycieczki. Ludzie, których знаła od lat, nigdy nie nazywali jej naiwną. Poczowała się przegrana. Zdaje się, że niczego nie pragnęła do tego stopnia, by zmusić się do wyrzeczeń. Znała mnóstwo odpowiednich ludzi, ale chyba nie znała ich w odpowiedni sposób. Dążenie za wszelką cenę do celu było dla niej tak bardzo pozbawione godności.

Tak, na pewno lubiła grać. Nie lubiła tylko tych wszystkich pośrednich etapów, przesłuchań, czytania roli, nagrywania na wideo, spotkań z producentami, krytyki i wreszcie odmowy. Raz była za stara, a raz za młoda, raz za ładna, a drugim razem za niska, raz nie dość zabawna, a innym razem za bardzo zabawna... Po pewnym czasie to wszystko stawało się naprawdę wyczerpujące. Trzeba było dużego wysiłku, żeby tych wszystkich opinii nie odnosić do siebie.

- Chciałbym, żebyś gościnnie wystąpiła w „Mimi Vice”, albo w „Cosby” - ciągnął Al. - Zagraj jakąś naprawdę dobrą rolę epizodyczną. Będą mogli zbudować całe widowisko wokół ciebie, a wtedy, trzask - strzelił palcami - jednej nocy zobaczy cię czterdzieści milionów. Ale jeszcze ważniejsze jest - dodał, pokazując coś kciukiem za plecami - że oni cię zobaczą.

- Kto? - zapytała Suzanne, spoglądając ponad jego ramieniem.

- Przemysł rozrywkowy - odparł z irytacją.

- Och - odpowiedziała Suzanne. Mdlilo ją od tej rozmowy. Al dalej wychwalał epizodyczne role pod niebiosa, a kiedy na chwilę przerwał, Suzanne mimochodem zauważyła:

- Jednak mezbyst wiele kobiet przeszło z telewizji do filmu. Z wyjątkiem Shelley Long.

- A Sally Field? - łypnął okiem Al. - Wykreował ją przecież „The Flying Nun”.

- A nie „Norma Rae”? - zapytała z przekąsem Suzanne.

- Na pewno „The Flying Nun” - zdecydowanie potwierdził Al. - Ten film ją wykreował.

Suzanne nie miała zamiaru przez resztę lunchu kłócić się na temat popularności „Normy Rae” i „The Flying Nun”, więc wstała i powiedziała:

- Pójdę na chwilę do pokoju dla panów*.

- Niezły z ciebie kpiarz - zauważył Al. - Lubię to.

Po drodze do łazienki minęła dwie dobiegające trzydziestki kobiety, które stały obok aparatów telefonicznych i rozmawiały o tym, że nie mogłyby zamieszkać na stałe w Los Angeles, bo drażniłaby je ładna pogoda trwająca przez cały rok.

- Lubię zmiany pór roku - odezwała się jedna z nich. Kiedy Suzanne wyszła z łazienki, ciągle tam stały, plotkując teraz o jakiejś wspólnej znajomej.

* Pokój dla panów - parafraza eufemizmu pokój dla pań (lady's room), oznaczającego ubikację.

- Słyszałam, że obciągała fiuta Donowi Johnsonowi - powiedziała kobieta, która lubiła pory roku.

Kiedy Suzanne wróciła do stolika, Al zapłacił już rachunek.

- Będę z tobą w kontakcie - oznajmił, podnosząc się, żeby się z nią pożegnać.

- W porządku - odparła Suzanne ze ściśniętym sercem. - Dobrze.

- Jutro jadę do Karoliny Południowej do klienta - wyjaśnił Al, kiedy szli w stronę parkingu. - Ale będę cię namawiał, żebyś zagrała w moim filmie pilotażowym.

- Świetnie - odparła Suzanne, rozpaczliwie pragnąc znaleźć się już w samochodzie. - Chciałabym przeczytać ten scenariusz.

- Żałuję, że zadajesz się z tym ofertą Auerbachem.

- No cóż. - Suzanne wzruszyła ramionami. Właśnie podjechał jej samochód. - Dziękuję ci za lunch.

- Jaki lunch? - zagrzmiał Al. - Jadłaś jak wróbelek.

- Jadłam jak blondynka - poprawiła Suzanne, wślizgując się na siedzenie i zamykając drzwi. Al tymczasem dawał za nią napiwek mężczyźnie z obsługi parkingu.

- Dzięki, Al - pomachała mu ręką. - Wkrótce znowu z tobą porozmawiam.

- Cześć, kochanie - krzyknął Al.

Patrzyła na niego we wstecznym lusterku, jak czyścił sobie zęby i poprawiał małego i nagle wyobraziła go sobie nagiego, w samym tylko skórzanym pasie cnoty i jakichś napierśnikach. Pomachała mu jeszcze raz i włączyła się do szeregu aut, którymi ludzie wracali z lunchu do swoich zwykłych zajęć.

Spóźniła się o dziesięć minut do kosmetyczki. Pobiegnęła na zaplecze po różowy szlafrok, którym zawsze nakrywała ubranie do zabiegu. Mijając recepcję, przeprosiła za spóźnienie. Kiedy narzuciła na siebie szlafrok, podeszła do niej niska, ciemnowłosa kobieta i spytała:

- Susie?

- Suzanne - poprawiła Suzanne. - Tak, to... ja.

- Tędy proszę - powiedziała kobieta z mocnym wschodnioeuropejskim akcentem. Suzanne poszła za nią do małego pokoiku. Kobieta zapaliła światło i dała Suzanne znak, by się położyła.

- Jestem Marina, twoja kosmetyczka - powiedziała. - Czy chcesz dzisiaj peeling kolagenowy, czy warzywny?

- Uhm. Chyba warzywny - odparła Suzanne. Żałowała, że nie zastała swojej stałej kosmetyczki, Jean, ale w ciągu ostatnich kilku dni tyle razy zmieniała termin wizyty, że w końcu Jean okazała się zajęta. Marina nałożyła Suzanne na głowę opaskę, aby nie pobrudzić włosów, a następnie rozsmarowała na jej twarzy odrobinę kremu oczyszczającego. Nadmiar kremu usunęła bawełnianą watką i przysunęła nad jej twarz wielką lampę, żeby móc dokładnie obejrzeć jej skórę.

- Kiedy ostatnio robiłaś zabieg? - zapytała

- W zeszłym miesiącu - skłamała Suzanne. W ostatnim tygodniu miała już dwa zabiegi.

- Oczyszczenie twarzy jest konieczne.

Suzanne zdawało się, że w głosie Mariny przebija nuta pogardy.

- Wiem - wyznała zdeprymowana.

- I - dodała Marina - masz jeden bardzo duży...

- Wiem - głośno przerwała jej Suzanne. - Wiem - powtórzyła, tym razem znacznie łagodniej. Jeśli urośnie jeszcze większy, będę musiała dla niego otworzyć konto kredytowe.

- Nie wiem, czy mogę ci go usunąć - stwierdziła Marina. - Chyba jeszcze nie jest gotowy.

- Po prostu zrób, co się da - odparła Suzanne. - Zrozumiem.

- Dobra, zacznijmy więc. - Marina nagle zrobiła się szorstka, odsuwając dalej zniechęcone światło. Stała za głową Suzanne i zaczęła coś mieszać w małym, porcelanowym naczyniu.

- Teraz - powiedziała poważnie, rozkładając na twarzy Suzanne jakąś dziwną maź o konsystencji śmietany - poczujesz okropny smród.

To była prawda. Suzanne poczuła najobrzydliwszy smród, z jakim zdarzyło jej się w życiu spotkać. Marina przysunęła przed twarz Suzanne wentylator, żeby usunąć unoszące się nad warzywnego błota cuchnące opary peelingu. Mniej więcej po piętnastu minutach smród zniknął, przypuszczalnie zabierając ze sobą warstewkę skóry Suzanne, więc Marina zmyła maseczkę i zaczęła na twarz Suzanne puszczać parę, żeby otworzyć pory w skórze, zanim zabierze się do jej oczyszczania.

Suzanne nienawidziła głębokiego oczyszczania porów, ale jeśli już o to chodzi, to właśnie ono jest najistotniejszą częścią zabiegu. Zastanawiała się, jak by wyglądała jej skóra, gdyby nie chodziła do kosmetyczki. Pewnie lepiej. Przyzwyczajając skórę do tej całej procedury, najprawdopodobniej zniszczyła jej zdolność do samooczyszczania.

- Czy to cię boli? - zapytała Marina obojętnie.

- Nie, naprawdę nie - skłamała Suzanne.

- Najgorszy jest nos i broda. Nos już prawie skończony. Był bardzo zacopowany. Czy używasz płynu do czyszczenia skóry?

- Tak - skłamała Suzanne.

- Powinnaś stosować go trzy razy dziennie - uczyła Marina surowo. - I kup sobie naszą szczoteczkę.

- Dobrze - odparła Suzanne. - Auuuu!

- Przepraszam - powiedziała Marina bez wyrzutów sumienia.

- Wiesz, broda jest bardzo wrażliwa. - Zaczęła się przesuwac pod brode, w stronę szyi.

- Nie, nie - zaprotestowała Suzanne z determinacją. - Zostaw to.

- Ale tam jest bardzo duży...

- Po prostu go zostaw - powtórzyła nieustępliwie Suzanne. - Zrób tylko tę część twarzy, która jest widoczna dla świata, a podbródek zostaw dla mnie.

- Ale...

- Za bardzo boli i aż tak mi na tym nie zależy, jasne - warknęła Suzanne. - Zostaw to.

- Już dobrze - prychnęła Marina.

Skończyły zabieg w milczeniu. Suzanne wyskoczyła z różowego szlafrocza i zapłaciła rachunek. Czuła obrzydzenie do Mariny i obrzydzenie to budziło w niej poczucie winy, dlatego też dała Marinnie wysoki napiwek.

Postanowiła zaprowadzić samochód do myjni. Ilekroć miała czysty samochód, czuła się dobrze. Jakby oddanie samochodu do myjni było dla niej symbolem uczestnictwa we własnym życiu. Czekając na umycie samochodu, połączyła się ze swoją automatyczną sekretarką, żeby sprawdzić, jakie wiadomości dla niej zostawiono. Okazało się, że telefonowała sekretarka Marka Auerbacha, żeby omówić z nią spotkanie w sprawie nowego filmu Spencera Matheisena „A Total Bust”. Zadzwoił także asystent doktora Gibsona, jej dentysty, pytając, czy przypadkiem nie zapomniała, że ma umówioną wizytę o jedenastej piętnaście na czyszczenie zębów. (Oczywiście zapomniała.) Odezwała się też Kate Rosenman, znajoma producentka filmowa z ruchu Anonimowych Alkoholików, a także jej własny brat, Thomas, który przebywał teraz w Turcji, gdzie kręcił film dokumentalny na temat Arki Noego. Z Nowego Jorku telefonowała jej przyjaciółka, Lucy Copeland, leżąc pod swoim najnowszym żonatym kochankiem, Scottem Hastingsem. Chciała tylko powiedzieć: Cześć.

Kiedy Suzanne wsiadła do samochodu, od razu zauważyła, jaka czysta jest przednia szyba. Teraz będzie mi dobrze, pomyślała. Teraz będzie się cieszyła własnym życiem, jakby była kimś innym, komu dane było przeżywać jej życie, kimś, kto dostał szansę przeżycia jej życia w nagrodę. Będzie się cieszyła swoim domem, przyjaciółmi, rodziną, ubraniami, samochodem... Będzie doceniać je tak, jakby wcześniej miała jakieś inne życie, a teraz wygrała to. Przejechała przez centrum

Beverly Hills, wzdłuż ulic wysadzanych palmami, słuchając, jak Steely Dan śpiewa „Don't Take Me Alive”.

Zanim dotarła do domu, jej mocne postanowienie zaakceptowania własnego życia zostało zniweczone przez napięcie, które ogarnęło ją na myśl o wieczornym przyjęciu. Otworzyła dietetyczną colę, zjadła malutką bułeczkę Tootsie Roli, zadzwoniła do Lucy i zostawiła jej wiadomość. Wiedziała, że jej nie zastanie, ale chciała, by automatyczna sekretarka zarejestrowała telefon od niej, a następnie poszła się kąpać.

Dlaczego nie mogę wyglądać jak Nastassia Kinsky? - pomyślała półtorej godziny później Suzanne, kończąc makijaż ostatnimi pociągnięciami pędzelka. Przeczytała w „Vogue”, że możliwa jest operacja plastyczna, po której będzie się miało usta jak Nastassia Kinsky. Niestety, wiązało się to z pobraniem skóry z pochwy i przeniesieniem jej na usta. Suzanne nie potrafiła przekonać się do tej metody, obawiając się, że coś takiego na zawsze odebrałoby jej przyjemność całowania się. Mimo to informacja o tej operacji tłukła jej się ciągle po głowie, jako jakaś mglista szansa. Wnikliwie obejrzała efekt swojej pracy i stwierdziła, że udało jej się tak dobrze zamaskować swój pryszcz, że teraz był mocno rzucającą się w oczy białą plamą, przypominającą zapalone przednie światło pojazdu.

Kiedy na skórze wyskakiwały jej pryszcze, Suzanne miała tendencje do opuszczania brody na piersi. Nawet jeśli ludzie sprawiali wrażenie, że patrzą jej prosto w oczy, wiedziała, że myślą sobie: Biedactwo, wyskoczył jej pryszcz. Na pewno coś jest z jej życiem nie w porządku.

Czasem, kiedy patrzyła w lustro, mówiła sobie w duchu: Jasne, to jest atrakcyjna dziewczyna. Wygląda doskonale. Ale gdy tylko odchodziła od lustra, dodawała: Lecz ja nie. Cała jej osobowość została stworzona tylko po to, żeby odciągać ludzi od jej wyglądu. Fakt, że była ładna i że nawet zdawała sobie z tego sprawę, czynił tylko sytuację jeszcze bardziej dziwną.

Kiedy otwierała usta, stawała się Phyllis Diller*, co naprawdę było niezrozumiałe.

Obejrzała się w wielkim lustrze, w którym mieściła się jej cała sylwetka. Miała na sobie obcisłą, niebieską spódniczkę, nie mniej obcisłe body oraz pończochy. Cały strój, a zwłaszcza pończochy, zdecydowanie zaliczał się do kategorii ubrania „dla nich”. Wskoczyła w swoje zdradzieckie buty na wysokich obcasach, włożyła czarny żakiet, chwyciła niebieską torebkę i po raz ostatni rzuciła okiem w lustro.

Westchnęła głęboko. Wyglądam jak piłka do koszykówki, której ktoś domalował usta. Jak jakieś rozgniewane winogrono. Albo balon napompowany dwa dni temu, pomyślała. Wyglądasz doskonale, orzekła zdrowa część jej osobowości, ten mały kawałek jej mózgu, który siedział gdzieś z tyłu i przyglądał się jej tryumfalnie.

Wyglądasz na gotową do wyjścia, stwierdziła trzeźwo Suzanne, a potem głośno rozkazała:

- Marsz na przyjęcie. - Wielkimi krokami ruszyła w stronę samochodu. Uruchomiła silnik, nastawiła radio i kiedy wycofywała samochód, z głośników rozległy się z hukiem dźwięki piosenki „Burning Down the House”.

Wybrała dłuższą drogę do domu Wallis, więc czekała ją mała uspokajająca, a zarazem ogluszająca, przejażdżka. Odkryła, że teraz przełącza radio na inną stację nawet wtedy, gdy ta poprzednia nadaje piosenkę, którą lubi. Jakoś samo poszukiwanie dobrych piosenek polubiła bardziej niż ich słuchanie. Interesujące. Podczas jazdy co jakiś czas kontrolowała się we wstecznym lusterku.

Kiedy od domu Wallis dzielił ją tylko jeden budynek, dostrzegła obsługę parkingu - mężczyzn w czerwonych bluzach i czarnych spodniach. Obejrzała zaparkowane już samochody - porsche, jaguary, rollsroyce i nagle ogarnęła ją panika. Powinna przyjść z mężczyzną, uświadomiła sobie.

* Phyllis Diller - słynna amerykańska aktorka komediowa.

Powinna też była odwiedzić fryzjera, nałożyć inną sukienkę, inne kolczyki i użyć mniej perfum. Wsiadła z samochodu, starając się ze wszystkich sił wyglądać możliwie najbardziej naturalnie, po czym przekazała go komuś całkiem obcemu. Patrząc na ukryte w trawie reflektory, pomyślała: Teraz jeszcze mogłabym stąd odejść. Mogłabym jeszcze obrócić się na pięcie i krzyżąc, wyrwać moje kluczyki z ręki tego dziwnego mężczyzny z bokobrodami i...

Ze stoickim spokojem przeszła wzdłuż okazałego podjazdu jak skazany i potępiony człowiek, który - bez papierosa i opaski na oczach - ma stawić czoło plutonowi egzekucyjnemu, do wielkiej, stojącej na uboczu rezydencji. Lokaj otworzył drzwi. Na chwilę zatrzymała się przy wejściu, będąc pod działaniem syndromu HPP - Hollywoodzkiego Przeróżenia Przyjęciem, po czym weszła do środka.

W korytarzu, pod ogromnym lustrem, znajdowała się srebrna taca, na której leżały małe koperty zawierające nazwiska gości. Suzanne uśmiechnęła się blado do lokaja i z poczuciem obowiązku skierowała się w stronę tacy. Przetrzęsławszy z wdziękiem stertę kopert, odnalazła swoją. W jej nazwisku był błąd. Lokaj zapytał ją, czy chciałaby coś do picia.

- Czy to widać? - odparła i zamówiła mrożoną dietetyczną colę.

Ściana przy schodach była obwieszona obrazami. Dom ten najwyraźniej stanowił tylko oprawę dla kolekcji, gdyż całe jego umeblowanie było utrzymane w bardzo łagodnych, stonowanych kolorach typu „Nie zwracaj na mnie uwagi”, aby goście w pełni mogli docenić walory wspaniałych dzieł sztuki zgromadzonych przez Wallis. Właściwie cała ta kolekcja należała do męża Wallis, Milтона Kleina, ale Wallis miała osobowość, a Milton pieniądze. Wallis miała styl, a Milton programy telewizyjne, które były przebojami. Wallis miała Milтона.

Suzanne znała ich już od dziesięciu lat, ale przez cały ten czas właściwie nie rozmawiała z Miltonem. Z Wallis rozprawiła setki razy przez telefon, ale z drugiej strony, Wallis gadała przez telefon z każdym, kogo znała. Kiedyś pokazała Suzanne, że jedno z jej uszu mocniej przylega do głowy niż drugie i powiedziała, że to z powodu tych wszystkich rozmów telefonicznych. Teraz ma telefon z głośnikiem, ale ciągle woli staromodną metodę przytulania słuchawki do ucha. Wallis uwielbiała mówić, że nie jest jakąś pospolitą plotkarą, ale plotkarą jedyną w swoim rodzaju. Uważała, że jeśli już ma się kimś być, to trzeba się w to całkowicie zaangażować. Wallis i Milton mieli jedną wspólną córkę i pełen wybór dzieci z poprzednich małżeństw. Żadnego ze swoich potomków nie wystawili dziś wieczorem na widok publiczny.

Na ścianie obok łazienki dla gości wisiał obraz, który zawsze wydawał się Suzanne bardzo znajomy. Przyjęła, że jest to jakiś słynny obraz Picassa albo Matisse'a. Uważała, że jest okropny! Pomyślała sobie, że gdyby w szkole uczyła się historii sztuki, to być może byłaby w stanie zachwycić się choćby kilkoma z tych dzieł, które wszyscy wydawali się podziwiać. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego rzuciła palenie. Może na przyjęciach powinna palić.

Po dwóch schodkach zeszła do salonu urządzonego nie rzucającymi się w oczy meblami i zwracającymi uwagę obrazami. Okna salonu wychodziły na ogród, który sprawiał wrażenie jeszcze jednego obrazu z rzeźbą tęgiej nagiej kobiety dłuta Henry'ego Moore'a. Usłyszała jakiś pisk i w tej samej chwili dostrzegła Wallis idącą w jej kierunku - uśmiechnięte blond zjawisko ubrane na czerwono.

- A któż to? Nasza tęga głowa we własnej osobie! - wykrzyknęła Wallis, obejmując Suzanne. - Wyglądasz cudownie! - Suzanne nabrała pewności, że wygląda jeszcze gorzej, niż przypuszczała.

- Czy masz na myśli moją wielką głowę, która wygląda, jakby była zrobiona z gumy? - mruknęła Suzanne w kierunku wspaniałych, długich włosów Wallis, które prawie wcale nie pachniały lakierem.

- Twoje co zrobione z gumy? - spytała Wallis, stając na wyciągnięcie ręki. - O czym ty mówisz? Chodź lepiej przywitać się z Toni i Harlonem.

Suzanne знаła Toni i Harlona z innych przyjęć. Toni Barnes otrzymała właśnie Oscara za rolę kwiaciarki-morderczyni w „A Bunch of Violets”, a Harlon DeVore był jej chłopakiem i menedżerem. Suzanne przyszło do głowy, że powinna zapalić. Ona nie ma co liczyć na Nagrodę Akademii, a gdyby nawet ją zdobyła, to i tak pewnie zawsze musiałyby znosić takie męczarnie jak teraz, więc jakie znaczenie mógłby mieć jeden papieros? Pogratulowała Toni

Oscara i zapytała Harlona, czy się za nią stęsknił. Zrobiła to wyłącznie po to, by zobaczyć, jak będzie się męczył, udając, że pamięta, kim ona jest. Następnie podeszła do misy wypełnionej orzechami, aby przez chwilę odetchnąć od towarzystwa i zastanowić się, co dalej ma ze sobą począć. Ogarniał ją paniczny strach, ale starała się sprawiać wrażenie osoby, która nie może sobie wprost wyobrazić niczego bardziej odprężającego niż samotne tchnienie przy stole obok czegoś, co wyglądało jak różowa bita śmietana, a najprawdopodobniej było musem z łośosia.

Tyłem do Suzanne stała Rachel Sarnoff, atrakcyjna kierowniczką studia, która - jak mówiła Wallis - zerwała właśnie trzymiesięczną znajomość z Toddem Zane'em, angielską gwiazdą rocka i legendarnym kokainistą. Rachel wymusiła na Toddzie obietnicę, że przestanie ćpać. Każdej dziewczynie, z którą chodził, Todd przyrzekał, że dla niej rzuci narkotyki. Rachel przyłapała go potem na braniu, więc zerwała z nim. Suzanne była bardzo ciekawa, jak Rachel radzi sobie w tej sytuacji. Wyglądała świetnie, ale przecież w Hollywood każdy,

z wyjątkiem niej samej, przez cały czas wygląda świetnie. I to nie ma nic wspólnego absolutnie z niczym.

Rachel rozmawiała z facetem, którego Suzanne trochę знаła z Nowego Jorku - dramaturgiem Tomem Sarafianem. Suzanne, która próbowała podsłuchiwać, wywnioskowała, że chyba spotkali się po raz pierwszy.

- Co to za tytuł „A Night Full of Shoes”?* - dopytywała się Rachel. - To brzmi okropnie pretensjonalnie.

- Oczywiście, że jest pretensjonalne - przyznał Tom, starając się jej przypodobać. - W Nowym Jorku pretensjonalne oznacza kasowe.

- Jak możesz to wszystko wytrzymać? - dziwiła się Rachel. - Jak możesz żyć w mieście białych intelektualistów, którzy poca się od nadmiaru narkotyków? - Suzanne pomyślała, że rozstanie z Toddem musiało być dla niej bolesne.

Właśnie w tym momencie podeszła do nich Wallis ze „swoim odkryciem”. Milton gromadził dzieła sztuki, a Wallis zbierała artystów i to było jej najnowsze znalezisko - ciemnowłosa i ciemno-oka piękność, którą zamierzała przedstawić Rachel i Tomowi.

- Aprii Lanning, artystka z Manhattanu. W zeszłym tygodniu Milton kupił jej obraz. - Aprii uśmiechnęła się grzecznie i przywitała.

- Pamiętasz mnie? - spytał Tom.

- Nie - odparła Aprii obojętnie. - A powinnam?

- Kilka lat temu umawialiśmy się ze sobą w Hamptons - przypomniał Tom, patrząc na nią wyczekująco, jakby miał nadzieję, że dostrzeże w jej oczach błysk, świadczący o tym, iż go rozpoznała.

Aprii wyglądała na bardzo zmieszaną.

- Niestety, nie - powtórzyła.

- Kochaliście się? - zapytała Rachel Toma.

* A Night Full of Shoes - (ang.) Noc pełna butów.

- Zdaje się, że próbowaliśmy, ale okazałem się... - Szukał przez chwilę odpowiedniego słowa, a kiedy je znalazł, głośno strzelił palcami. - Impotentem! - powiedział żywo, jakby to było równie obojętne słowo, jak na przykład „opalenizna”. Aprii była bardzo wzburzona.

- Naprawdę? - zapytała Rachel. - Z powodu alkoholu i narkotyków, czy może masz jakieś zaburzenia na tle psychicznym?

- No, cóż - odparł Tom - pewnie to ostatnie. Nazwijmy to tak. W każdym razie, nie zdarzyło mi się to po raz pierwszy.

- Naprawdę nie... - jąkała się Aprii. - Hamptons?

- Może przypomnisz sobie po obiedzie - odpowiedziała Wallis. - Chodź, przywitaj się z Suzanne. - Zabrała Aprii od Rachel i Toma, który zauważył Suzanne i pomachał do niej ręką. Suzanne odwzajemniła uśmiech, starając się nie patrzeć na jego godne pożałowania krocze.

- Znacie się już? - zapytała Wallis, prawie że niosąc Aprii w jej kierunku. - Suzanne Vale, Aprii Lanning.

- Nie - odparła Suzanne. A potem, podając rękę Aprii, dodała:

- Ale kiedyś prawie kochałaś się z moim znajomym impotentem. - Twarz Aprii była popielata. - Żartuję, miło było cię poznać.

- Gdybyś tylko zobaczyła jej obrazy - entuzjazmowała się Wallis, ściskając rękę Aprii. - Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że podoba mi się fotorealizm.

- Długo już jesteś w Los Angeles? - zapytała Suzanne.

- He? - powiedziała Aprii.

- Myślę, że Aprii mogłaby się czegoś napić - wtrąciła Wallis.

- Chodź, kochanie. - Poprowadziła Aprii obok obrazów wykonanych z kawałków rozbitych filizanek w kierunku barku w rogu salonu.

Suzanne zauważyła, że do salonu wszedł jej dermatolog, Walter Marks, i od razu poczuła się spokojniejsza na widok jego rozpromienionej, brodatej twarzy.

- Rozczarowały cię moje włosy, prawda? - powiedziała na powitanie. - I mam chyba za grubą warstwę makijażu. Bądź z mną szczerą. Zdaje się, że wyglądam jak pomarańcza.

- Nie pijesz dziś? - odparł na to Walter. - Nie, oczywiście, że nie, przecież ty w ogóle nie pijesz.

- Ty także w ogóle nie pijesz, prawda? - zapytała Suzanne, całując go w policzek.

- Bardzo rzadko - przyznał. - Lubię wiedzieć, że w każdej chwili mógłbym przeprowadzić operację.

- Ciekawe - zauważyła Suzanne - ja natomiast chciałam czuć, że w każdej chwili mogę być operowana.

- Z kim tu przyszłaś? - zapytał Walter.

- Sama. Sądziś, że to doprowadza mnie do rozpacz, co?

- Do rozpacz? Nie. Ale podejrzewam, że czujesz się bardzo niepewnie. Dlaczego ciągle przychodzisz na takie imprezy, jeśli staje się to dla ciebie udęką?

- Nie wiem - odparła - ale podczas terapii pracuję nad tym.

- Jak tam Norma? - zapytał Walter. - Co za wspaniała dama!

- Jest świetna - potwierdziła Suzanne. - W zeszłym tygodniu powiedziała wspaniałą rzecz. Stwierdziłam, że, moim zdaniem, ludzie myślą sławę z sukcesem, a ona na to odrzekła, że myślą sławę z akceptacją i... Kogo to wszystko obchodzi, co? W każdym razie nie ciebie. Kto to jest? - spytała, wskazując głową w kierunku drzwi, gdzie stała około czterdziestoletnia blondynka, ubrana w suknię, spod której wystawało coś długiego przypominającego sznurek.

- Portia Lamm - wyjaśnił Walter. - Agentka. Jak myślisz, co to jest, co zwisa jej spod sukienki?

- Pewnie krawat ostatniego faceta, który dotarł aż tam - odparła Suzanne, zastanawiając się, pod wpływem jakich środków była Portia Lamm, kiedy kupowała tę sukienkę. - Kim jest ten facet, z którym przyszła? Wygląda na kogoś znajomego.

- To aktor. Przybył z Europy. Jakiś Vittorio.

- Vittorio Amati - szepnęła Suzanne z przejęciem. - Czy to nie on grał w filmie „Death Wore a Dress”?

- Nie - zaprzeczył Walter. - Chyba masz na myśli „The Head of the Pin”.

- Tak? - Suzanne obserwowała dyskretnie, jak przystojny aktor rozmawia z Wallis i Miltonem, podczas gdy Portia zajęta jest szukaniem jego i swojej koperty. Walter przypomniał Suzanne, kogo grał Vittorio Amati w „The Head of the Pin”, a potem zaczął jej opowiadać o swoim pobycie w ośrodku leczenia łuszczycy nad Morzem Martwym.

Suzanne słuchała Waltera, wędrując wzrokiem po półkach z książkami, które znajdowały się za jego plecami. Zatrzymała się w końcu na grubym tomie pod tytułem „The Guinness Book of Sexual World Records”. Sięgnęła po nią zaciekawiona i zaczęła ją wertować, podczas gdy Walter dalej oświecał ją w zakresie historii dolegliwości owłosionej skóry głowy. Nagle przerwała mu.

- Posłuchaj - oznajmiła. - Największa liczba narządów płciowych u robaków: tasiemiec ma tysiące penisów. - Suzanne poczuła, że jest to dla niej najszcześniejsza chwila tego wieczoru. - Najbardziej kruche narządy płciowe - czytała dalej złowieszczym tonem. - Czy wiedziałeś, że penis samca pszczoły łamie się w ciele samicy i samiec ginie? - Walter wpatrywał się w nią z mieszaniną rozbawienia i czegoś w rodzaju zaniepokojenia. -Dziwnie się zachowuję, prawda? -chciała wiedzieć Suzanne, ale zanim Walter zdołał wyrazić swoją opinię, przebiegła obok nich Wallis, zapraszając do stołu. Suzanne, choć z pewną niechęcią, postanowiła jednak zostawić książkę. Powoli poszła z Walterem w stronę jadalni, mając nadzieję, że Wallis posadziła ją obok kogoś znanego albo przynajmniej w miarę znośnego.

Stwierdziła, że wyznaczono jej miejsce po lewej stronie niskiego, śniadego mężczyzny, w którym rozpoznała czeskiego reżysera, Gustava Bożenę. Po prawej stronie miała honorowego

gościa wieczoru - biznesmena, który nazywał się Fred Weaver i którego autobiografia awansowała na liście bestsellerów wystarczająco szybko, by Hollywood zwróciło uwagę na jej autora. Fred był chudym mężczyzną około sześćdziesiątki, miał rzadkie, cienkie i siwe włosy, niebieskie oczy, lekką opaleniznę i małe, prawie kobiece, usta. Jego rysy twarzy sprawiały wrażenie sztucznie wyostrzonych, jakby specjalnie na to przyjęcie.

Po lewej stronie Freda siedziała Selena Warner, starsza gwiazdka brytyjskiej telewizji, która grała Dorotheę Pierce, rudowłosą, nikczemną pielęgniarkę w „Chestnut Lodge”, wyświetlanej w nocnej porze operze mydlanej. Akq'a serialu rozgrywała się w szpitalu psychiatrycznym. Suzanne spotkała już parę razy Selenę Warner - ostatnio zaledwie trzy dni temu - ale ponieważ szczególnie jej na tym nie zależało, nigdy nie została jej przedstawiona. Teraz jednak Selena uśmiechnęła się do niej, a raczej odwróciła w jej kierunku uśmiechniętą twarz i powiedziała:

- Chyba już kiedyś panią widziałam, prawda?

Suzanne mruknęła niewyraźnie coś w rodzaju potwierdzenia, ale uwaga Seleny przeniosła się już na Freda Weavera, który zapytał ją

o coś na temat aktorstwa. Odpowiedziała mu tak, jakby wiedziała już wszystko o tym zawodzie.

- Sir John zwierzył mi się kiedyś - mówiła Selena, a Suzanne pomyślała z uśmiechem, że całe życie czekała, żeby usłyszeć zdanie zaczynające się w ten sposób. Wpatrywała się w Selenę, jakby ją oglądała w telewizji, a ona ciągnęła dalej: - Wyznał mi, że w pewnym sensie czuje się ograniczony. Pokazał mi ręce i powiedział, że nigdy w życiu nie pracował fizycznie, więc nie może zagrać robotnika. I dodał jeszcze, że ja - z podobnych powodów - zawsze będę mogła grać tylko piękne kobiety. Nie wiem, czy tak do końca powinnam mu wierzyć, ale... sir John to taki czarujący mężczyzna.

Suzanne wiedziała, że nie potrafi opowiedzieć niczego bardziej interesującego niż historia z sir Johnem, więc skupiła się na unikaniu ostryg w zupie. Wyglądały dla niej jak szare, zaschnięte gluty z nosa słonia. Obrzydliwe jedzenie! Fred wspomniął coś o interesach, a Selena przysłuchiwała mu się z miną sugerującą znajomość rzeczy. Poruszała wargami w taki sposób, jakby usta miała pełne bulgoczącej wody, a kiedy udało jej się zrozumieć coś szczególnie dokładnie, mrugała do Freda oczami. Jej twarz, jak sejsmograf, rejestrowała każdą zmianę w stopniu zrozumienia tematu.

Kiedy skończył, stwierdziła sentencjonalnie:

- Wie pan, jacy są aktorzy. - Po czym odwróciła swoją uśmiechniętą porozumiewawczo twarz w kierunku Suzanne, której to pochlebiło.

Bez żadnej dostrzegalnej przerwy rozmowa zeszła na aktorów i aktorstwo. Selena powiedziała, że aktorzy mogą wyrazić swoje zdolności twórcze tylko poprzez grę, co jest upokarzające. Fred odparł, że rozumie, do czego ona zmierza. Aktorzy nie mogą grać, dopóki nie ma kamery albo publiczności, podczas gdy malarze, nawet ci słabi, mogą malować po prostu wtedy, kiedy mają na to ochotę. Selena wyjęła z torebki błyszczący do ust i się umalowała.

Suzanne przeniosła swoje zainteresowanie na prawą stronę i - ku swej konsternacji - została wciągnięta w rozmowę o filmie przez Gustava Bożenę, którego angielski był tylko nieznacznie lepszy niż jej czeski. Starła się zadawać inteligentne pytania, ale przez cały czas miała wrażenie, że brzmiały one po prostu pretensjonalnie. Gustav oznajmił, że lubi Johna Forda, Kinga Vidora, a także Felliniego. Niewiarygodne, pomyślała Suzanne, znalazłam się w roli dupka, który na przyjęciu rozmawia o filmie ze sławnym reżyserem. Kiedy usłyszała samą siebie, zadającą pytanie: „Czy sądzi pan, że film jest przede wszystkim wizualnym środkiem przekazu i powinno się stosować więcej opisów, a mniej dialogów?” - miała ochotę rozplatać sobie

głowę, żeby mózg wyciekł na stół. Był to jedyny sposób uniknięcia zadławienia się tym, co z siebie w towarzystwie wyrzucała.

- Nie wygląda pani na Amerykankę - powiedział Gustav. - Wygląda pani po europejsku.

- Naprawdę? - zdziwiła się Suzanne. - Przesadził pan. Gustav oświadczył, że pochodzi z Pragi i przez pewien czas

mieszkał w Paryżu, a Suzanne dlatego nie wygląda na Amerykankę, bo patrzy ludziom w oczy.

- Amerykanie nie zwykli tak postępować - oświadczył Gustav. - To jest bardzo europejskie.

Naprzeciwko niej siedział Chris Hunt, który zajmował się promocją muzyki rockowej. Suzanne uznała, że wygląda jak kandydat do senatu, który właśnie przegrywa w wyborach. Przypominał jej Johna Tunneya. Chris opowiadał historię o tym, jak Noel Coward poszedł za kulisy, żeby poznać Beatlesów. Legenda, którą Suzanne знаła z dzienników Cowarda, głosiła, że kiedy tam dotarł, Beatlesi już wyszli. Coward wybrał się więc do ich hotelu, żeby powiedzieć im, jak bardzo podobał mu się ich koncert, ale żaden z nich nie chciał z nim rozmawiać. Wszedł tylko Paul, który był bardzo zakłopotany. Coward zanotował w swoim dzienniku, że zachowali się grubiańsko.

Kiedy Chris skończył swoją opowieść, siedząca obok niego dziewczyna, a była to najlepsza brytyjska modelka, Joan Lilly, oznajmiła z całkowitą powagą:

- No cóż, jednak to Noel Coward ledwie wytrzymuje próbę czasu. - Sprawiała wrażenie, jakby wygłaszała powszechnie uznawaną ocenę polityczną i jakby każdy, kto myśli inaczej, był po prostu zacofany.

- W świetle końcowych analiz - powiedział Chris Hunt z rycerską nonszalancją - Beatlesi byli tylko nieco bardziej interesujący. Noel Coward - dodał, wycofując się z tematu - był po prostu dowcipnym człowiekiem.

Suzanne wpatrywała się w Chrisa wzrokiem, który zdawał się mówić: Bądźcie poważni. Jak można sprzeczać się o coś takiego? Jak można do tego dojść? Wydawało jej się, że Chris i Joan Lilly nie znali się wcześniej, a teraz zwarli się na śmierć i życie, trzymając się sztywno swoich opinii w sprawie tak nieistotnej, jak żalсна niższość Noela Cowarda w stosunku do Beatlesów. Chciała z kimś porozmawiać na temat absurdalności tej chwili, w której przecież wszyscy uczestniczyli, ale dla niej ta rozmowa już się skończyła. Tamci dwoje sprawili, że zajmowanie stanowiska w jakiegokolwiek sprawie stało się dla niej czymś niewłaściwym.

Tematem wymiany zdań stał się teraz nagle Winston Churchill, którego dowcip również próbowano zdyskredytować. Pewien amerykański producent telewizyjny, którego nazwiska Suzanne nie usłyszała, zaczął teoretyzować, że w tamtych czasach każdy żart przypisywano Churchillowi i stąd wzięła się opinia, że był on bardzo dowcipnym człowiekiem. Uważano, że dowcipy lepiej brzmiały, kiedy je opowiadano w charakterystyczny dla Churchilla sposób.

- To tak, jakby ktoś powiedział: „Nie jadłem nic w ciągu tygodnia, więc on mnie ugryzł”. Na pewno zabrzmiałoby to dowcipniej, gdyby twierdził, że tak kiedyś wyraził się Churchill -udowadniał swoją tezę producent.

Okazało się, że Chris Hunt jest także kimś w rodzaju eksperta, jeśli chodzi o Winstona Churchilla. Suzanne nachyliła się do Gustava Bożeny i szepnęła:

- Zdaje się, że jeden z naszych gości co nieco przeczytał. - Następnie przeniosła uwagę na lewą stronę.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego ludziom nie podoba się mój charakter - mówiła właśnie Selena. - Nikogo nie zabiłam. Mój mąż, Charles, zabił w pewnym przedstawieniu aż trzy osoby.

- Cóż - powiedział Fred - myślę, że powodem, dla którego nie lubi się Dorothei, a raczej, z powodu którego Dorothea fascynuje, jest to, że bywa podstępna.

- O? - zdziwiła się Selena. - Ciekawe. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. To jest naprawdę intrygujące.

Muszę się całkowicie pogрузić w teraźniejszości, postanowiła w duchu Suzanne. Jesteśmy we wspaniałym domu w Bel Air, siedzimy pod obrazami Picassa i nad niesmaczną zupą z ostryg roztrząsamy z Dorothea charakter Dorothei.

Próbowała w toczonej wymianie zdań oraz w sytuacji, w której się znalazła, odkryć coś wartościowego i ważnego dla niej samej. Na próżno. Obiecała, że kiedy następnym razem będzie zaproszona na jakieś przyjęcie, to przypomni sobie to wrażenie.

Popatrzyła przed siebie, na Joan, która przypominała kogoś zasłuchanego w dochodzący gdzieś z oddali koncert muzyki klasycznej, a potem przeniosła wzrok na Chrisa. Pomyślała sobie, że wygląda on jak jakiś przerośnięty chłopiec, który powinien nosić zamiast teczki plecak, ale plecak w bardzo wytwornym stylu.

Z pewną konsternacją uświadomiła sobie, że jest to mężczyzna w jej typie. Zawsze w końcu łądowała w związkach z takimi właśnie facetami. I były to związki, które nieodmiennie kojarzyły jej się z takim rodzajem partnerstwa, które osiąga się, pisząc razem na czysto szkolne opracowanie z zakresu nauk przyrodniczych. Kiedy już było po wszystkim, zawsze miała ochotę przywołać ich z powrotem i powiedzieć: „Zostawiłeś u mnie zlewkę i płytkę Petriego. Czy mam ci to jutro przynieść do szkoły?” - Teraz ten chłopiec opowiadał dowcip.

- Ilu potrzeba surrealistów, żeby wkręcić żarówkę? - zapytał, po czym uniósł brwi, otworzył lekko usta i rozejrzał się dookoła. Po krótkiej przerwie odpowiedział: - Ryba.

Nastąpiła kolejna przerwa, a potem słuchacze wybuchnęli śmiechem. Selena Warner kilka razy powtórzyła, że to bardzo zabawne. Suzanne powiedziała, że śmieszne, i popatrzyła na

Gustava Bożenę, ale on skinął głową z umiarkowanym entuzjazmem. Przez moment zastanawiała się, jak mu wyjaśnić ten dowcip, ale potem zdała sobie sprawę z ogromu czekającego ją zadania i zrezygnowała. Następnie Fred zapytał, czy ktoś zna jakieś dowcipy na temat WASP*. Suzanne słyszała, ale milczała.

Fred rozpromienił się na samą myśl o dowcipie.

- Dwóch WASP-ów wpadło na siebie na ulicy i jeden WASP mówi: Jak się miewasz? A drugi WASP na to: Świetnie. - Zarumienił się i czekał na reakcję.

- A, rozumiem - odezwała się Selena. - To był dowcip. - W tym momencie rozległ się spóźniony, serdeczny śmiech. Gustav wyglądał na zmieszanego.

- Co to jest WASP? - spytał Suzanne. Zawahała się.

- Rodzaj owada - wyszeptała w końcu z determinacją. - Podobny do pszczoły. - Skinął głową i patrząc nieprzytomnie prosto przed siebie, próbował wykorzystać tę informację do zrozumienia, na czym miał polegać dowcip. Zanim jednak to nastąpiło, Fred zaczął opowiadać kolejny.

- WASP przymierza garnitur w sklepie odzieżowym i w pewnej chwili zwraca się do sprzedawcy z pytaniem: Ile kosztuje? Sprzedawca odpowiada: Czterysta siedemdziesiąt pięć dolarów. WASP na to: Biorę go.

Wszyscy przy stole ryknęli śmiechem, nawet Gustav, który, zaśmiewając się serdecznie, zwrócił się do Suzanne:

- Pszczoła kupująca garnitur! W tym momencie podano deser - małe ciasteczka w sosie malinowym.

* WASP - (White Anglo-Saxon Protestant) - Biały Anglosaski Protestant, a jednocześnie „wasp” - „osa”. WASP to na ogół ważna, wpływowa osoba, członek najbogatszej lub średniej klasy społecznej, mieszkaniec wschodniego wybrzeża USA, na zachodnim wybrzeżu wyśmiewany z powodu konserwatyzmu.

. Wszyscy przeżuwali i połykali ciasteczka, stukali widelczykami w porcelanę, wydając przy tym odgłosy zadowolenia. Suzanne zjadła sos malinowy, po czym przełamała ciastko na pół, żeby dobrać się do nadzienia, którym była jakaś pasta orzechowa. Nagle przy następnym stoliku wybuchł śmiech. Suzanne zobaczyła tam Wallis stojącą z Brianem Whitlockiem, reżyserem z Nowego Jorku. Wallis porwała Briana w kierunku rozbawionej grupy otaczającej Suzanne. Promieniała.

- Jestem pewna, że wszyscy znacie Briana - powiedziała.

- Oczywiście - odparła Selena Warner, skinąwszy głową entuzjastycznie. Pozostali mruknęli niewyraźnie jakieś słowa potwierdzenia, chociaż tak naprawdę nikt przy tym stole nigdy go nie spotkał.

- Właśnie próbuję nakłonić Briana, żeby wszystkim opowiedział swoją fantastyczną historię - wyjaśniła Wallis. - Ta historia jest po prostu wspaniała.

- Wallis, może dasz mi ją opowiedzieć, co? - Brian wyglądał na zażenowanego. Przysunął sobie krzesło i usiadł między Seleną a Fredem.

- Tydzień temu zostałem zaproszony do Londynu na koncert - zaczął. - Jakaś taka historia na cele dobroczynne. Wszyscy znani ludzie tam grali - Bowie, Sting, Elton John, po prostu wszyscy. Mieli tam również być książę i księżna Walii. Zupełnie zwariowałem, tak bardzo chciałem ją poznać. Po koncercie - ciągnął - był jakiś bankiet i nagle zauważyłem, że stoję blisko niej. Wiedziałem, że doskonale mnie słyszy, zacząłem więc opowiadać różne śmieszne kawałki. Wiedziałem, że mnie słucha i śmieje się, myślałem więc sobie: Rozumie moje dowcipy. Naprawdę mnie rozumie. Przedstawiono mnie jej i facet, który to robił, powiedział: „To jest Brian Whitlock, reżyserował »The Punishing Blow«". A ona na to: „Naprawdę?" Okazało się, że oglądała „The Punishing Blow". Czuję się więc jak w niebie. Ona mnie pyta o ten film, ja ją rozśmieszam - okazała się

naprawdę inteligentna - i nagle słyszę, że ktoś woła: „Brian”. Cóż, rozmawiam z księżną Walii, staram się więc zignorować to wołanie, ale znowu słyszę: „Brian!” Patrzę, a to jakaś dziewczyna o orientalnej urodzie, w okularach przeciwsłonecznych. Nie mam pojęcia, kim ona jest, ale ona zna moje imię. Podchodzi do nas, staje między księżną a mną i mówi: „Jestem Yashimoto. Pracuję w biurze, po przeciwnej stronie korytarza. Jak długo jesteś w Londynie?” Wychylam się więc spoza niej i szepczę do księżnej: „Nie wiem, kim ona jest”. Yashimoto mówi dalej: „Przyjechałam robić reklamę tego koncertu, a jutro jadę do Lizbony. Byłeś kiedyś w Portugalii?” W tym momencie księżna się oddala, a Yashimoto trajkocze dalej: „Niewiarygodne, że cię tutaj spotkałam, to wspaniałe”. A ja na to: „Czy zdajesz sobie sprawę, z kim rozmawiałem?” A Yashimoto odpowiada: „Och, jestem jedną z tych osób, na których nikt nie robi szczególnego wrażenia”.

Wszyscy ryczeli ze śmiechu, nawet Suzanne.

- Czy to prawda? - zapytał Chris Hunt.

- Z całą pewnością - odpowiedziała w imieniu Briana Selena.

- Nikt nie mógłby wymyślić czegoś podobnie nedorzecznego.

- Ale ty tak naprawdę znałeś tę dziewczynę, czy nie? - zapytała Joan Lilly.

- Przypuszczam, że rzeczywiście pracowała w Nowym Jorku naprzeciwko mnie - wzruszył ramionami Brian - w Brill Building.

Zgromadzeni przy stole dobrze się bawili, więc Suzanne wymyśliła, że dla zabicia czasu wyjdzie sobie do łazienki na krótką przerwę. Wkrótce, doszła do wniosku, mogłaby już pójść do domu. Niedługo rozlegnie się dzwonek, który ogłosi dla niej koniec lekcji o nazwie przyjęcie i pobiegnie wtedy wzdłuż ulicy, wolna...

Przeprosiła Gustava oraz wszystkich, którzy siedzieli blisko niej, po czym ruszyła naprzód, w głąb wielkiego domu. W małym przedsiönku nie było nikogo, więc weszła do łazienki,

zamknęła drzwi i zasunęła zamek. Ściany łazienki były całe pokryte miękkim, różowym materiałem, a umywalka była z różowego marmuru. Suzanne przysiadła na klapie od sedesu i spróbowała się odprężyć.

W pewnym momencie usłyszała za ścianą dwa kobiece głosy. Zdaje się, że robiły przegląd dzisiejszego wieczoru.

- Widziałaś Selene Warner? - powiedziała jedna z nich. - Wygląda wiekowo.

- A co powiesz o tym starym pierdole, jej mężu? - dodała druga.

- Wiesz, co ludzie mówią na ten temat - odparł pierwszy głos. - Gwiazdy telewizyjne nie mogą specjalnie przebierać.

Suzanne już nie odpoczywała tak przyjemnie jak przed chwilą. Nagle ich głosy stały się znacznie bardziej stłumione. Dlaczego przestała je słyszeć? Przyłożyła ucho do ściany.

- Szkoda mi jej - mówiła jedna z nich.

- Kogo? - pomyślała Suzanne. - Mnie?

- Od pewnego czasu nie pracuje i na dodatek mieszka sama - powiedziała druga.

To o mnie, stwierdziła Suzanne. O, Boże, rozmawiają o mnie. Jak ja się stąd wydostanę?

- Ciekawe, dlaczego nie może dostać pracy? Jest całkiem niezłą aktorką i z pewnością ma jakieś układy.

Suzanne czuła się upokorzona. Nigdy już nie wyjdzie z tej łazienki. Oddychała ciężko jak chore dziecko.

- Nie słyszałaś? Okropnie utyla.

Wszyscy już wiedzą! Wszyscy o mnie mówią!

- Naprawdę? - odezwał się drugi głos.

- Tak, około piętnastu, dwudziestu kilogramów.

- Naprawdę? - powtórzył drugi głos.

Och, Suzanne wpadła w popłoch, kto? Piętnaście lub dwadzieścia kilogramów. O, Boże.

Była zdruzgotana. To, że nie plotkowały o niej, miało w tej chwili niewielkie znaczenie. Równie dobrze mogłyby mówić o

niej. Musiała wrócić do domu, to pewne. Spuściła wodę i wyszła. Okazało się, że głosy należały do dwóch atrakcyjnych czterdziestolatek, których Suzanne nie знаła. Kiedy je mijała, uśmiechnęła się do nich i skinęła głową. Starła się zrobić na nich wrażenie kogoś pełnego optymizmu i dobrze bawiącego się na tym przyjęciu.

Brała pod uwagę wyjście bez pożegnania, ale kiedy sobie uświadomiła, jak by to wyglądało, wykluczyła taką możliwość. Wróciła do jadalni, gdzie Wallis właśnie przedstawiała Briana kolejnemu stolikowi. Wielu gości przechodziło już do salonu, zabierając kawę i inne podane po obiedzie napoje. Suzanne ustawiła się gdzieś na samej krawędzi tego przyjęcia, na najdalszych peryferiach tłumu. Kiedy Brian po raz kolejny zaczynał swoją historię, napotkała spojrzenie gospodyni. Wallis podeszła do niej.

- Nie mogę po prostu dość do siebie po tej historii Briana - powiedziała. - Wyobraź sobie tylko, że ktoś przerywa ci rozmowę z członkiem rodziny królewskiej.

- Kiedy rozmawiałam z księżniczką Małgorzatą, byłam na kwasach - odparła Suzanne. - Słuchaj, Wallis, muszę już iść. Było fantastycznie. Ciasto było wspaniałe.

- Tak wcześnie? - nadała się Wallis. - Być może Phil Esterbrook zagra jedną ze swoich piosenek. Na pewno nie możesz zostać?

- Naprawdę nie - odparła Suzanne, pozwalając Wallis pocałować się w policzek. Zaczęła przesuwać się powoli w kierunku drzwi. - Łapię wodę dla paru osób i muszę wrócić przed północą.

Kiedy nałożyła nocną koszulę i poszła do łóżka, nie wiedziała jeszcze wcale, że będzie chciała w nim pozostać na dłużej. Jednak do niedzielnego popołudnia tkwiła zagrzebana w pościeli po uszy, a na nocnym stoliku wyrósł cały stos pustych puszek po napojach. W jej brązowe, podobne do krowich, oczy wciskał się blask włączonego telewizora.

- Hemingway też potrzebował odpoczynku -zapewniała ją przez telefon matka. - A także Paul Muni. Alfred Lunt miał zwyczaj chować się do ogrodu i kazał żonie odbierać telefony. Suzanne zawsze się uspokajała, kiedy słyszała, jak matka w swojej życzliwości porównuje ją do kogoś takiego jak Paul Muni czy Alfred Lunt. Przykryła się dokładniej kocem. - Jesteś bardzo podobna do mnie, Suzanne - mówiła matka. - Czasami życie cię po prostu przytłacza. Uważam, że nie powinnaś robić sobie wyrzutów z tego powodu, że spędziłaś kilka dni w łóżku. Masz wrażliwą i poszukującą osobowość.

Suzanne zastanowiła się, w którym momencie stała się bardziej osobowością niż osobą. Gdy terapeutka zwróciła jej uwagę na ten problem, poczuła się tak, jakby już przez dłuższy czas o tym wiedziała. Kiedy miała dwadzieścia jeden lat, napisała w swoim pamiętniku: „Opisuję życie, które przeżywam z wielką niechęcią”. Uspokojona argumentami matki, zorientowała się nagle, że przypomina sobie macierzyński ton, z jakim przemawiała do niej terapeutka na ostatnim spotkaniu.

- Myślę, że przede wszystkim jesteś bardzo nieśmiała i wystraszona - powiedziała wtedy Norma, unosząc lekko brwi z wysiłku, na jaki musiała się zdobyć, żeby wniknąć w osobowość Suzanne. - Zdaje się, że jesteś gotowa poznać samą siebie, ale to dopiero część umiejętności, które musisz osiąść, by móc panować nad sobą. Zależy ci na tym, by ludzie wiedzieli, że posiadasz prawdę o sobie. To tak, jakby tęga dziewczyna wchodząc do pokoju, oznajmiała, że jest tęga.

Suzanne siedziała przed Normą z policzkami zaczerwienionymi z emocji.

- To, co mówisz, jest wspaniałe - wykrzyknęła, wpatrując się w Normę z podziwem.

- Jesteś teraz podekscytowana wyłącznie dlatego, iż poznałaś następną prawdę na swój temat, która może ludziom dostarczyć rozrywki - ciągnęła Norma. - Dostałaś kolejną część do swojego małego pokazu uczciwości, który urządzasz tylko po to, by

kazać ludziom myśleć, że wcale nie jesteś od nich tak daleko, jak w rzeczywistości jesteś.

Suzanne była poruszona. Została przyłapana. Nawet teraz, kiedy słuchała tych nowych prawd, układała je w głowie w tym miejscu, gdzie przechowywała wszystkie trafne informacje na swój temat. Miała zamiar użyć ich w chwili, gdy będzie opisywała siebie nie znanym ludziom lub kiedy znanym ludziom zechce się przedstawić na nowo. Opisywanie siebie było dla Suzanne równoznaczne z byciem sobą. Tylko na tyle potrafiła się do bycia sobą zbliżyć. Potrząsnęła głową ze zdumieniem i zapytała:

- Co więc mam teraz zrobić?

- Nic - odparła Norma, jakby to powinno być oczywiste. - A co możesz zrobić? To tylko opisuje twój sposób funkcjonowania.

- Więc już tak musi pozostać? Jestem skazana na dożywotnie zachowywanie się w życiowo podobny sposób?

- Oczywiście, że jest przed nami dużo pracy - stwierdziła Norma. - Oczywiście jest też, że do pewnego stopnia na zawsze taka pozostaniesz. Nadałaś swojej osobowości bardzo skomplikowany kształt. Zdemontowanie jej byłoby prawie niemożliwe i nie to zresztą jest naszym celem. Po prostu zależy mi na tym, żebyś między tym całym gadaniem i rozmyślaniem jeszcze coś czuła. Chciałabym, żebyś prowadziła życie, a nie dała mu się prowadzić.

Teraz, leżąc w łóżku, Suzanne słyszała, jak jej matka wspomina Jane Powell.

- ...a Shirley MacLaine zrobiła sobie kilka lat przerwy - ciągnęła matka. - Czy chcesz, żebym ci przysłała Mary? Mogłaby ci coś załatwić. Kiedy mnie nie ma w mieście, ona nie ma nic do roboty. Po prostu siedzi w moim domu i jedząc frytki, ogląda telewizję. Mogłaby przyjść do ciebie i zrobić ci kanapkę z bekonem albo naleśniki z kurczakiem. Zawsze się lepiej czuje, kiedy coś zjem...

Postanowiły, że Mary przyjdzie do Suzanne, przygotuje posiłek i doprowadzi dom do porządku. Suzanne odłożyła słuchawkę, westchnęła i przekręciła się w łóżku, żeby się znaleźć twarzą do telewizora. Ktoś właśnie wyleciał w powietrze. Zaczęła przeszukiwać pościel w poszukiwaniu pilota, znalazła go pod stertą poduszek i wzięła się do przeglądania kolejnych stacji, żeby znaleźć coś, co przyniesie jej ulgę.

W końcu zjawiała się Mary. Zabrała wszystkie puste puszki z sypialni. Suzanne kochała Mary, która opiekowała się nią od momentu, gdy Suzanne skończyła sześć lat.

- Jaka ja byłam, Mary?

- Byłaś dobrym dzieckiem - powiedziała Mary, poprawiając poduszki za głową Suzanne. - Zawsze byłaś dobrą małą dziewczynką. A teraz, co mam ci zrobić na lunch?

Suzanne poprosiła o kanapkę z bekonem i niemieckie ciasto czekoladowe. Mary poszła do kuchni, a Suzanne przekręciła się na bok. Zastanawiała się, jak długo jeszcze zostanie w łóżku. Ciekawa była, czy obudzi się pewnego ranka - może już jutro rano - i poczuje, że powraca do życia, odświeżona i bez obaw. Jednak teraz jeszcze była odrętwiała i pozbawiona energii.

Tak bardzo chciała być spokojna, pragnęła być kimś, kto późnym popołudniem spaceruje w słońcu, słuchając ptaków i świerszczy, kto czuje, jak cały świat oddycha. Zamiast tego żyła zamknięta we własnej głowie jak szalona kobieta w wieży, słuchająca tylko wiatru, który wyje w jej włosach i czekająca na kogoś, kto przyjdzie do niej i uratuje ją od konieczności odczuwania wszystkiego tak głęboko, że aż od tego piekły ją kości. Miała mnóstwo dowodów na to, że jej życie jest dobre. Nie potrafiła tylko czuć, że życie, które widzi, jest właśnie tym życiem, które ma. Zachowywała się tak, jakby była chora na raka właściwych proporcji.

Znowu miała kłopoty ze snem. Leżała cicho, podczas gdy jej myśli przewracały się w głowie i przekręcały. Odkąd pamiętała, miała kłopoty ze snem. Jako dziecko czekała na popołudniową

drzemkę jak na wyrok skazujący ją na karę więzienia. Leżała w łóżku, wgapiała się we wzory na tapecie i zastanawiała, jak by to było, gdyby nie było nieba. Wyobrażała sobie, że świat toczyłby się coraz dalej, rozlewając się po wszystkim. Niebo było dla wszechświata czymś w rodzaju kapelusza, jakimś wiekiem, które zamykało wszystko pod sobą, utrzymując świat tam, gdzie było jego miejsce.

Suzanne leżała w łóżku i gapiała się w telewizor, czekając na kanapkę z bekonem i rozmyślając o nieskończoności.

Około środy poczuła się nieświeżo. Kiedy była w łazience, przez przypadek na moment spojrzała na swoje odbicie w lustrze i zauważyła, że jej szyja przypomina skorupę. Czy to już anoreksja? -zadała sobie w duchu pytanie. Czy kiedy patrzysz w lustro i widzisz, że twoja głowa przypomina górną część ciała kałamarnicy, pozbawioną ramion, to już jest anoreksja? Czowała się jakaś rozpułchniona. Przez pewien czas chodziła do sali gimnastycznej i naprawdę zaczęła dostrzegać różnicę w wyglądzie własnego ciała, ale teraz znowu stała się miękka i bezkształtna.

- Kałamarnica Kacper - powiedziała na głos.

Suzanne zawsze identyfikowała się po głosie. Najbliżej siebie samej była wtedy, kiedy mówiła. Istniała przez dźwięk. Własne odbicie w lustrze zaskakiwało ją, ponieważ nie identyfikowała się ze swoim wizerunkiem. Nie była tym, na kogo wyglądała, była tym, jak brzmiała. Dlatego w garderobie zawsze była zakłopotana. Co powinna nałożyć? Trudno jest ubrać głos.

Wchodziła do garderoby, co było dla niej równoznaczne z otwarciem pudła Pandory, i natychmiast automatycznie reagowała w jedyny dla siebie sposób, mówiąc: „Nie mam co na siebie włożyć”. Oczywiście nie o to chodziło. Miała mnóstwo strojów, ale były one niewłaściwe. Już je kupiła. Suzanne podobały się tylko te ubrania, które dopiero zamierzała kupić. Wiedziała, że kiedyś uda jej się odnaleźć ten jedyny właściwy strój, który sprawi, że jej życie zacznie funkcjonować w

odpowiedni sposób. No, może nie całe życie, pomyślała, wracając do łóżka, ale przynajmniej te obszary jej życia, które wymagają ubierania się.

Około południa, z Nowego Jorku, zadzwoniła jej przyjaciółka Lucy. Dwa tygodnie temu pojechała tam do żonatego mężczyzny, z którym właśnie się związała. Lucy lubiła romanse z żonatymi, ponieważ - jak wielokrotnie wyjaśniała Suzanne - „Nie trzeba wchodzić z nimi w pełne związki”.

- Poznałam go podczas kręcenia filmu dla telewizji „Blood on the Snow” - opowiadała Lucy. - To taka rzecz o morderstwie w kurorcie narciarskim. On grał mordercę i na mnie polował. To było takie romantyczne. Mam na myśli fakt, że grał porządnego mordercę. Nie takiego zwyczajnego mordercę, tylko czarującego faceta. Kręciliśmy plenery w Idaho, a plener to, tak czy inaczej, strefa dozwolona.

- Specjalistka od pieprzenia gwiazd - stwierdziła rzeczowym tonem Suzanne.

- Lubię sławy - przyznała Lucy - ale nie jestem specjalistką od pieprzenia gwiazd. Jeśli już, to jestem specjalistką od pieprzenia talentów, a ten facet jest bardzo utalentowany. No, w pewnym sensie jest ograniczony, ale obszar, do którego on jest ograniczony, jest ciekawszy niż pełen zakres u większości ludzi.

- Scott Hastings - powiedziała Suzanne. - Wymyślił sobie to nazwisko, prawda?

- Nie - odparła Lucy. - Właściwie na pierwsze imię ma Bob. Robert Scott Hastings.

- Bob Hastings - starannie wymówiła Suzanne. - Pułkownik Bob Hastings. Nic dziwnego, że je zmienił. Czy jest tam jego żona?

- Kabura? - odparła Lucy. - Tak. Wynajęli dom w Connecticut, ale on siedzi w mieście i ma mnóstwo prób.

- Następnym żonaty facet - westchnęła Suzanne. - Muszę powiedzieć, że ten ostatni mi się nie podobał.

- Earl? - upewniła się Lucy, nieco zaskoczona. - Naprawdę? Nie podobał ci się? Sądziłam, że tak.

- No, cóż, powiedziałam ci kiedyś, że mi się podoba - odparła Suzanne. - Musiałam to zrobić, bo za bardzo podobał się tobie. Właściwie podobał ci się tak bardzo, że wystarczyło za nas obie. I co się z nim w końcu stało?

- Zaczął się ode mnie oddalać - odparła Lucy. - To znaczy oddalać się bardziej niż lubię. Potrzebuję faceta, któremu trochę nie dowierzam. Wtedy staje się dla mnie bardziej interesujący. Nie znam kobiet, które czują inaczej, ale z drugiej strony, gdybym ja nie czuła w ten sposób, to pewnie znalazłabym inne kobiety. W każdym razie, oddalił się tak bardzo, że zaczął romansować z Isabel Hasbar.

- Z tą angielską aktorką? - zapytała Suzanne. - Z siostrą Reginalda Fleemera Hasbara?

- Tak, z tą Isabel Hasbar - potwierdziła Lucy. - To było bolesne przeżycie, ale bolesne w ciekawy sposób. Czułam się tak, jakby nastąpił kolejny nieunikniony etap w tym procesie i... Czekał, mam następną telefon... To on. Muszę iść.

- Pozdrów ode mnie pułkownika - powiedziała Suzanne, ale Lucy już odłożyła słuchawkę. Suzanne zmieniła kanał i zobaczyła na ekranie kochającą się parę.

Odwróciła wzrok i rozejrzała się po pokoju. Ostatnimi czasy jej dom doprowadzał ją do szału. Za każdym razem gdy nie miała nikogo, jej dom doprowadzał ją do szału. Po pierwsze, zasłony przepuszczały zbyt dużo światła, więc rano zazwyczaj musiała sobie układać na głowie stertę poduszek. Ale z drugiej strony, uważała też, że ma za dużo poduszek i że są one za twarde. Jeden z obrazów wiszących nad jej łóżkiem miał rozdarte płótno.

Na dodatek na białym dywanie, tuż przy łóżku, widać było dwie pomarańczowe plamy po jakimś napoju gazowanym. Od sygnalizatora dymu odpadło wieczko. Wszędzie było pełno przewodów elektrycznych, których w żaden sposób nie potrafiła

ukryć. Obok magnetofonu stał wielki kosz wypełniony kasetami pozbawionymi plastikowych opakowań, które Suzanne gdzieś pogubiła. Po prostu było tu zbyt wiele rzeczy. Rzeczy wyrastających na powierzchni jej domu jak jakiś radosny nowotwór.

Odwróciła się znowu w kierunku telewizora i zaczęła szczegółowo przyglądać się obrazowi na ekranie, jakby szukała jakiegoś znaku. Znaku życia. Dwaj mężczyźni bili się i w pewnym momencie jeden z nich wyleciał przez szklaną ścianę. I nagle okazało się, że Suzanne wpatruje się prosto w zakrwawioną twarz Grahama Daviesa, pierwszego z trzech aktorów, którzy byli jej chłopakami. Z całej tej trójki Graham okazał się najsympatyczniejszy. Właściwie był jedynym sympatycznym chłopakiem Suzanne, gdyż należała ona do tych nieszczęsnych kobiet, dla których mili mężczyźni są mało ciekawi. Od następnych dostała niezłą nauczkę. Trafiała na niewłaściwych. Wyszukiwała niesympatycznych chłopaków, a potem się na nich skarżyła, jakby zostali jej przydzieleni przez rząd. Mimo to właśnie wtedy czuła, że w czymś uczestniczy, nawet jeśli to był koszmar.

Zmieniła kanał. Kobiety w strojach do jazdy konnej stały na wzgórzu i rozmawiały ze sobą. Suzanne знаła jedną z nich. Na koncercie Davida Bowie'ego w Londynie brała z nią kokainę. Dziewczyna ta była wtedy ubrana w bardzo przezroczystą sukienkę. Tej nocy, gdy Suzanne zaczęła swój drugi romans z aktorem, ona też tam się znajdowała. Telewizja była pełna wspomnień Suzanne jak jakiś ciekły zeszyt z wycinkami z jej życia. Pomyślała, że gdyby oglądała telewizję dostatecznie długo, to pewnie na ekranie ujrzalaby całe swoje życie. Teraz dziewczyna, którą znała, onanizowała się w autobusie.

Suzanne znowu zmieniła kanał i zobaczyła Ronalda Reagana, który machając ręką, wysiadał z helikoptera. Zatrzymał się, przyłożył rękę do ucha i wzruszył ramionami, a tymczasem, niczym psa na smyczy, wyciągnięto z helikoptera jego żonę.

Stała przed nim, a Suzanne doszła do wniosku, że wystarczy na nią popatrzeć, by zrozumieć, po co on ją ma. Jest jakaś kanciasta. Przy pomocy tej swojej szpiczastej głowy i innych ostrych krawędzi w pewien sposób formuje go, dodaje mu wyrazistości, co sprawia, że on nie wylewa się poza obręb ekranu jak jakaś bezkształtna masa. Jakby zamykała go w ograniczonym obszarze na zamek błyskawiczny.

Reagan ciągle machał ręką i uśmiechał się. Jakby jego rolą w Białym Domu było zawieszanie pojemników z płynem do kroplówek, które były przeznaczone dla narodu. Doktor Reagan, z tym swoim mało przekonującym podejściem do umierającego narodu. Suzanne walnęła pięścią w pilota i na ekranie ukazał się aktor, którego chyba nie знаła. Właśnie wyjaśniał telewidzom, że nie istnieje ktoś taki jak aktor i reżyser w jednej osobie. Są tylko aktorzy i reżyserzy. To, co mówił, było bardzo przekonujące, ale na tym przecież polega zawód aktora. Tego rodzaju umiejętność bywa niekiedy bardzo zwodnicza. W prawdziwym życiu aktorzy słyszą czasem tę nutę głębokiego przekonania we własnych głosach i rzeczywiście sami sobie wierzą. Przełączyła na kanał jedenasty, gdzie właśnie emitowano film „The Tattered Dress”, po czym włączyła MTV. Obejrzała wideoklip Bryana Adamsa i zaczęła się zastanawiać, jak mogłoby wyglądać jej życie z nim. W końcu wróciła do filmu z dziewczyną, z którą brała kiedyś kokę. Nie był to dobry film, ale oglądanie filmu, w którym grał ktoś, kogo chociaż trochę znała, działało na nią uspokajająco. Dziewczyna właśnie opowiadała o tym, jak kochała się z własnym wujkiem.

Suzanne popatrzyła na nocny stolik. Znajdowała się na nim torebka chrupek ziemniaczanych, jakieś dziwaczne zdrowotne ciasteczka, pudełko waniliowych wafli, dwie puste szklanki, jedna szklanka do połowy napełniona sokiem pomarańczowym, który stał w niej już przez dwa dni, pół puszki dietetycznej coli i słoik masła orzechowego. Włożyła do niego dwa palce i wzięła sobie trochę tego masła.

Wtedy odezwał się telefon. Poczekała, aż zadzwoni trzy razy, by mieć pewność, że po drugiej stronie linii jest rzeczywiście jakaś żywa dusza, a potem podniosła słuchawkę i powiedziała „Halo” takim tonem, jakby została wyrwana z szampańskiej zabawy.

- Halo, kochanie - usłyszała dobrze znany głos. - Mówi Doris, twoja matka.

- W odróżnieniu od Doris, mojego brata, czy od Doris, mojego wujka? - spytała Suzanne ironicznie. - Ponieważ w tej rodzinie wszyscy nazywamy się Doris, uważam za konieczne ustalenie, o którą z osób noszących to imię rzeczywiście chodzi. W przeciwnym razie mogłoby dojść do jakiegoś wysoce żenującego...

- Jak twoje zdrowie, kochanie? - przerwała ten wywód Doris, jej matka, z niepokojem w głosie. - Właśnie rozmawiałam dziś z doktorem Feldmanem, który powiedział, że może to być jakaś alergia pokarmowa. Czyż to nie byłoby wspaniałe? Mogłabyś wtedy po prostu przestać jeść to, co cię uczula, i nie musiałabyś leżeć w łóżku. Co ty właściwie jesz?

- Jem tylko to, co w sposób nieodwołalny prowadzi do bajpasu* - odparła Suzanne.

- Nie bądź taka mądrała, kochanie - powiedziała matka. - Przypomnij sobie tylko moje uczulenia. Odkryłam, że to uczulenie na skorupiaki. Okropnie puchną mi wargi, a język nadyma się jak balon i muszą mi wtedy dawać sterydy albo coś w tym rodzaju. Może jesz coś takiego, co sprawia, że czujesz się zmęczona?

- Czy jedzenie może spowodować, że staję się apatyczna i tracę poczucie bezpieczeństwa? - zapytała Suzanne z powątpiewaniem w głosie.

* Bajpas (ang. bypass) - wszczepione operacyjnie naczynie poboczne omijające niedrożną tętnicę, np. przy zaawansowanej chorobie wieńcowej.

- Nie doceniasz siły alergii pokarmowych - oznajmiła jej matka z dużą pewnością siebie.

- Upprzedziłam doktora Feldmana, że do niego zadzwonisz.

- Wyobraź sobie tylko - powiedziała w zamyśleniu Suzanne - spędziłam całe trzy lata na psychoterapii, a tymczasem od samego początku był to na przykład po prostu tuńczyk.

Pewnego późnego popołudnia, w niedzielę, dziewiątego dnia pobytu w łóżku, kiedy Suzanne oglądała właśnie w telewizji czarno-biały film z Josephem Cottenem i Ginger Rogers, zadzwonił telefon. Porwała słuchawkę natychmiast, po pierwszym dzwonku.

- Halo! - wykrzyknęła.

- A co by było, gdybym była facetem? - To był głos należący do Lucy.

- Pomyślałabym, że jesteś w rozpacz.

- Bo jestem w rozpacz - odparła Suzanne.

- Już wróciłaś? Sądziłam, że spędzisz lato z pułkownikiem Bobem w Nowym Jorku.

- Nowy Jork w lecie jest jak jeden wielki kaszel - stwierdziła Lucy.

- Jakby zjechał się tam cały kraj i jednocześnie zaczął kasłać. On wrócił do żony.

- I jak to znosisz? Bardzo źle? - zapytała Suzanne współczująco.

- Na razie nie aż tak źle, ale wiesz, że cierpię na niedowład emocji - powiedziała Lucy.

- Po prostu przyjechałam do domu i położyłam się do łóżka, więc kiedy rozpacz zwalił mnie z nóg niczym atak grypy, to od razu będę tam, gdzie należy.

- A ja zamierzam właśnie pobić rekord świata - oświadczyła Suzanne.

- Nie wstaję już drugi tydzień. Moje życie jest jak patyczek do czyszczenia uszu, porzucony w przedostatniej szufladzie i zapomniany.

- Z kim ja rozmawiam? Z Sylwią Plath*?

- Raczej z Sylwią Papp - odparła Suzanne - żoną Joe*. Może przyjedziesz do mnie i przyłączysz się do mojego nie tak bardzo znowu cichego czuwania?

- Pewnie będę zbyt przygnębiona - stwierdziła Lucy. - W takim stanie nie powinnam prowadzić samochodu.

- Wyślę po ciebie limuzynę.

Godzinę później na podjazd przed domem Suzanne skręciła z Outpost czarna limuzyna. Wsiadła z niej Lucy. Miała na sobie tylko nocną koszulę. Weszła do domu przez garaż, przeszła przez ogromną sypialnię i położyła się obok Suzanne.

- Być może aktorzy potrafią grać - powiedziała - ale wielu z nich nie umie się odpowiednio zachować.

- A więc - spytała Suzanne - czy już jesteś zdruzgotana?

- Jeszcze nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle z powodu aktora można czuć się zdruzgotanym. Ale wiesz co? On wcale nie jest aż tak dobrym aktorem, dlatego obraża mnie to, że mnie tak po prostu wywalił. Jest przede wszystkim aktorem telewizyjnym, a nie kinowym. Być porzuconą przez aktora kinowego to znacznie ciekawsze, niż być porzuconą przez aktora telewizyjnego. Chodzi mi o to, że kiedy rozstał się ze mną Andrew Keyes, był to Andrew Keyes i można było z tego zrobić anegdotę.

- Czy spałaś kiedyś z facetem, który nie był aktorem? - spytała Suzanne, podsuwając Lucy miseczkę nieświeżej prażonej kukurydzy. Zdaje się, że chodziłaś kiedyś z prawnikiem.

- Z Billem Taftem - przypomniała Lucy. - Tak. To było nudne.

Miał zwyczaj opowiadać o takich rzeczach, jak wyrąb lasu w Kanadzie i na dodatek opowiadał o tym dla rozrywki. Podczas obiadu miałam ochotę wpaść do sałaty i umrzeć.

* Sylvia Plath - autorka autobiograficznej powieści o depresji i pobycie w klinice psychiatrycznej.

* Joe Papp - amerykański reżyser teatralny.

Suzanne sięgnęła po pilota i zmieniła kanał. Na ekranie zobaczyły swoją znajomą, Amy Baxter, w jednym z odcinków serialu „Honey, I'm Home!”.

- Co myślisz o romansie Amy Baxter z kierownikiem artystycznym?

- Amy nie wytrzyma w tym związku - odrzekła Lucy. - Uganiała się za tym facetem bez opamiętania i w końcu go ma. Myślę, że zostanie z nim przez pewien czas, bo czułaby się zażenowana, gdyby porzuciła go szybko, ale czy widziałaś kiedyś w życiu kogoś, kto by wyglądał na tak znudzonego, jak ona?

- To nie jest nuda. To po prostu cała Amy - uznała Suzanne. - Facet jest naprawdę cudowny. Przystojny, elegancki, miły i na dodatek nie za miły. Ma pieniądze, stosunki i bardzo gustownie się ubiera. Takich to ze świecą szukać. To naprawdę świetny facet, ale znasz Amy. Marzy jej się jeszcze wspanialszy. Jeszcze wspanialszy bez trudu mógłby się przenieść do Hollywood, a gdyby to zrobił, Amy chciałaby właśnie jego. Amy po prostu musi trzymać w rezerwie około trzydziestu procent siebie, tak na wszelki wypadek.

- Pamiętasz Sama Eisenberga? - spytała ze śmiechem Lucy. - Amy przetoczyła się przez niego jak burza.

- Wiesz, kto by ją naprawdę zatrzymał? - rzuciła Suzanne. - Todd Zane. Powinna spróbować utrzymać przy sobie Todda Zane'a. To byłoby fantastyczne.

- A ty spałaś z nim kiedyś? - zapytała Lucy.

- Z Toddem Zane'em? - Nie. A ty?

- Ja tak - odparła Lucy. - Jest wspaniały. Zwierzył mi się kiedyś, iż ktoś mu powiedział, że obciąża fiuta jak dziewczyna.

- Naprawdę? - zapytała Suzanne. - A co to znaczy? Że dobrze?

- O, tak, pewnie dobrze - odparła Lucy. - Wetknęła kilka ziaren prażonej kukurydzy do ust. - Przysięgam, czasami myślę, że jest we mnie coś z dziwki.

- Podaj mi dietetyczną colę - poprosiła cichutko Suzanne. - Nie chcę przechodzić obok lustra. Mam takie włosy, jakby ktoś wylał mi garnek tłuszczu na głowę.

Lucy poszła do kuchni i przyniosła dwie puszki dietetycznej coli.

- Kiedy po raz ostatni kochałam się ze Scottem Hastingsem, przepraszam, z pułkownikiem Hastingsem - powiedziała - trwało to ze trzy godziny.

- Zawsze lubiłaś ten koszmarny, nieskończenie długi seks - zauważyła Suzanne. - Używasz go tak, jak koń używa worka z owsem. Zakładasz sobie ten worek z ciałem, czyli faceta, na twarz i zabierasz się do niego tak, jak... jak ja kiedyś zabierałam się do narkotyków. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Czasami myślę, że chciałabym znaleźć jakiegoś małego faceta i sprawić, by stał się dla mnie miły - wyznała Lucy. - A może miłego faceta, który w stosunku do mnie okazałby się trochę małoduszny. Ale oni zwykle o wiele za szybko stają się zbyt mili albo o wiele za długo pozostają zbyt małoduszni.

- Uważam, że nie jestem przystosowana do związków z ludźmi - zwierzyła się Suzanne - i ta myśl w ogóle mnie nie opuszcza. Chodzi mi o to, że nie mogę przecież przez całe życie tylko chodzić na randki. Nawet wtedy, kiedy byłam w odpowiednim wieku, nie robiłam tego zbyt dobrze. Pomyśl tylko przez chwilę. Jaki mięczak, jaki żaloszny typ miałby ochotę przepłynąć przez fosę mojej osobowości po to, żeby zamieszkać w moim domu, z moimi rzeczami? - Otworzyła dietetyczną colę i sączyła ją tak, jakby wysysała truciznę z aluminiowej rany. - Niemal pogodziłam się z tym, że spędzę życie przed telewizorem. - Wskazała palcem na telewizor. - To będzie ostatnia rzecz, jaką zobaczę przed śmiercią - powiedziała i

zaczęła się śmiać. - Twarz Roberta Lowe'a w filmie „St. Elmo's Fire”. Znajdę się w szpitalu, lekarze będą walić w moją klatkę piersiową, chcąc zmusić moje serce do bicia, a ja - ponad ich głowami - będę się wpatrywała w ekran telewizora. To moje przeznaczenie, czuję to.

- A ja, kiedy się zestarzeję, to będę jedną z tych wariatek, które siedzą na balkonach, plują na ludzi i wrzeszczą: „Obetnij włosy!” - powiedziała Lucy. - Wiem o tym i tak naprawdę wcale się tego nie boję. Po prostu chciałabym dojść do tego stanu z możliwie największą gracją i godnością.

W MTV pokazano tymczasem nowy wideoklip jakiejś ładnej piosenkarki, przedstawiając także w kilku scenach jej agenta. Suzanne poznała go w czasie studiów. Kiedyś na jakimś przyjęciu jej kuzynka obciągnęła mu fiuta, ale zdarzyło się to, zanim ona odnalazła Jezusa, który raz na zawsze wybił jej z głowy obciążanie fiutów facetom na przyjęciach.

- Pamiętasz, jak się czułaś, kiedy miałaś przeskoczyć przez skakankę? - zapytała. - Dwie osoby kręciły skakanką, a ty powstrzymywałaś się od skoku, czekając na właściwy moment? Przez cały czas czuję się tak jak wtedy.

- Ciągle myślę, że kiedyś z tego wyrośniemy - pocieszyła ją Lucy.

- Wyrośniemy? - odparła Suzanne. - O ile jeszcze można po trzydziestce urosnąć?

- Może to sprawa hormonów? - podsunęła Lucy.

- A może alergia pokarmowa? - dorzuciła Suzanne. - Może moja mama miała rację? Może to wszystko przez tuńczyka?

- A może po prostu przechodzimy załamanie nerwowe? - spytała Lucy. - Takie kontrolowane załamanie nerwowe?

- Czy ja wiem - powiedziała z powątpiewaniem Suzanne. - Tak naprawdę nie jestem wcale ani tak bardzo zdenerwowana, ani załamana. To bardziej wygląda na wycofanie się. Chwilowy postój dla zatankowania paliwa. Otóż to - nerwowy postój dla zatankowania paliwa. No może nie taki znowu nerwowy.

- Zdaje się, że chyba tym razem dostałam nauczkę - wtrąciła Lucy. - Chciałabym ją dostać. Może stałaby się dla mnie objawieniem, które pozwoliłoby mi wejść w pozostałą część życia z taką łatwością, jakby to była ciepła woda.

- Tak właśnie dzieje się w filmach - zauważyła Suzanne. - Wydarza się coś, co ma wielki wpływ na czyjeś życie i to życie całkiem zmienia kurs. Ale w rzeczywistości rzecz ma się całkiem inaczej. Przeżywasz wstrząs, a twoje życie dalej pozostaje takie samo. I myślisz sobie wtedy: No i co z tym ogromnym wpływem? Ciągłe masz jakieś objawienia. Ale one nie mają znaczenia.

- A może jednak nie - powiedziała Lucy z nadzieją. - Tyle że nie jesteśmy w stanie tego ocenić, bo tkwimy w samym środku wydarzeń. Może teraz właśnie zakończyliśmy jeden etap życia, a zaczynamy drugi, tylko jeszcze o tym nie wiemy.

- Myślę - oznajmiła poważnie Suzanne - że dopóki nie postanowimy, co mamy zrobić z drugą połową naszego życia, dotąd nie opuścimy tego łóżka. To jest jak przerwa w życiorysie.

- Ta przerwa może długo potrwać - zaniepokoiła się Lucy - bo zrobiliśmy z życia wielki bałagan. Przekroczyliśmy już przecież trzydziestkę. Chciałam powiedzieć, że nie wiem, jaki mamy w tym momencie plan. Wydaje mi się, że w ogóle nie mamy planu.

- Być może znajdziemy ten plan w telewizji - zasugerowała Suzanne. - Większość ludzi właśnie przez telewizję poznaje normy moralne, ideały i tym podobne rzeczy.

- Czyżby? - zapytała Lucy. - Bo ja nieraz oglądałam telewizję i nigdy się niczego takiego nie nauczyłam. A może jednak tak, tylko nic o tym nie wiedziałam.

- Pewnie oglądałaś niewłaściwe kanały - uznała Suzanne.

- Dobrze - odparła Lucy - nasz plan jest więc następujący: zostajemy tutaj i oglądamy telewizję, właściwe kanały

telewizyjne, i próbujemy przemyśleć nasze życie. Bardzo dobry plan.

Suzanne westchnęła.

- Właściwie to my w ogóle nie mamy życia. To chyba Freud powiedział, że to, czy ludzie są wariatami, czy nie, można sprawdzić, oceniając w jakim stopniu obłęd zaburzył ich pracę i miłość. To właśnie są kluczowe obszary. A my nie mamy ani miłości, ani pracy.

- Czy to oznacza, że jesteśmy obłąkane? - spytała Lucy.

- No cóż, z całą pewnością jesteśmy... ułomne. W głowach nam się pomieszało. Powstała rysa w naszym sposobie patrzenia na życie i teraz musimy to naprawić. Być może uda nam się tak odwrócić sytuację, że brak pracy i miłości okaże się normalny. Jeśli się da, to powinniśmy o tym wiedzieć.

- Poprzedniej nocy miałam sen, że jadę bez hamulców w zupełnej ciemności. - Lucy zmieniła temat.

- Ciekawe, co to może oznaczać.

- Nie muszę chyba iść do psychoanalityka, żeby zrozumieć, co to oznacza, prawda? - powiedziała Lucy, która stroniła od terapii. - Tracę nad sobą kontrolę. Tyle o sobie wiem. Nie panuję nad sobą, przyczepiam się do czegoś, co wygląda stabilnie, a żonaci mężczyźni kojarzą mi się ze stabilnością. Lubię nimi potrząsnąć i zagrozić ich stabilizacji. Tak czy inaczej, skoro już jesteśmy przy terapeutach, jak się miewa Norma?

- Norma chce, żebym to ja prowadziła życie, a nie dawała się mu prowadzić - odparła Suzanne. - Przez ostatnie dwa tygodnie jej nie było. Wyjechała. Jestem zdana na siebie, więc pomyślałam sobie, że po prostu wejdę do łóżka i zobaczę, co ja sama o tym wszystkim sądzę. Nie potrzebuję niczyjej rady. To znaczy, lubię z tobą rozmawiać, ale nie wydaje mi się, żebyś mogła mi pomóc.

- Dziękuję - powiedziała Lucy. - To bardzo piękne z twojej strony, że coś takiego mówisz. Wiesz, słyszałam, że Jack

Burroughs kręci właśnie „Ziz! II”. Jaki jest pomiędzy wami stosunek?

- Żaden - odrzekła Suzanne. - To była tylko teoria, którą oboje przez pewien czas uprawialiśmy. Oboje podejrzewaliśmy, że gdyby był między nami jakiś związek, toby się nam na pewno bardzo podobał, więc z tego wynika, że żadnego związku nie było. Ciągle tylko gadaliśmy o tym, czego między nami nie było.

- I kto wreszcie zakończył tę teorię?

- Ja w końcu odeszłam - powiedziała Suzanne. - Pewnego dnia przerwałam w połowie zdania i pomyślałam sobie, że właśnie w tym miejscu chcę to skończyć. Wiesz, zawsze uważałam, że można popracować nad związkiem, ale jest praca nad związkiem i praca nad zbudowaniem związku.

- Faceci są świetni, dopóki ich nie poznasz - oznajmiła Lucy. - Są dopóty wspaniali, dopóki wydajesz im się tą, z którą mogliby zostać.

- Spałaś kiedyś z Jackiem?

- Nie - odrzekła Lucy. - Kręciliśmy się już kiedyś koło tego, ale ktoś nam przerwał i już nie chciało nam się tego ciągnąć. Oboje byliśmy wtedy porządnie zapruci.

- Ciekawe - powiedziała Suzanne. - Nigdy nie spałaś z Jackiem Burroughsem, a ja nigdy nie spałam z Toddem Zane'em. Pod tym względem jesteśmy wyjątkowe.

- Czy sądzisz, że oprócz nas jest jeszcze ktoś, kto nigdy nie spał z jednym z nich? - zapytała Lucy.

- Tak, i pewnie niedługo się tutaj pokaże - odrzekła Suzanne. - Pewnie czeka nas jakieś spotkanie, tylko nic o tym nie wiemy.

- Pozwól, że cię spytam o jedną rzecz. Czy nie sądzisz, że to trochę żalosne? Tak leżeć w łóżku i oglądać telewizję?

- To jest żalosne - przyznała Suzanne. - Myślę, że jeśli ma się być żalonym, to powinno się być żalonym. Ludzie nie ośmielają się już być żalonymi.

- Chyba nie powinniśmy nikomu o tym mówić, dopóki nie upewnimy się ostatecznie, że właśnie o to chodzi, by być żalonym.

- Myślę, że po prostu powinniśmy zbadać nic nierobienie - powiedziała Suzanne.

- Chodzi mi o to, że jest wprawdzie mnóstwo ludzi, którzy zasadniczo nic nie robią, ale żaden z nich nie ma odwagi rzeczywiście nic nie robić. Będziemy pionierami. Jesteśmy kobietami nowej generacji, kobietami lat osiemdziesiątych, które nie mają nic ani nikogo. Spróbuj popatrzeć na to w ten sposób. Spędziłyśmy całe lata, zabiegając o coś i wokół czegoś się krzątając, byłyśmy na tyle pełne życia, na ile pozwalał nam układ nerwowy i to wszystko doprowadziło nas donikąd. Skoro tak, to równie łatwo mogłybyśmy dojść donikąd bez wysiłku. Naszym celem powinno być usunięcie wszelkich bodźców i sprawdzenie, jakie są nasze instynkty, o ile w ogóle są jakieś. Mieszkając w Hollywood, przez dłuższy czas nie używałyśmy naszych instynktów. Używałyśmy instynktów otoczenia. Widziałyśmy, co robią inni ludzie i robiłyśmy to samo, żeby osiągnąć sukces. - Westchnęła.

- Ble, ble, ble, ble, ble, ble. Miejmy nadzieję, że na ścianie nie ma żadnych much z Trzeciego Świata. Jeśli ktoś z zewnątrz, pozostający poza obrębem specyficznej kultury hollywoodzkiej, podsłuchałby naszą rozmowę, utwierdziłby się tylko w swoich najgorszych podejrzeniach.

- Czasami czuję się tak zepsuta - stwierdziła Lucy - jak coś, co zbyt długo leżało na wnikającym w każdy zakamarek słońcu. Jednak - dodała z nadzieją - obecny stan dodaje mi odwagi. Zatem, jak myślisz, jakiego rodzaju zemsty mogłabym dokonać na Scotcie Hastingsie?

- Zemsta nie należy chyba do działań w szczególnie sposób zwróconych ku wyższej świadomości - zauważyła Suzanne.

- Ale za to jest zabawna - oświadczyła Lucy.

- Patrząc na to od strony karmy*, na pewno jest zła, lecz ja i tak mam już wielki niedobór karmy. Gdyby tak nie było, nie zostałabym zesłana na tę planetę w postaci kobiety, dla której atrakcyjni są właśnie ci mężczyźni, którym ona się nie podoba i która, na dodatek, jest aktorką bez pracy. Kurwa, równie dobrze mogłabym zagrać jakąś zemstę na tym facecie. Pomożesz mi? Twoja karma też nie może być jakaś niewiarygodnie dobra, bo jesteś tu ze mną. A więc, dalej, do dzieła, jak już ma być zła karma, to podwójna porcja albo nic.

- Ale jesteś zwariowana - roześmiała się Suzanne.

- Zamierzam do niego zatelefonować i powiedzieć mu, żeby już więcej nie dzwonił - oznajmiła Lucy.

- Ja już to zrobiłam - odparła Suzanne. - Nie rozumiesz? Jesteśmy już wystarczająco przebiegłe, żeby usprawiedliwiać nasze głupie zachowanie. Zachowanie typu: „Jestem na niego wściekła, ale nie okazałam tego, lecz stłumiłam tę złość w sobie i teraz jestem przygnębiona, więc żeby znowu poczuć się dobrze, powinnam do niego zadzwonić i wyładować na nim swój gniew”. Tak jakby wolno było postępować głupio, pod warunkiem, że będzie się umiało zachować elegancką formę.

- Może i masz rację - przyznała Lucy. - Czasami wydaje mi się, że kiedy mówisz, to jako podkład powinnam mruzczyć „The Battle Hymn of the Republic”. Jest mi źle, bo on jednak jest już trochę sławny i mam wrażenie, że kiedyś stanie się jeszcze sławniej-szy, i wtedy naprawdę coś stracę.

- Chyba żartujesz - zdziwiła się Suzanne. - Jak myślisz, co oznacza „sławny”? Że osiągnął sukces? Wcale nie. To jest smutny i zgorzkniały facet. Zawsze gra jakichś morderców-maniaków, a jeśli bardzo długo kogoś udajesz, to w końcu stajesz się taki sam. Dobrze, że masz to za sobą. A poza tym, to kretyń. Nie należy do tych, którzy innym przyznają rację.

* Karma - (w buddyzmie) suma drobnych i złych uczynków, myśli i słów człowieka, która wyznacza jego los w nowej reinkarnacji.

Nie jest człowiekiem, który powie: „Wiesz, to ciekawe. Zmieniłaś mój pogląd na ten temat”. To jest kretyń, który mówi: „Do czego zmierzasz?” Gwarantuję ci, że rozmowa z nim będzie okropna. Odłóżysz słuchawkę i będziesz się czuła jak skończona frajerka.

- Dobrze już, dobrze - powiedziała Lucy. - Trzymamy się naszego pierwotnego planu. Nie robimy nic. Plan Zarastania Ludzi Szczeciną.

- Będziemy jak te Indianki, które idą do lasu rodzić dzieci - oznajmiła Suzanne - tylko- że w pobliżu nie ma lasu, nie posiadamy dzieci i nie jesteśmy Indiankami. W przeciwnym razie podobieństwo byłoby uderzające.

Spały w oddzielnych pokojach, bo obie były przyzwyczajone do ogromnych łóżek. Rano Suzanne obudziła się dwie godziny wcześniej, niż zamierzała i leżała w łóżku, przewracając się z boku na bok, dopóki w drzwiach nie pojawiła się Lucy i nie spytała:

- Czy w moim pokoju w ogóle nie było powietrza, czy to ja sama je całe zużyłam? - Już nie śpisz? - dodała.

- Ja zawsze czuam - odparła Suzanne. - Już taka jestem. Czuam w nastroju sennego przygnębienia.

- Posłuchaj. Przemyślałam to wszystko jeszcze raz - powiedziała Lucy, gryząc grzanekę. Usiadła na łóżku. Miała na sobie przyciasną dla niej piżamę Suzanne. - Wydaje mi się, że pozostanie w domu będzie przyznaniem się do porażki. Jeśli zaczniemy wszystko od nowa, to przynajmniej wykażemy się jakąś energią.

- Chciałabym, żeby to wszystko było łatwiejsze - oznajmiła Suzanne. - Może powinnyśmy zamieszkać w mieście uniwersyteckim, uczyć aktorstwa i pozwolić się ubóstwiać tym wszystkim małodatom.

Lucy nie zwróciła uwagi na jej słowa.

- Chodzi o to, że pozwoliłaś sobie na dziewięciodniową ciążę. Wiesz, analogia do dziewięciu miesięcy, ale nadszedł już czas,

żeby skruszyć barykady apatii. Zaatakujemy sklepy. Kupimy sobie stroje na drugą połowę życia. Już zamówiłam taksówkę. Jadę do domu się ubrać.

Suzanne pomyślała, że jej łóżko wyglądało już bardzo niechlujnie.

- Tak, to naprawdę było dawno, kiedy się podobałam. Muszę przyznać, że był to bardziej ruch obronny niż przygotowawczy. -Usiadła. W tym czasie na podjeździe ukazała się zamówiona przez

Lucy taksówka. Kierowca zatrałił dwa razy. - W porządku - powiedziała - ale musisz tu ze mną być, kiedy będę suszyła głowę. Nie lubię czuć tego ciepłego podmuchu na swojej puste głowie.

- Powiem kierowcy, żeby zaczekał - zaproponowała Lucy. Dwie godziny później jechali do Beverly Hills hondą Lucy.

Suzanne na dworze poczuła się znacznie lepiej. Kiedy suszyła głowę, wymyśliła sobie nową informację do automatycznej sekretarki: „Wysłałam, celowo unikając rozmowy z tobą”. Ten przebłysk inteligencji poprawił jej samopoczucie.

- Mój nastrój się podnosi - oceniła - jak mały, ciężki samolot. - Miała na sobie swój bojowy strój na zakupy: niebieską bawełnianą tunikę z rozcięciami po bokach, a pod nią czarne, luźne spodnie z niebieskim paskiem. Suzanne nosiła tylko czarne i niebieskie ubrania. Jej deklaracja w sprawie mody brzmiała: Posiniaczona.

Lucy nałożyła kremową tunikę i czarne rybaczki. Wzięła torebkę, która doskonale mieściła jej się pod pachą, a włosy splotła we francuski warkocz. Suzanne zebrała włosy spinką.

- Nie rozumiem, jak możesz pleść te wszystkie francuskie warkocze - powiedziała Suzanne. - W ten sposób przecież demonstrujesz, jak bardzo zależy ci na wyglądzie.

- Co z ciebie za dupek - odparła Lucy. - Jesteś ładna, ale nie chcesz, by ktoś przyłapał cię na tym, że starasz się ładnie

wyglądać. Wolisz uchodzić za taką, która wygląda dobrze bez wysiłku.

- Zdaje się, że jakoś nie mogę wyrosnąć ze wstrętu do zapinania guzików i naciągania pończoch. To wszystko jest takie skomplikowane. Wchodzę do garderoby i nagle czuję się tak, jakbym była mężczyzną. Jakbym była gigantycznym mężczyzną w garderobie pękającej od nadmiaru malutkich, dziewczęcych ubrań. I narasta we mnie pytanie: „Jak mam to wszystko na siebie włożyć?” Zaczynam się zastanawiać, czyj to właściwie jest dom.

- Od jak dawna już chodzisz na psychoterapię? - zapytała Lucy.

- Nigdy nie rozmawiałam z terapeutką o zakupach i strojach - odrzekła Suzanne. - Norma nie mówi mi, jak mam się ubierać.

- A powinna - odparła Lucy. - To jedna z bardziej podstawowych spraw.

Suzanne przez pewien czas milczała.

- Tak czy inaczej chciałabym być dla nich atrakcyjna z powodu intelektu - oznajmiła - dlaczego więc nie miałabym im pozwolić od razu iść we właściwym kierunku? Dlaczego powinnam najpierw zmuszać ich do tego, by zauważali, że mam ładne nogi? Moja zewnętrżność nie jest mną. Wydaje mi się, że mój wygląd nie zależy ode mnie. Ale to, co mówię, wymyślam sama. Więc to jestem ja.

- To bardzo sprytny sposób mówienia o tym wszystkim - pochwaliła Lucy, skręcając z Santa Monica Boulevard w Rodeo Drive. - Jeśli chodzi o dbałość o siebie, jesteś po prostu bardzo leniwa. - Wjechała na wolne miejsce do parkowania. - Ale przeszłość to przeszłość. Teraz jesteśmy zwrócone ku przyszłości i właśnie przed nami rozpościerają się zakupy, migotliwe jak marzenie.

Wolnym krokiem weszły do „Bottega Veneta”. Suzanne kochała zapach skóry i przez moment brała nawet pod uwagę kupienie sobie portmonetek w każdym kolorze. Wyobrażała

sobie, że kiedyś w przyszłości zorganizuje wyprzedaż i sprzeda wszystkie swoje rzeczy, których nigdy nie używała, to znaczy prawie wszystkie swoje rzeczy.

Obserwowała Lucy, gdy oglądała szaliki. Lucy naprawdę jest atrakcyjna, pomyślała Suzanne. Wie, jak się ubrać, żeby wyglądać szczupło. Lucy potrafiła o siebie zadbać. Jeśli wyskoczył jej jakiś pryszcz, to nie rzucał się nikomu w oczy. Miała zupełnie niezłą sylwetkę i nie dostosowywała postawy do układu pryszczy na twarzy. Nawet paznokcie miała ładne. Paznokcie Suzanne zawsze wyglądały tak, jakby pisała na maszynie i z tego powodu musiała obcinać je krótko, a teraz właśnie zaczynała je hodować na nowo.

Spacerowała po sklepie, oglądając torebki i miała nadzieję, że żaden sprzedawca nie podejrze do niej, by ją obsłużyć. Gdyby w ogóle mogli jej pomóc, powinni byli pojawić się wiele lat temu, uznała. Mimo że należała do osób rozpoznawanych na ulicy, uważała, że swoimi zakupami powinna zaimponować właścicielom sklepów.

Lucy, przeciwnie, była bardzo oszczędna. Suzanne obserwowała ją, jak targuje się ze sprzedawczynią o cenę szalika i próbuje precyzyjnie określić kolor portmonetki, jaką chciałyby kupić. Suzanne wyszukała kwadratową czarną torebkę i gdy tylko ją wzięła do ręki, pojawiła się za bardzo uperfumowana sprzedawczyni i wskazując na torebkę, szepnęła:

- Czyż nie jest śliczna? Suzanne aż podskoczyła.

- O, tak, tak.

- Proszę podejść do lustra i popatrzeć na siebie. Pasuje do wszystkiego.

- Ale czarną torebkę już mam - powiedziała Suzanne niepewnie.

- Szykownych torebek o tak wyjątkowym kształcie nigdy nie ma się za dużo - oświadczyła sprzedawczyni. - Ta torebka na pewno przyćmi wszystkie inne, które ma pani w domu. Proszę

tylko spojrzeć. Dla kogoś o pani wzroście jest po prostu doskonała.

- Ładna, prawda? Ile kosztuje?

- Cena jest naprawdę rozsądna - powiedziała sprzedawczyni i wzięła torebkę z rąk Suzanne. Otworzyła ją i popatrzyła na wyjętą ze środka karteczkę. Uśmiechnęła się niezdecydowanie jak żona Stepforda.

Suzanne uświadomiła sobie nagle, że sprzedawczyni próbuje ją namówić na niepotrzebny zakup i wpadła w panikę. W końcu doszła do wniosku, że prościej będzie kupić torebkę.

- Wezmę ją - powiedziała.

W tym właśnie momencie podeszła do niej Lucy z szalikiem owiniętym dookoła ramion.

- Co o tym sądzisz? - zapytała. Potem zauważyła czarną torebkę. - Och, bierzesz ją? - zdziwiła się. - Chyba już taką masz.

- Tak - odparła Suzanne obojętnie - ale...

- Co ty wyprawiasz? Co ty najlepszego wyprawiasz? - powtarzała Lucy. - Ile kosztuje ta torebka?

- Nie wiem. Dużo...

- Ile? - dopytywała się Lucy. A potem zwróciła się do sprzedawczyni: - Przepraszam, jestem jej agentką do spraw zakupów i w pewnych przypadkach muszę interweniować. Ona jest bardzo chora, prawie śmiertelnie i czasami majaczy. - Wzięła torebkę z rąk sprzedawczyni i otworzyła ją.

- Czteryście pięćdziesiąt dolarów - przeczytała na głos cenę. - Czteryście pięćdziesiąt dolarów! Myślę, Orzeszku, że powinniśmy jednak zatrzymać te pieniądze. Czyż twój menedżer nie powiedział nam, żebyśmy nie wydawały pieniędzy?

- Tak - przytaknęła Suzanne.

- Kochanie, przemyśl zakup tej torebki - doradziła Lucy.

- Jeśli myśl o tym uparcie będzie tkwiła w twojej głowie, jeśli zostanie w niej jak błyszczący diament, to wrócimy tutaj i kupimy ją. Dobrze?

- W porządku - zgodziła się Suzanne. - Ale nie musisz przy tym zniżać się do mojego poziomu.

- Nie robię tego - odparła słodko Lucy. - Ja cię traktuję z pobłażliwą wyższością. Ty jesteś stałym bywalcem tego sklepu, a ja stale bywam wobec ciebie nieco protekcyjna. Chodźmy.

Zdjęła szalik i położyła go na ladzie, obok czarnej torebki.

- Dziękujemy bardzo - zwróciła się do sprzedawczyni. - Przykro mi, że ona ma problemy z kupowaniem. Przechodzisz kryzys w kupowaniu. Załamanie - powiedziała do Suzanne. - A teraz to załamanie już się nieco wygładza. Musimy więc włożyć do niego trochę jedzenia, na wypadek gdyby jednak nie chciało się wygładzić.

Udały się do „Magie Pan”. Suzanne lubiła ten lokal, ponieważ używano bardzo wielu różnych sztucznych słodzików do potraw. Podawali naleśniki wypełnione najrozmaitszymi nadzieniami, w których dało się jednak rozpoznać coś do jedzenia. Zamówiła naleśnik z tartym jabłkiem posypanym cynamonem, ozdobiony na wierzchu lodami i dietetyczną colą. Lucy zamówiła suflet ze szpinakiem i mrożoną herbatę, a potem zapaliła papierosa.

Ponieważ nic nie kupiły, Suzanne czuła się przygnębiona. Z zazdrością przyglądała się papierosowi Lucy.

- Szkoda, że nie palę - powiedziała. - Nie powinnam rzucać wszystkiego. Teraz jedyną przyjemnością jest dla mnie nieprawidłowe parkowanie.

- Dobrze, że rzuciłaś wszystko - stwierdziła Lucy. - Tak czy inaczej, pogrążanie się w nałogach na śmierć zwykle prowadzi do śmierci.

- Jednak lubię te sztuczne dodatki - odezwała się Suzanne. - Poproszę ich, żeby dodali więcej glutamianu sodu.

Lucy dmuchnęła dymem z papierosa.

- Czy nie przychodzi ci do głowy - zapytała - że gdybyśmy miały teraz pracę, czułobyśmy się znacznie lepiej?

- Nie wiem - odrzekła z powątpiewaniem Suzanne. - Nie sądzę, by istniał taki moment, w którym można się całkowicie rozluźnić. To znaczy, jasne, że niektórzy ludzie mogliby to zrobić, ale tego nie robią. Bo zanim dotarli do takiego miejsca, gdzie mogliby się rozluźnić, dawno już się przyzwyczaili do tego, że nie mogą. Nie potrafią przecież nagle przeistoczyć się w ludzi, którzy odpoczywają. Żeby tam dotrzeć, trzeba ambicji, która nie ma nic wspólnego z odprężeniem. To jest wieczne parcie w górę. Myślę, że życie w nieustającym konkursie popularności zawiera właśnie coś z tego. Starasz się zmusić ludzi, żeby cię lubili, ludzi, za których nie oddałbyś złamanego centa - to wyklucza odprężenie.

- Wiem, o co ci chodzi - wtrąciła Lucy. - Kiedyś w Nowym Jorku starałam się o rolę. Weszłam do pokoju i pomyślałam: Pamiętasz te wszystkie ubrania, które czasami widzisz w sklepach? Zastanawiasz się wtedy, kto je kupuje. Teraz już wiesz. Są tutaj. Na tej kobiecie, która przydziela role. Oto na kim musiałabym wyrzucić odpowiednie wrażenie.

- Ja też mam dla ciebie świetną historię - powiedziała Suzanne. - Mój znajomy, aktor, szukał kiedyś pracy, a reżyser powiedział mu: „Ma pan tę pracę. Jest pan świetny. Muszę tylko jeszcze pojechać do Nowego Jorku i popatrzeć na niektórych aktorów”. A mój znajomy na to: „Jeśli ja mam tę pracę, to po co pan jedzie do Nowego Jorku?” A ten facet odpowiada: „Niech się pan nie martwi. Po prostu muszę pojechać do Nowego Jorku”. Oczywiście facet zadzwonił potem z Nowego Jorku i oznajmił, że ktoś inny dostał tę rolę. Mój znajomy powiedział: „No, cóż, nie chcę tej roboty”. A ten reżyser na to: „Nie zrozumiał mnie pan. Pan nie ma roboty, której mógłby pan nie chcieć”. A mój znajomy odparł: „Nie, to pan nie rozumie. Jeśli pan nie chce mnie do tej roli, to ja tej roli nie chcę”. Właśnie tak to wszystko czuję - ciągnęła. - Jeśli pan nie chce mnie do tej

roli, to ja tej roli nie chcę. Jeśli jestem tą dziewczyną i pan mnie nie chce, to ja nie chcę być tą dziewczyną. Jeśli chodzi o to, co spotyka mnie ze strony innych ludzi, moje chęci mogą zmienić tylko tyle i wołałabym, żeby tak pozostało. Nie chciałambym czuć, że gdybym pragnęła czegoś więcej albo powiedziała coś innego, albo włożyła inną sukienkę, albo była bardziej tajemnicza czy bardziej otwarta, to zdobyłabym coś lub kogoś, czego lub kogo w przeciwnym razie nie mogłabym zdobyć. Przerwała na chwilę, kiedy kelnerka przyniosła im napoje, a potem spytała:

- Dlaczego w ogóle chcieliśmy zostać aktorkami?

- Ja nie chciałam być aktorką - odparła Lucy. - Byłam piosenkarką, pamiętasz? A potem dostałam rolę w filmie, co było dla mnie pasjonujące. Sama nie wiem. Wydawało mi się, że w filmie są nieograniczone możliwości.

- Możliwości nie powinny być nieograniczone - zauważyła Suzanne.

- A jednak są - stwierdziła Lucy. - Tyle jest różnych dróg do sławy. Można na przykład strzelić do papieża, a on mógłby to wybaczyć.

- To znaczy, że nie chciałabyś - powiedziała Suzanne - być znaną z tego, że strzeliłaś do papieża, za co on ciągle jest na ciebie wkurwiony.

Lucy roześmiała się i pociągnęła łyk herbaty.

- Więc, zadzwoniłam do niego dziś rano.

- Do pułkownika? - wykrzyknęła Suzanne. - Ty pierdoło.

- Przyznaję, jestem pierdołą - powiedziała Lucy. - Zostawiłam mu następującą wiadomość: „Cześć, to ja, z tego spisku w Filadelfii”, co było śmieszne. Chodzi mi o to, że jeśli w ogóle zamierzam być pierdołą, to przynajmniej śmieszna pierdołą. - Zaciągnęła się po raz ostatni i odłożyła niedopałek. - I co mam teraz zrobić? Dopóki nie znajdę kogoś innego, będę myśleć o nim. Muszę stale mieć w głowie jakiegoś mężczyznę. To

utrzymuje mnie w formie. -Lucy zapaliła następnego papierosa.

- Nie uwierzysz, kogo spotkałam w Nowym Jorku, Jane Peters.

- Z Rolandem Parksem?

- Nie - odparła Lucy - ale była z tym ich dzieckiem. Suzanne westchnęła.

- Jest taka piękna, wyszła za mąż za jednego z najbogatszych biznesmenów w kraju i na dodatek mają to rezolutne dziecko... Wszystko w jej życiu jest doskonale i chce, żeby cały świat o tym wiedział. Przechadza się, jakby jej ubranie było wypełnione życiową energią, niczym balon helem.

- Wy tłumacz mi pewną rzecz - poprosiła Lucy. - Spotkałam ją kiedyś w Bendel. Przez cały czas opowiadał, jakie jej małżeństwo jest wspaniałe, stabilne i trwałe. Do tego stopnia, że w ogóle nie muszą się o to troszczyć. Mówiła o tym bez przerwy. Powiedziała mi dosłownie: „Nigdy nie przypuszczałam, że będę tak szczęśliwa. Gdyby kiedyś ktoś mi powiedział, że będę taka szczęśliwa, po prostu bym się roześmiała. Roześmiałabym się - podkreśliła Lucy.

- Nie mam pojęcia - stwierdziła Suzanne. - Być może istnieje taka radość, która każe człowiekowi biegać niespokojnie z miejsca na miejsce i każdej napotkanej osobie dostarczać, minuta po minucie, najnowszych danych dotyczących własnego szczęścia. Nie wiem. Może ona po prostu czuje ulgę, że nie jest jej aż tak źle, jak przypuszczała.

- Z drugiej strony - wtrąciła Lucy - nie można przecież oczekiwać, że będzie chodziła z ponurą miną, mówiąc: „To koszmarnie. Szkoda, że nie jestem biedna i że nie mieszkam w małym mieszkanku. Żałuję, że znowu pracuję jako aktorka”.

- Sądzę, że Jane powinna wydrukować broszurę opowiadającą najwspanialsze momenty z jej kariery aktorskiej i życia osobistego. Wiesz, co mam na myśli. Zdjęcia Jane i jej męża przytulonych do siebie na tapczanie i oglądających telewizję. Zdjęcia Jane i jej męża, jedzących lunch z agentem w „Le Dôme” i śmiejących się radośnie albo leżących prywatnym

odrzutowcem na prywatną wyspę na Hawajach. Mogłaby wtedy, spotkawszy przypadkiem którąś z nas, po prostu wręczyć jej broszurkę.

- Powinnaś podsunąć jej taką myśl - uznała Lucy ze śmiechem.

- Właściwie już coś takiego jej powiedziałem - rzekła Suzanne. - Pewnego dnia, kiedy ciągle gadała o swoim szczęściu, zaproponowałam, że dam jej swój adres, by mogła mi wysłać broszurę. Chodzi mi o to, że to nie ma nic wspólnego z rozmową rozumiesz? „Właśnie kupiliśmy z Rolandem działkę w południowej Francji”. I jaka może być moja reakcja? „Pewnego dnia oświadczył mi się Cary Grant”? Chciałam przez to powiedzieć, że jeśli ktoś ci mówi, że jest mu źle, to ty wtedy mówisz: „Tak, kiedyś sama czułam się okropnie” albo „Ja też czuję się źle”. W ten sposób określacie ten obszar, na którym możecie dokonywać porównań. A jeśli ktoś oświadcza, że ma męża bilionera i że wiodą wspaniałe życie - nie to, że w tej chwili jest im dobrze, ale że tak w ogóle mają cudowne życie - to co ty masz powiedzieć? „Dzisiejsze śniadanie zaszkodziło mi na nerki”? Powiedziałam jej: „Nie rozumiem, o czym ty mówisz”.

- Jednak - zauważyła Lucy - musisz przyznać, że jeśli zamierzasz się sprzedać, to tylko za wysoką cenę. Czasami mam wrażenie, że wystawiam sama siebie na licytację i sprzedaję się temu, kto proponuje najniższą stawkę. - Pociągnęła łyk herbaty. - Może kiedy byłam dzieckiem, ktoś upuścił mnie na ziemię.

- I ciągle tam leżysz - dodała Suzanne. - Nie rozumiem cię. Pozwalasz każdemu, żeby robił z tobą, co zechce, zanedbujesz wszystko, co jest dla ciebie ważne. Oddajesz się całkowicie do ich dyspozycji. Facet powinien być z tobą dla ciebie samej, a nie dlatego, że starasz się być kimś, kim nie jesteś.

- Może otworzyłybyśmy sklep z upominkami? - wtrąciła Lucy.

- Chcesz, żebyśmy otworzyły sklep z upominkami? - zdziwiła się Suzanne. - A co to za okazja? Dzień Nielogicznych Wniosków?

Podano zamówione jedzenie.

- Kiedyś sądziłam, że gdybym jadła bardzo powoli, to bym nie tyła - powiedziała Suzanne, trzymając widelec nad naleśnikiem. -Wiesz, kiedy zje się wszystko łączywie, to na początku czuje się, że zjadło się dużo, ale chwilę później... Och, nieważne. - Zaczęła jeść bardzo szybko.

Lucy roześmiała się.

- Twoja konsekwencja co nieco pozostawia jednak do życzenia - uznała.

Dość szybko uporały się z przyniesionymi potrawami, po czym z powrotem pojechały do domu Suzanne, gdzie zamierzały przedyskutować swoje plany na wieczór. Tak się jakoś złożyło, że nie miały żadnych.

- Dobrze, że to nie weekend - uświadomiła sobie Lucy, powoli wjeżdżając na podjazd. - To byłoby naprawdę tragiczne.

Pod drzwiami Suzanne leżała przesyłka od jej agenta, chyba scenariusz. Lucy ścisnęła rękę Suzanne i powiedziała:

- Dzisiaj jest pierwszy dzień tej innej reszty twojego życia. Weszły do kuchni. Suzanne wyjęła z lodówki dietetyczną colę, a Lucy w tym czasie zadzwoniła do domu, żeby sprawdzić, jakie wiadomości dla niej zostawiono.

- I co ja mam zrobić? - wykrzyknęła gorączkowo. - Co ja mam zrobić? Dzwonił Barry. Chcą, żebym kogoś zastąpiła w programie Richarda Collinsa. Dziś wieczorem! Czy powinnam się zgodzić?

- Nie wiem. A chciałabyś?

- Gdybyś poszła ze mną, to tak - odparła Lucy. - Muszę przyznać, że ostatnio myślałam o tym, żeby nagrać coś dla telewizji. Wydaje mi się, że potrafiłabym być zabawna. Jeśli poszłabyś ze mną za kulisy i stamtąd pokibicowałybyśmy trochę tym, którzy występowałiby przede mną, to chyba udałoby mi się

po prostu wyskoczyć na scenę i... Chodzi o to, że ten facet jest zabawny.

- Słyszałam, że Richard Collins jest zabawny kosztem swoich gości - wtrąciła Suzanne. - Najpierw robi wszystko, żeby wypaść jak najzabawniej, a potem pozwala wykazać się zaproszonym do programu.

- No cóż, czy wiesz, kto bierze udział w tym programie?

- Och, dochodzimy już do tego - roześmiała się Suzanne. - Nie. A kto?

- Larry Walker.

- Larry Walker, ten malarz?

- Tak - potwierdziła Lucy. - To jest nocny program, więc Richard przyprowadza do niego tych wszystkich artystów-dziwaków. Zawsze chciałam poznać Larry'ego Walkera. Uwielbiam jego obrazy. Portia Lamm ma jeden z nich. Ten z księżycem, który oświetla długą nogę hot doga. To się nazywa spontaniczność.

- To byłaby dobra nazwa dla perfum - stwierdziła Suzanne. - A co z włosami i makijażem?

- Powiedzieli, że wszystko zrobią mi na miejscu, w studiu. No chodźże, nie masz dziś wieczorem nic do roboty.

- No cóż, mam coś w rodzaju nieustającej randki z łóżkiem, ale może należałoby to przerwać - powiedziała Suzanne. - W porządku, pójdę.

- Boję się trochę - wyznała Lucy - boję się, że przestanę się kontrolować i zacznę mówić o Bobie.

- O pułkowniku Bobie?

- Tak, obawiam się, że będę mówić o pułkowniku Bobie - potwierdziła Lucy. - Taka ze mnie improwizatorka. A co będzie, jeśli on spowoduje, że poczuję się jak idiotka i po to tylko, żeby się bronić, przyznam się do wszystkiego?

- Czy jesteś pewna, że chcesz wziąć udział w tym programie?

- zapytała Suzanne. - Powinnaś zadzwonić do swojego menedżera i z nim porozmawiać. Zadzwoni do Barry'ego.

- Jesteś taka praktyczna - powiedziała Lucy. - To właściwie dał ci długi pobyt w łóżku - rozbudził w twoim usposobieniu coś silnego, praktycznego i pragmatycznego. Teraz jesteś taka, jakbyś w końcu zaczęła należeć do swoich trzydziestu lat.

- Świetnie - odrzekła Suzanne. - Zadzwoń do Barry'ego.

- Poczekaj chwilę, chcę się tylko upewnić, że cię dobrze rozumiem - odparła Lucy. - Proponujesz, żebym zadzwoniła do Barry'ego?

- Tak, oczywiście, dzwoń do Barry'ego.

Podczas gdy Lucy telefonowała do Barry'ego, Suzanne wyszła do sypialni, żeby przesłuchać taśmę automatycznej sekretarki. Zostawiono trzy wiadomości.

„Śmieszna informacja. Suzanne, tu mówi Mark. Słuchaj, kręcimy film telewizyjny, zdaje się, że jest całkiem w porządku, a ten facet napisał do mnie liścik. Chyba cię zna. W każdym razie, jest to zupełnie zwyczajne i proste podejście do tematu, który dobrze znasz. Nazywa się »Rehab!« i będzie kręcony w plenerze miejskim od października. Posyłam ci scenariusz przez posłańca, dziś wieczorem powinnaś go mieć. Być może ten facet... Próbował wydebić ode mnie twój numer telefonu, ale nie chciałem mu dać. Twierdzi, że cię zna... W każdym razie, scenariusz jest niezły, choć może trochę melodramatyczny i chęć, żebyś zagrała rolę Katie. Dwie role już są obsadzone - Joe gra Bernard Stevens, ten, który grał Skippera w tej drugiej wersji „Gilligan's Island”, a Sama gra Kurt Hampton. To nowy aktor, występował tylko w filmie telewizyjnym „Way Out There”. A zatem obsadzają ten film głównie ludźmi z telewizji. Projekt jest, zdaje się, całkiem wiarygodny i ma zupełnie niezły czas nadawania. Z tego wynika, że jeśli oglądalność będzie dobra, to na majową zmianę programu w telewizji przygotują dalszy ciąg. Nie wiem tylko, jak ci leży temat tego filmu. Zadzwoń do mnie jeszcze dzisiaj. Cześć. 859-236”.

„Cześć, Suzanne, mówi Sid. Słuchaj, pamiętasz może z kliniki tego cwaniaczka, Alexa Danielsa? Tego faceta, który

kiedyś wyszedł i przedawkował, mniej więcej tydzień po moim wyjściu? Zadzwoił do mnie dzisiaj i wymusił na mnie podanie mu twojego numeru. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, choć tak naprawdę jestem pewien, że masz, ale powiedział, że teraz pracuje w Hollywood, więc pomyślałem... Chciałem cię tylko ostrzec, że on pewnie do ciebie zadzwoni i przeprosić cię. Możesz mnie zastać w biurze, 724-3996. Jeśli jesteś wściekła, to bardzo mi przykro, a jeśli nie, to - tak czy inaczej - do mnie zadzwoń".

„Unikasz? Skąd mogłaś? Och, dobra, to przecież tylko żart. Ech, Suzanne, nie wiem, czy mnie pamiętasz, czy nie. Mówi Alex. Byliśmy razem w klinice odwykowej. Alex Daniels. Pamiętasz? W każdym razie ta informacja na taśmie jest świetna. Widzę, że ciągle masz to specyficzne poczucie humoru. Chodzisz jeszcze na te spotkania? Szukałem cię, ale nie widziałem cię na żadnym. No, ale ja głównie chodzę na spotkania kokainistów... W każdym razie... A tak przy okazji, pamiętasz mnie? Dzwonię, bo... Dostałem twój numer od... Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Dostałem go od Sida. W każdym razie, może pamiętasz, jak ci mówiłem, że chyba będę pisać scenariusz? No więc, mówiłem ci, a teraz ten scenariusz jest już przygotowywany do filmowania. Pracowałem nad nim przez rok i to jest już trzecia wersja, gotowy projekt do filmowania. Chciałem się najpierw upewnić, zanim do ciebie zadzwonię. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, iż podczas dyskusji na temat obsady, wymieniałem twoje nazwisko... Jezu, strasznie długo gadam, przepraszam... To ty poradziłaś mi, żebym prowadził dziennik i to naprawdę mi pomogło. W każdym razie, stworzyłem postać wzorowaną luźno na tobie... No, nie tak znowu luźno. Jest aktorką, nazywa się Katie... Mam nadzieję, że nie jesteś wściekła. Mam nadzieję, że ci to pochlebia, bo to była w moim życiu naprawdę wielka rzecz, naprawdę miała na mnie ogromny wpływ... W każdym razie, twój agent powiedział, że dostaniesz

dzisiaj ten scenariusz, i dlatego dzwonię. Sieć telewizyjna z ożywieniem przyjęła informację o obsadzeniu ciebie w tej roli, mimo że polecano do niej jeszcze kilka innych aktorek, o których mówiono, że mają wyższy TVQ. Ale ty, z powodów oczywistych, jesteś do tej roli idealna. Chodzi o to, że napisałem ją dla ciebie, i nie wiem, ale mam nadzieję, że ci się spodoba. Jeśli masz do mnie jakieś pytania, możesz się ze mną porozumieć przez sekretarkę w moim biurze w studiu, albo w moim nowym mieszkaniu w Cen-tury City... Jeśli mnie nie pamiętasz, to wszystko na pewno będzie okropnie żenujące. Och, zaraz, moje numery. Jestem pod numerem 870-6324 lub 965-0372. Przepraszam, że zużyłem aż tyle taśmy. Jestem tym facetem... Bujałem cię na huśtawce. Cześć".

Do pokoju weszła Lucy.

- Barry powiedział...

- Czekał, puszczał ci tylko tę wiadomość - zaczęła Suzanne.

- Idziemy - wpadła jej w słowo Lucy. - Musimy tam być o piętej trzydzieści. Wysyłają samochód.

- W porządku, będziemy. Chcę ci tylko puścić jedną rzecz. - Przewinęła taśmę. - Pamiętasz, jak ci opowiadałam o klinice odwykowej?

- Czy pamiętam, jak mi mówiłaś o klinice odwykowej? - powtórzyła Lucy. - Nie. A byłaś w klinice odwykowej? Nie mówiłaś o tym ani przez chwilę.

- Och, zamknij się na moment - zniecierpliwiała się Suzanne. - Czy wspominałam ci o tym facecie... Był tam taki facet, który wyszedł z kliniki, pojechał do jakiegoś hotelu w dolinie i tak się tam naćpał, że niemal go rozerwało, a potem wrócił. Czy opowiadałam ci o Alexie?

- Co za Alex?

- Dobra, dobra - odparła Suzanne. - Mówiłam ci o tym facecie. Zapomniałaś. Za dużo masz swoich spraw na głowie. Posłuchaj tego. - Puściła wiadomość od Alexa.

- To jakiś kompletny frajer, co? - orzekła Lucy, kiedy taśma się skończyła. - Tak, teraz pamiętam, że o nim słyszałam.

- Muszę powiedzieć, że teraz prezentuje się lepiej - stwierdziła Suzanne. - Nie uwierzyłabyś, jaki on był. - Podniosła paczkę. - Przeczytamy to w samochodzie.

- Kto jeszcze występuje w tym programie? - zapytała Suzanne, kiedy ich limuzyna skierowała się na północ, w stronę Burbank, wielopasmową szosą Hollywood Freeway.

- Larry Walker, jakiś pisarz i jeszcze ktoś, ale nie wiem, kto - odparła Lucy. - Nie powinnam się aż tak denerwować, co? Przecież to nie jest program Carsona.

Suzanne wyciągnęła z torebki scenariusz „Rehab!” i otworzyła go na pierwszej lepszej stronie.

- Sam mówi: „Widziałas tego nowego faceta?” - czytała - a Joe: „Zdaje się, że on coś wziął i jeszcze jest na haju”. Sam mówi: „Twierdzi, że zna Mansona”. A Joe na to: „Do Ucha! To już bezpieczniej jest poza kliniką brać narkotyki, niż...”

- Czy wyglądam na zdenerwowaną? - dopytywała się Lucy. - Nie powinnam występować w tym programie.

- Tu jest scena z Katie - powiedziała Suzanne. - Katie siedzi na wielkiej kanapie w kwiatki i do kogoś wrzeszczy... Wrzeszczy do swojego ojca. „Niestety, muszę ci powiedzieć, co czuję! Uczucia są oznaką słabości, a słabość nie jest dozwolona, co?” Już to widziałam! To było w tym antynarkotycznym filmie, który nam ciągle pokazywali - „Hooked on a Line”. „Traktujesz mnie z wyniosłą pobłażliwością, bo ja coś czuję. Ty jesteś ponad własnymi uczuciami. Tak bardzo ponad”. Chyba miał ze sobą magnetofon. Czy to jest legalne?

- Nie mówmy teraz o tym, dobrze? - poprosiła Lucy. - Porozmawiajmy o Larrym Walkerze i o tym, czy ładnie wyglądam. Czy ta szminka nie jest za ciemna do telewizji?

- Daj popatrzeć - odparła Suzanne. - Nie, nie jest za ciemna, ale trochę ją podsusz. Teraz jest za bardzo błyszcząca. Będzie odbijać światło i twoja twarz stanie się niewidoczna.

- Ciągłe widzę w telewizji kobiety, które mają usta pomalowane błyszcznikiem i nie podoba mi się to - oznajmiła Lucy. - Ale one zawsze go używają, więc może ja też powinnam? Może to przynosi szczęście.

- Ten słynny szczęśliwy błyszcznik do ust - powiedziała Suzanne. - Znakomite.

- Strasznie się cieszę, że ze mną idziesz - stwierdziła Lucy. - Naprawdę dobra z ciebie kumpelka. Może tobie spodoba się Larry Walker.

- On jest artystą, a artyści... To pewnie zabrzmiał jak uogólnienie, ale artyści cierpią za swoją sztukę - odparła Suzanne. - To sprawia, że przy nich jestem spięta.

- Może wyda ci się inteligentny - powiedziała Lucy. - Miej oczy otwarte, chyba żeby spodobał się mnie. Jeśli Larry Walker spodoba się mnie, to nie miej otwartych oczu. Zaciśnij je tak, jak mąż swoją muszlę. Ale w tym programie jest jeszcze trochę innych ludzi, więc może ktoś inny okaże się ciekawy.

- Nie marzę o poznaniu kogokolwiek podczas programu w TV - stwierdziła Suzanne.

- A kimże ty, do licha, jesteś? - zniecierpliwiła się Lucy. - Dla mnie tego typu program to bar dla samotnych sław. Jak myślisz, gdzie poznałam Andrew Keyesa? W telewizji w Chicago, kiedy reklamowałam „Hot Countries”.

- Naprawdę? Nie wiedziałam. Myślałam, że spotkałaś go na przyjęciu, dlatego też chodziłam na wszystkie przyjęcia, szukając mojego Andrew Keyesa.

- Jednak naprawdę jesteś zabawna - powiedziała Lucy. - Nadawałaś się do programu TV w rodzaju talk shows.

- Tego się właśnie boję. Obawiam się, że byłabym dobra i że skończyłabym jako Joanne Worley mojego pokolenia.

- Powinnaś jak najszybciej zapomnieć o tym wszystkim, co powstrzymuje cię od działania - orzekła Lucy. - Właśnie dlatego zagrzebałaś się w łóżku, bo zrobiłaś kiedyś ten jeden film, za

który zapłacili ci trochę za dużo. Teraz możesz sobie pozwolić na siedzenie w łóżku.

- Właściwie nie wiem, dlaczego się sprzecząmy.

- Wcale się nie sprzecząmy. Mówię ci tylko, że od czasu do czasu powinnaś wziąć udział w talk show, bo jesteś zabawna.

- No i co z tego? Czy naprawdę wszyscy muszą wiedzieć, że jestem zabawna? - zezłościła się Suzanne. - Bo w przeciwnym razie przestanę być zabawna?

- Nie, powinnaś trzymać to w wielkiej tajemnicy - Lucy nie mogła odmówić sobie zgrzytliwości - żebyś wiedziała o tym tylko ty i twoja pościel. I twój pilot do telewizora.

- Mój pilot - powiedziała Suzanne - uważa, że jestem niewiarygodnie zabawna. Zapraszał mnie kiedyś do restauracji. Nie chciałam ci o tym mówić.

- Dobra. - Lucy zapaliła jeszcze jednego papierosa. - Więc o czym powinnam mówić? Pomóż mi.

- Przede wszystkim nie bądź pretensjonalna. Czy wiesz o tym, że kiedy się denerwujesz, stajesz się pretensjonalna? Chcesz się w ten sposób obronić.

- Naprawdę? To dziwne. Chyba żartujesz. Zawsze tak uważałaś? Teraz czuję się źle.

- Nie, wcale nie chciałam powiedzieć, że to jest aż takie złe - odparła Suzanne. - Każdy ma swoje dziwactwa. Ty, kiedy jesteś zdenerwowana, cytujesz Williama Somerseta Maughama. Niektórzy się poca.

- Czy powinnam wspomnieć o tym filmie „No Survivors”? Chodzi o to, że będzie wyświetlany dopiero w listopadzie. Ale mogę przecież powiedzieć, jak mi się pracowało z Rolfem Eduardem i że to nie jest przeróbka „Freedom Train”, jak wszyscy sądzą. I co jeszcze?

- Możesz powiedzieć o tych barach dla samotnych sław zaproponowała Suzanne. - Zdradź, dlaczego bierzesz udział w tym programie.

- Naprawdę mogę to zrobić?

- Myślę, że tak - odparła Suzanne. - Tylko nie flirtuj z prowadzącym, dobrze?

- Za kogo ty mnie masz? Za jakąś życiową fajtlapę, czy co? - oburzyła się Lucy. - Nie będę z nim flirtować. Ja w ogóle z facetami nie flirtuję, a tylko pozwalam im flirtować ze mną.

- Naprawdę nie wiem, dlaczego czuję, że z nas dwóch tą praktyczną osobą jestem ja - powiedziała Suzanne. - W swoim własnym życiu zachowuję się jak lala z ptasim mózdzkiem, lecz gdy tylko zacznę zajmować się twoim, mam coś do zrobienia. Sprzątam bałagan, który robisz, idąc przez życie.

- Jeśli już o to chodzi, to mnie się zdaje, że ja jestem przydatna w twoim życiu - zrewanżowała się Lucy. - Dzięki mnie bywasz stanowcza, choć absolutnie taka nie jesteś.

- To jest naprawdę odkrywcze - uznała Suzanne. - Któż mógłby przypuszczać, że odkryjemy to wszystko, jadąc do Burbank na talk show? Czy to jest program z widownią?

- Nie - odparła Lucy. - Dlatego właśnie zgodziłam się wziąć w nim udział. Gdyby tam miała być widownia, już byłoby mi niedobrze. Chociaż... to jeszcze może się stać. W cyklu „Hot Countries” brali mnie do porannych programów bez publiczności i naprawdę okazałam się błyskotliwa.

- Widziałam cię w niektórych z nich, pamiętasz? - powiedziała Suzanne. - Rzeczywiście byłaś doskonała, całkowicie rozluźniona. Wydawało mi się, że oglądam program z komputerem Halem.

- Chyba wtedy, kiedy mówiłam o wykopaniu tunelu, przez który dałoby się uciec z przemysłu rozrywkowego.

- To było bardzo zabawne - przyznała Suzanne. - Powtórz to teraz.

- Nie mogę znowu o tym mówić - odparła Lucy. - To było zaledwie dwa lata temu.

- A kto to oglądał. To była poranna audycja - przypomniała Suzanne.

- Nie mogę tego powtórzyć - upierała się Lucy. - Jeśli już całkiem zabraknie mi pomysłów, to chyba zacznę się wyśmiewać ze swojej wagi.

- Już wiem - powiedziała Suzanne. - Powiedz im, że łapiesz wodę dla Whitney Houston.

- O co ci chodzi?

- Whitney Houston z całą pewnością nie łapie sobie wody sama - wyjaśniła Suzanne. - Musi więc mieć kogoś, kto to za nią robi, a zatem...

- Boże, to jest doskonale - zachwyciła się Lucy. - Naprawdę mogę coś takiego powiedzieć?

- Jasne, że tak. Zrób to - zachęciła Suzanne. - W zakresie pomniejszania własnej wartości służę ci pomocą.

- O, Boże mój, Boże - jęknęła Lucy. - I oto już mamy studio. Szkoda, że nie możesz mi towarzyszyć. Wyszłabyś ze mną na scenę, jakbym była twoją dublerką czy kimś takim i w ogóle byśmy tego nie wyjaśniały.

- Proszę nas wysadzić przy ubieralni B, tu zaraz, na lewo - zwróciła się do kierowcy Suzanne.

- Dobra, teraz ty tu rządysz - powiedziała Lucy. - Serce mi wali jak szalone.

Lucy poszła sobie zrobić fryzurę i makijaż, a tymczasem Suzanne kupiła sobie z automatu dietetyczną colę. Okazało się, że w programie nie wystąpi Larry Walker. To właśnie on odwołał swój przyjazd i Lucy miała zająć jego miejsce. Kiedy wyszła z gotowym makijażem, była tak bardzo skupiona na sobie, że przekazała tę wiadomość Suzanne bez cienia ironii. W tym momencie dobiegły ich dźwięki melodii z programu „The Richard Collins Show”.

- Jak wyglądam? Wszystko w porządku? - spytała Lucy.

- Wyglądasz świetnie - zapewniła Suzanne. - Doskonale.

- Nie będziesz mnie oszukiwać, dobrze? - poprosiła Lucy. - Teraz będziesz mnie oglądać, a potem mi powiesz, jaka byłam.

I nie będziesz bujać, zgoda?

- Nie, nie będę - obiecała Suzanne. - Popatrz, tam stoi całkiem interesujący facet, ten w szarej koszuli. Idź, pogadaj z nim.

- Nie mogę - powiedziała Lucy. - Za bardzo denerwuję się swoim występem. Miałabym do tego wszystkiego zwracać sobie głowę facetem? Nie, nie mogę.

- Och - uśmiechnęła się Suzanne - twoje priorytety trochę się teraz pomieszały, co?

- Przestań się ze mnie naśmiewać - zaproponowała Lucy. - Możesz śmiać się ze mnie przez całą noc, ale nie teraz. To całkowicie niszczy moją świadomość tego, kim jestem.

- No, dobrze już, dobrze. A zatem, kto wychodzi pierwszy? - spytała Suzanne.

- Pierwsza idę ja, potem ten pisarz, a potem chyba Emily Frye, ta aktorka, której udało się dostać rolę w filmie, w którym nie wystąpiła żadna z nas.

- W „Top Priority”? - upewniła się Suzanne.

- Tak.

- Żartujesz. W takim razie postaraj się przejść samą siebie.

- Och, dobra - odparła Lucy. - Tylko bez presji. Tak jest dobrze. Ech, siostró.

W tym momencie podszedł do nich wysoki mężczyzna i powiedział:

- Lucy, teraz ty.

- Zaczekam na ciebie w zielonym pokoju - powiedziała Suzanne.

Suzanne poszła wzdłuż korytarza, skręciła za róg i weszła do zielonego pokoju. Znajdowało się tam kilka osób, między innymi atrakcyjny mężczyzna, który wyglądał na nowojorczyka. Był ubrany w zieloną, sztruksową marynarkę z łątami na łokciach, koszulę w wielobarwną kratę, krawat, dżinsy i całkiem zwyczajne, zamszowe buty. Miał brązowe włosy i nosił okulary. Suzanne pomyślała sobie, że otacza go aura pilności, jeszcze nie stabilności, ale już czegoś bardzo bliskiego. Prawie spokoju. Skłoniła się lekko głową i przeszła obok niego w kierunku

następnej małej kanapy. Usiadła i zaczęła oglądać program na monitorze ustawionym w kącie pokoju.

Sam pokój był bardzo nieciekawym. W jednym rogu znajdowała się wielka lampa, trzy kanapy i kudłaty dywan. Na trzeciej kanapie siedziała kobieta w sukni wyszywanej perłami i piła kawę. Na nogach miała lakierki, do których przyszyte były kokardki koloru brzoskwiнового. Młoda dziewczyna, pewnie córka, trzymała jej torebkę. Dziewczyna miała na sobie różowy sweter, a jej długie blond włosy były puszczone wolno na plecy. Suzanne rzuciła ukradkowe spojrzenie na mężczyznę. To chyba on jest pisarzem, pomyślała.

Z powrotem popatrzyła na monitor. Richard Collins ciągle wygłaszał wstępny monolog. Domniemany pisarz wstał, żeby przynieść sobie kawę, a potem podszedł do niej i usiadł obok.

- Nie jest pani przypadkiem dziewczyną, która grała w „Seventh Tea House”? - zapytał. - Suzanne Vale?

Suzanne, zaskoczona i zmieszana, odpowiedziała:

- Tak.

- To był bardzo dobry film.

- Naprawdę? Dziękuję. Podobał się panu? Lubi pan tego rodzaju filmy?

- Nie, niespecjalnie, ale, tak, ten mi się podobał. Uważam, że był to ciekawie zrobiony film. Zdaję sobie sprawę, jak wiele trudu musieli włożyć aktorzy w swe role. Będzie pani dzisiaj w tym programie?

- Nie - odparła Suzanne, wdzięczna, że to on pokierował ich rozmową. - Moja przyjaciółka Lucy bierze w nim udział. Za chwilę będzie na wizji.

- Czytałem kiedyś wywiad z panią i była pani bardzo zabawna - stwierdził. - Nie pamiętam już, w jakim magazynie.

- Pewnie w „Omni” - odparła. - Kim pan jest?

- Och, przepraszam. Jesse Templeman - przedstawił się.

- Pisarz?

- Och - powiedział zaskoczony - zna pani moją książkę?

- Nie - odrzekła Suzanne. - Wiedziałam, że do programu zaproszono pisarza. Co pan napisał?

- Powieść pod tytułem „The Appetite People”.

- Naprawdę? I reklamuje ją pan.

- O, tak, jestem z niej dumny - przyznał. - Pracowałem nad nią dość długo. Trudno jest znaleźć wydawcę.

- Mieszka pan w Nowym Jorku?

- Właśnie się stamtąd wyprowadziłem - odparł. - Mieszkałem w Nowym Jorku, ale przenieśliśmy się tutaj, ponieważ zakupiono moją książkę, żeby według mej nakręcić film, więc piszę do niego scenariusz. Nie chciałem, żeby to robił ktoś inny. Nie wiem, czy zostanę tutaj, kiedy skończę tę robotę. Hej, proszę spojrzeć - powiedział, wskazując głową na monitor - czy to nie pani przyjaciółka?

- O, Boże - jęknęła Suzanne, uświadomiwszy sobie nagle, że Lucy już od pewnego czasu jest w studio. Przecież obiecała jej, że będzie oglądać jej występ, a potem podzieli się swoją opinią.

- Czy da się włączyć dźwięk? Czy ktoś mógłby włączyć dźwięk? Jesse pochylił się do przodu i przekręcił gałkę. Richard Collins się

zaśmiewał. Lucy mówiła: „Chodzi o to, że do Bandy Dzieciaków jestem za stara, a na własną taśmę z ćwiczeniami za młoda. Więc kim ja właściwie jestem?” - Richard Collins roześmiał się jeszcze głośniejsze.

- Jest bardzo zabawna - powiedział Jesse.

- Tak, jest śmieszna - odparła Suzanne. - Bardzo się denerwowała.

- Ja też - wyznał. - Głupio się czuję, biorąc udział w takim programie, ale moi wydawcy... Sama pani wie. Czy pani gdzieś tutaj mieszka? Wydaje mi się, że tak.

- Tak - przyznała Suzanne.

- Cóż - zaczął Jesse - może byśmy... Nie chciałbym wyjść na aroganta, ale może zjedlibyśmy razem lunch albo coś innego? A może gdzieś razem poszli? Jak pani odpoczywa?

- Ja nie odpoczywam - odrzekła Suzanne. - Umiejętność odpoczywania na razie jest dla mnie czymś w rodzaju celu terapeutycznego.

- Rozumiem.

- Ze wszystkiego, co robię, najbardziej chyba przypomina odpoczynek jeżdżenie samochodem dookoła i słuchanie głośnej muzyki.

- Więc może byśmy się kiedyś wybrali na długą i głośną przejażdżkę? - zaproponował.

Suzanne zerknęła na monitor i zobaczyła, że Lucy już nie ma w studiu.

- O, mój Boże, muszę odnaleźć koleżankę - powiedziała. - Ona mnie zabije. - Pospiesznie nabazgrała numer telefonu na klapce od koperty, w której dostała scenariusz „Rehab!”, oddała ją i podała Jesse. - To jest mój numer. Powodzenia w programie.

- Dzięki - odparł Jesse. - Kiedyś do pani zadzwonię. Suzanne pędem minęła wysokiego mężczyznę, który właśnie przyszedł po Jesse i zobaczyła, że Lucy biegnie do niej przez korytarz.

- Słyszałaś, co powiedziałam o ojcu? - zapytała histerycznie. - Zabije mnie. Nigdy już się do mnie nie odezwie.

- Ależ skąd, kochanie, byłaś świetna - odparła uspokajająco Suzanne. - Byłaś śmieszna, mówiąc o tej Bandzie Dzieciaków...

- Miałam szminkę na zębach?

- Byłaś świetna - powtórzyła Suzanne. - Ale co powiedziałaś o ojcu?

- Zdaje się, że mówiłaś przed chwilą, że to było świetne - zauważyła Lucy. - Czy na pewno nastawiłaś na właściwy kanał?

- Byłaś świetna - uspokoiła ją Suzanne. - Widziałam wszystko, oprócz tego fragmentu. Przez chwilkę się zagapiłam.

- Na co? - dopytywała się Lucy.

- Rozmawiałam z facetem - odrzekła Suzanne. - Z tym pisarzem.

- Czy uważał, że wyglądałam ładnie? - zapytała Lucy. Suzanne kiwnęła głową. - I nie słyszałaś tego o ojcu? Wiesz, co o nim powiedziałam? Że zawsze był wielkim i tłustym wielorybem i że wcale nie jestem pewna, czy naprawdę był moim ojcem. Nazwałam go domniemanym ojcem.

- No i co? - odparła Suzanne. - Ma chyba poczucie humoru?

- Mój ojciec? Ten koszmarny republikanin?

- Liczysz na jakiś spadek?

- Przestań się z tego wyśmiewać - powiedziała Lucy. - Albo, dobrze, śmieję się. Program już się skończył. Teraz możesz się ze mnie wyśmiewać. Nie uważasz więc, że wyszłam na dziwkę, kiedy oświadczyłam, że występuję w talk shows, by poznawać facetów?

- Żeby ich poznawać, to na pewno nie - odparła Suzanne. - Nie powiedziałaś chyba, że po to, by obciągnąć im fiuta?

- Byłaś zajęta krążeniem po zielonym pokoju... - zaczęła Lucy.

- Wcale nie krążyłam po... Rozmawiałam tylko z... Przecież sama powiedziałaś mi, żebym to zrobiła.

- Nie mówiłam ci, żebyś to robiła właśnie wtedy, gdy będę na ekranie.

- Ach, tak, uważasz, że moje gadanie z facetami zostało wpisane w harmonogram twojej kariery? Jeszcze jedno ci powiem. Wyglądałaś wspaniale, a ja dałam temu facetowi numer telefonu. To był przełomowy wieczór dla nas obu. Teraz możemy pójść na frytki i na pączki i naprawdę zacząć decydować o własnym życiu. Prowadzić je, a nie dawać mu się prowadzić.

Wyszły z budynku telewizji i wsiadły do limuzyny.

- Jak on się nazywa? - zapytała Lucy, sadowiąc się wygodnie. Przez całą drogę powrotną do Hollywood Suzanne opowiadała o Jesse i przez cały czas myślała: Nigdy do mnie nie zadzwoni. A jeśli zadzwoni, to co będzie, gdy okaże się mordercą?

WYPADEK Z RANDKĄ

Suzanne śniło się, że - uczepiona okna rękami - zwisa na zewnątrz pędzącego samochodu, a jej włosy falują na wietrze. Jechała ulicą i leciała w powietrzu jednocześnie. To było straszne, przerażające przeżycie, ale kiedy tak gnała, dalej i dalej, stawało się coraz bardziej radosne. Czowała się tak, jakby przeleciała przez jakiś bardzo niebezpieczny obszar i z okrzykiem „Wiuuu!” wpadła w całkiem inny wymiar - w przestrzeń wypełnioną czymś w rodzaju nadzienia śmietankowego i wtedy właśnie się obudziła. Serce biło jej bardzo szybko. Miała wrażenie, że naprawdę krzyczała „Wiuuu!”, ale Jesse spał obok niej mocno, więc uznała, że jednak się pomyliła.

Żyli ze sobą już ponad rok. Ponieważ Jesse zatrzymał swoje mieszkanie, Suzanne ciągle była zaskoczona, gdy rano znajdowała go przy sobie. Lubiła przyglądać mu się, kiedy spał - bez okularów był jakiś taki bezbronny - lecz mogła to robić wyłącznie podczas weekendów. W ciągu tygodnia Jesse wstawał o siódmej, żeby pisać. Spójrz na niego, pomyślała. Wygląda jak ktoś, kto mógłby podejść do ciebie na lotnisku i powiedzieć: „Czy mogłaby pani zwrócić uwagę na mój bagaż?”

Ciągle był dla niej tajemnicą. Wiedziała, że zależy jej na nim. Podczas ostatniej terapii wymyśliła dla Normy następujące porównanie: on był rannym żołnierzem konfederacji, a ona jego słodką, jankeską dziewczyną, która znalazła go na własnym trawniku - ale zastanawiała się dlaczego. Jakby wątpiła w swój własny osąd, co zresztą naprawdę miało miejsce. Przez całe lata rozsądek pozwalał jej brać narkotyki. Czemuż więc teraz miałyby uważać, że jej

zdolność do logicznego myślenia tak znacznie się poprawiła w ciągu zaledwie dwóch lat?

Co ona w nim widziała? Powiedział, że lubi Steely Dana i czarny kolor. Ona także. Ale co to jej dawało? Pił czarną kawę,

czasami z odrobiną śmietanki. Co to mogło oznaczać? Poszukując wskazówek, które pomogłyby jej zrozumieć, kim on jest i czego od niej oczekuje, czuła się jak śmieciarz penetrujący pojemniki, w nadziei, że znajdzie w nich coś wartościowego. Nie miała pojęcia, czy gdyby wiedziała, czego od niej chce, dałaby mu to czy nie.

Pytała samą siebie, czy Jesse jest dobrym człowiekiem. Pewnie tak, gdyż czasami zanudzał ją na śmierć. „Uważasz, że jeśli w kontakcie z mężczyzną nic nie przebiega gwałtownie, to w ogóle nic się nie dzieje - powiedziała jej Norma. - Chodzi o to, żeby starzeć się razem z mężczyznami, a nie z ich powodu. Spróbuj udawać, że to jest kolejne aktorskie zadanie. Zachowuj się jak ktoś, kto znajduje przyjemność w spokoju, jaki daje dojrzały związek z mężczyzną. Zachowuj się normalnie i sprawdź, czy nie pojawi się w końcu jakieś uczucie normalności”. Normalnie. Ludzie nie bywają już dużo bardziej normalni niż my, pomyślała. Jesteśmy prototypami nowej odmiany normalnych ludzi, którzy zostali stworzeni po to, żeby przetrzeć szlak do lat dziewięćdziesiątych. Uświadomiła sobie nagle, że ona i Jesse stają się coraz bardziej poważni. Poważni - nienawidziła dźwięku tego słowa. „Żartując, doprowadziłam do tego, że znalazłam się w bardzo poważnej sytuacji” - powiedziała kiedyś do Lucy.

„Wróciłaś do normalności przez Kambodżę. Wyjątkowo okrężną drogą - odparła Lucy. - Będiesz ją zatem wyżej cenić. To tak, jakbyś złożyła podanie o dziwaczne życie i przypadkiem dostała normalne”.

Lucy lubiła Jesse. Uważała, że jest dobry dla Suzanne i że ludzie będą ją traktować poważniej, kiedy się dowiedzą, że chodzi z pisarzem. Przez pewien czas myślała nawet o znalezieniu sobie pisarza, ale takiego, który byłby - jak to wyraziła w rozmowie z Suzanne - chociaż odrobinę sławny, jak na przykład John Irving czy Philip Roth.

A potem poznała Lowella Stephensona. Kiedy film „No Survivors” wszedł na ekrany, Lucy zdobyła dużą popularność, więc gdy na Boże Narodzenie pojechała do Seattle przeprosić ojca za to, co powiedziała o nim w programie Richarda Collinsa, Lowell - szef New Age Studios - rozpoznał ją w samolocie i zaczął z nią rozmawiać. Od tej pory spotykała się z nim dość regularnie.

Czasami wychodzili gdzieś w czwórkę. Lowell nawet kiedyś ugotował coś dla wszystkich.

- Teraz jest dokładnie tak, jak lubię - szepnęła Lucy do Suzanne, podczas gdy Lowell był zajęty doprawianiem sosu do sałatki. - Utrzymuje i żywi - i to wszystko w jednej osobie.

- Jak to się stało, że w końcu znalazłyśmy sobie kogoś do pary? - zapytała Suzanne, kiedy przyglądały się, jak Lowell demonstruje Jesse swój sposób smażenia krewetek.

- Potraktuj to jako eksperyment - zaproponowała Lucy.

- Czy któreś z nas ma raka? - zapytała Suzanne Jesse, kiedy siedzieli w jej domu, gadając bez przerwy od ośmiu godzin.

- Słucham?

- Tak tylko się zastanawiam. Spędzamy razem tyle czasu, jakbyś miał dwunastogodzinne pozwolenie zejścia na ląd albo jakbyśmy wkuwali do egzaminu państwowego na temat siebie nawzajem, albo...

- Rak - powiedział, kiwając głową. - Nie użyłbym takiego porównania.

Po piątym spotkaniu nie zatelefonował przez sześć dni. Suzanne była zaszokowana. Zapomniała nawet, jak on wygląda.

- Jest dla mnie jak dym papierosowy w pokoju - powiedziała do Lucy. - Dym papierosowy w pokoju - powtórzyła. - Zaczęła myśleć o nim jak o kolejnym facecie, którego lubiła i który już nigdy więcej nie zadzwoni.

- Co się stało? - zapytała ją Michelle.

- Miałam wypadek. Z randką - oznajmiła dramatycznie. - Straszliwy, okropny wypadek z randką.

Wyrażenie to stało się jej ulubionym zwrotem.

- Zapytaj mnie, co się stało - zwracała się do każdego, z kim rozmawiała. A potem on zatelefonował i Suzanne znowu była zaszokowana.

- Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś do mnie zadzwonisz - powiedziała mu.

- Dlaczego? - zapytał. - Przecież uprzedzałem cię, że lecę do Nowego Jorku i wrócę w poniedziałek, czyli dzisiaj.

Zapomniała o tym, ale z powodu tej pomyłki Jesse stał się dla niej bardziej wyrazisty, bardziej prawdziwy. Przeżywali kryzys - z pewnością bardziej w wyobraźni Suzanne niż gdziekolwiek indziej - ale jednak przeżywali i przetrzymali go. Oboje przeżyli ten wypadek z randką i na szóstym spotkaniu kochali się. Był to niesamowity, nieskończenie długi seks. Suzanne nazwała go Wielkim Seksem w Stylu Kabuki*.

- To było interesujące - zauważył Jesse w przerwie na odpoczynek, a potem powiedział: - Dziwnie to zabrzmiało. Po prostu nie chciałem cię przestraszyć przesadną namiętnością. - Suzanne podziękowała mu i przez chwilę zastanawiała się, czy ona także powinna mu wyznać, że kochanie się z nim jest interesujące.

Zamiast tego oznajmiła:

- Pewnego dnia zadzwoniłam do kogoś, a automatyczna sekretarka podała mi numer telefonu w jego samochodzie. Zostawiłam mu swój numer domowy i dodałam, że gdyby mnie tam nie zastał, to najprawdopodobniej będzie mógł mnie znaleźć w moim worku do odkurzacza.

- Uważałam bowiem, że dzwonienie do kogoś do samochodu jest czymś w rodzaju porażki - dokończył Jesse, powstrzymując ziewnięcie.

- Zostaniesz na noc? - zapytała Suzanne ze ściśniętym sercem.

* Kabuki - tradycyjny japoński dramat ludowy ze stylizowanymi śpiewami i tańcami.

- Właściwie powinienem pójść. Rano piszę, ale...
- W porządku - wtrąciła spieszenie. - Dobrze - powtórzyła, tym razem znacznie ciszej.
- Chciałbym jednak zostać - przyznał, trącając ją nosem z czułością. - Jesteś taka spokojna, taka cicha.
- Jestem spokojnym kawałkiem ciała, nieruchomym jak głaz stwierdziła markotnie.
- Wyjęłaś mi to z ust - zauważył z ironią. - Odwrócił ją do siebie i oparł jej głowę na swoim ramieniu. - Co się stało?
- Nic.
- Które nic? - zapytał. Suzanne szepnęła:
- Zostawiasz mnie.
- Nie zostawiam cię. Wychodzę, żeby pisać. Muszę...
- W porządku - westchnęła. - Przejdzie mi. Spójrz, już mi przechodzi. - Przez chwilę milczała, a potem powiedziała: - Moja ręka na twojej piersi wygląda jak zrobiona z ciała muszelka na włochatej plaży.
- Masz budzik? - zapytał Jesse zmęczonym głosem.

Wiązała się poprzednio z różnymi ludźmi. A raczej, ludzie wiązali się z nią. W końcu zawsze zaczynała brać narkotyki. Istnieją tylko dwie role, które można grać przy kimś, kto bierze narkotyki -można brać je razem z nim albo się temu sprzeciwiać. Albo grać obie te role jednocześnie. W każdym przypadku taki związek w końcu kręcił się tylko wokół narkotyków i jego kres był tylko kwestią czasu.

Jesse spróbował koki dwa razy, ale czegoś mu w niej brakowało. Sporadycznie palił trawkę, jednak nigdy przy Suzanne. Jak dotąd jedynym mężczyzną w jej życiu, który nie był narkomanem, ściślej nie używał narkotyków, gdy spotykał się z Suzanne, był Jack Burroughs. Suzanne słyszała niedawno, że po sukcesie „Ziz! II” Jack znowu zaczął brać krak. Ale przecież to mogła być tylko plotka.

Narastające w niej fale uczuć przerażały ją. Zwalczała czułość, powstrzymywała ją jak mdłości. Kiedy w końcu zaczęła prawić Jesse miłe słowa, miała taką minę, jakby właśnie przełykała jakieś obrzydliwe lekarstwo na kaszel. To było jak kara, która przyjmowała postać nagrody.

Wyjaśniła mu, że nienawidzi słowa „miłość” i zawsze, kiedy je słyszy, czuje się jakoś zobowiązana.

- Czemu mówisz mu takie rzeczy? - zapytała ją Norma. - Być może pewnego dnia będziesz chciała usłyszeć od niego to okropne wyrażenie: Kocham cię.

Ku zaskoczeniu Suzanne taki dzień nadszedł. Zaczęła wpatrywać się w jego usta i wyobrażać sobie, jak by wyglądały, gdyby kiedykolwiek wypowiedział te dwa sentymentalne słowa. Pewnej nocy, kiedy się całowali, Jesse spojrzął jej w oczy. Po tej króciutkiej chwili odchrząknął i nieśmiało popatrzył gdzieś w dal.

- Nie zamierzałem wcale powiedzieć: Kocham cię. Przysięgam. Wiem, że to tak wyglądało, ale naprawdę nie zamierzałem.

- Jest inteligentny - oceniła później Lucy. - Przyznałaś się, że przeraża cię, kiedy słyszysz te wszystkie bzdurne, romantyczne, wielkie słowa, więc teraz... - Wzruszyła ramionami. - Ty mu to powiedz. Przecież go kochasz albo przynajmniej żywisz dla niego mnóstwo radosnych, dobrych uczuć.

- Naprawdę uważasz, że powinnam mu to powiedzieć? - zapytała Suzanne.

- Możesz jeszcze zostawić mu karteczkę.

- A co będzie, gdy pokaże ją ludziom i będą się ze mnie śmiać?

Na samym początku ich znajomości nadszedł zdecydowanie nieprzyjemny okres. Wszystko, co Jesse robił, nagle zaczęło Suzanne drażnić. Z całą pewnością wiedziała, że Jesse bardzo ją lubi i właśnie od tej chwili, kiedy ją polubił, zaczął ją irytować.

Panował wtedy niepodzielnie Śpiący Olbrzym. Jesse w ogóle nie poruszał głową. Chodził cicho jak włamywacz. Ciągłe dotykał włosów i żuł za dużo gumy. Tylko pedant mógł być tak elegancki. Nie był znowu aż tak elegancki. Dlaczego właściwie był tak elegancki? Kim on w końcu był? I dlaczego był wolny? Kto go nasłał na Hollywood? Rosjanie? Tak, to było to. Żeby spenetrować Hollywood poprzez Suzanne Vale, Rosjanie tak wyćwiczyli Jesse, że na randce był uosobieniem wspaniałego mężczyzny. Doskonale przejrzała ich grę. Myśleli, że jest głupia? Chyba na jakiś czas powinni się trochę od siebie odsunąć. Może trzeba by zacząć widywać innych ludzi? Pewnie byli gdzieś jacyś lepsi ludzie.

Tego rodzaju myśli nieustannie przebiegały jej przez głowę. Starła się nie dopuszczać do głosu tej wyniszczającej ją pogardy. Zaciskała mocno szczęki, a wtedy wszystko się uciszało. Nie zgadzała się na to, żeby zwyciężył Śpiący Olbrzym. Jesse był naprawdę sympatycznym facetem. Nie zasługiwał na te wszystkie okropności, które się w niej kryły. Nie poddawała się. Po pewnym czasie takie uczucia zaczęły się pojawiać coraz rzadziej, jak bóle porodowe przeżywane od końca - od porodu do pierwszego skurczu.

Kiedyś poprosiła matkę o radę na temat związków z mężczyznami, na co Doris odpowiedziała: „Dla jakiego wieku?”

Suzanne miała ochotę podchodzić do par na ulicy, żeby się dowiedzieć, na czym polega ich związek, jakby to w jakiś sposób mogło jej pomóc określić, jak się rozwija jej własny. W pewien czwartek spędziła całe popołudnie w księgarni Bodhi Tree. Odkryła dwie rzeczy: z partnerami należy rozmawiać otwarcie, a czerwone mięso szkodzi na wszystko, ze związkami międzyludzkimi łącznie.

Znalazła także książkę dotyczącą trendu w światowej historii migracji na zachód. Z całej tej teorii wynikało, że w końcu - pewnie tuż po jej śmierci - wszyscy intelektualiści przeprowadzą się do Los Angeles. Wyobraziła sobie, że

przybędą na jej pogrzeb i będą mówić, jak bardzo żałują, że nie zjawili się tu troszeczkę wcześniej, ponieważ mają jej do przekazania pewną bardzo doniosłą prawdę, którą - według nich - powinna zabrać ze sobą w zaświaty. Aktualnie jednak, pomyślała, intelektualiści byli chyba tylko w Nowym Jorku, a tutaj, w Los Angeles, znajdowali się wyłącznie ci, których oni chcieli pieprzyć.

- Uważam, że pasujemy do siebie, jeśli chodzi o sposób całowania się - oznajmił Jesse pewnego popołudnia, odgarniając jej włosy z czoła.

- Masz bardzo miękkie usta - stwierdziła ponuro. - Jak myślisz, czemu tak jest?

- Może dlatego, że żuję dużo gumy - powiedział. Dziwne, ale śpiący Olbrym milczał. - Wszystko mi się w tobie podoba - dodał Jesse, głaszcząc ją po głowie. - I to cię pewnie dreczy, prawda?

- Nie - odparła, uśmiechając się słodko - ponieważ ci nie wierzę.

Był podejrzanie miły. Pewnie coś ukrywał.

- Odczep się od niego - ostrzegęła ją Norma. - Jest świętny. To ty jesteś dziwna. Po prostu nie wiesz, co masz robić, gdy nie ma żadnych problemów. Szukasz dziury w całym. Przestań się dąsać.

- A czy ja się dąsam?

- Obrażasz się, bo straciłaś swoją ulubioną zabawkę - ciągnęła Norma - wybuchowego mężczyznę. Teraz masz miłego, delikatnego człowieka, a chcesz, żeby wybuchał.

- Nie chcę...

- Masz normalny związek. Nie odbierasz go normalnie, ale to będzie kolejny krok.

- Już się nie zastanawiam, czy jest mordercą - odparła Suzanne.

- To bardzo dobrze.

- Teraz sądzę, że jest narkomanem.

Jesse robił coś, co Suzanne zawsze wiązała z wyobrażeniem idealnego partnera - czytał gazetę. Całą gazetę. Był zdumiony, że ona nigdy tego nie robi.

- To męska rzecz - powiedziała, próbując się wytłumaczyć.

- Naprawdę nie sędzę, by był to obszar zarezerwowany wyłącznie dla jednej płci.

- Wobec tego, powiedz mi, co piszą w gazecie - zaproponowała. - Tak, jakby to były plotki. - Czasami to robił. Opowiadał jej, co działo się w świecie, do którego należał, a który ona tylko czasami odwiedzała.

Odkładała przeczytanie powieści Jesse na - jakieś bliżej nie określone - dalsze czasy, aż w końcu Lucy zaproponowała, że ona przeczyta, żeby zbadać grunt. Kiedy skończyła, nie kryła entuzjazmu.

- Jest naprawdę dobra. No, naprzód, Suzanne, zacznij go wreszcie lubić - powiedziała. - To książka o bandzie maniaków - a więc coś, co jest ci bliskie. Jest naprawdę dowcipna, przeczytaj ją.

- Czy jest inteligentna?

- Inteligentna? Tak, inteligentna i zabawna, ma wszystko, co trzeba - odparła Lucy. - Można by z tego nawet zrobić dobry film. Gotowa bym była poprosić cię, żebyś dodatkowo się z nim przespała, aby dał mi rolę Leslie.

Przeczytała więc książkę Jesse i pomyślała z ulgą, że jest dobra. Wydawało się, że spodobała się nawet Śpiącemu Olbrzymowi oprócz może niektórych scen erotycznych.

Jeśli chodzi o karierę, Suzanne powoli się uspokajała. W ubiegłym roku pracowała trzy razy. Zagrała malutką rolę w filmie „Mood Swing”, wystąpiła kilka razy w sztuce „I'll Buy You a Cherimoya*” w teatrze w Los Angeles oraz otrzymała jedną z równorzędnych ról w okropnym filmie telewizyjnym „Cut to the Chase”, w którym grał także były kochanek Lucy, Scott Hastings. (Żadne z nich nigdy się nie przyznało, że zna Lucy.) Czuła, że przemysł rozrywkowy nie jest teraz jej całym

życiem. Stawał się częścią jej życia. Ostatnio zdarzały się nawet takie chwile, że żałowała, iż w końcu jednak nie studiowała psychologii.

Niedawno, na pogrzebie Wandy, widziała Alexa. Przyjechała z Jesse, a Alex z Amy Baxter, gwiazdą komedii sytuacyjnej „Honey, I'm Home!”, która grała rolę Katie w „Rehab!”. Plotka głosiła, że Amy zakochała się w Alexie podczas kręcenia tego filmu i porzuciła swojego chłopaka, żeby się do niego przeprowadzić. Stała teraz obok rodziny Wandy i płakała, a Suzanne zastanawiała się, czy w ogóle знаła Wandę. W uroczystości brali także udział Stan i Julie razem z Carlem (który był teraz terapeutą w ośrodku przejściowym), Carol (która była teraz w ciąży) i Sidem (który teraz był na diecie). Była to naprawdę dziwaczna scenka.

Po ceremonii, kiedy wszyscy szli już do samochodów, Suzanne i Alex odłączyli się na chwilę od swoich partnerów. Ona pogratulowała mu pracy w sieci telewizyjnej i nominacji do Emmy*, o której wspomniał kiedyś Jesse.

- Posłuchaj - powiedział Alex żarliwie - błagałem, żeby cię wzięli do roli Katie, ale... - wzruszył ramionami. - Powiedzieli, że masz za niski iloraz inteligencji.

- Daj spokój - odparła Suzanne. - Amy była doskonała, taka wyciszona.

- A w scenie z huśtawką, czyż nie była świetna? - entuzjasmował się Alex, patrząc, jak Amy rozmawia z Jesse i jednocześnie poprawia sobie makijaż.

- Wspaniała - zgodziła się Suzanne. Dołączyli do nich Carl i Sid.

* Cherimoya (Anona Cherimolia) - małe, rosnące w Peru, drzewo o słodko pachnących, zielonkawych kwiatach i bardzo smacznych owocach.

* Emmy - (telewizyjny Oscar) - nagroda w formie statuetki, przyznawana corocznie w USA za wybitne osiągnięcia w twórczości telewizyjnej.

- A wy, dzieciaki, macie ochotę na spotkanie? - zapytał Carl. -
Idziemy do „Gardnera” na jedenastą trzydzieści.

- Czy któryś z was odwiezie mnie potem do domu, jeśli Jesse
mnie podrzuci?

- Jasne - odparł Sid.

- Ja naprawdę nie mogę przyjść - oznajmił Alex. - Mamy z
Amy spotkanie w interesach - w „Trader Vic” o pierwszej
piętnaście, żeby przedyskutować „Beyond Rehab!”.

- Człowieku, nie podniecaj się tak - rzucił Carl. - Ja też żyję z
tego, że kiedyś byłem ćpunem.

Suzanne i Jesse wyjechali z cmentarza za samochodem Carla,
który miał na zderzaku nalepkę: „Byłe ćpuny lepiej obciągają
fiuta*”. Suzanne obejrzała się i zobaczyła na parkingu Alexa,
który w podnieceniu rozmawiał z mężem Carol, Robem.
Suzanne wiedziała, że Rob właśnie podpisał umowę z Lowellem
Stephensonem.

- Pewnie właśnie dyskutuje na temat pomysłu na nowy
scenariusz, tym razem o modelce, która przedawkowała w
Hollywood - powiedziała.

- Tak, który wzniesie Amy na szczyty kariery - dodał Jesse.

Na samym początku ich znajomości Suzanne nie mogła
zapamiętać niczego, co mówił Jesse. Zastanawiała się, czy
kiedykolwiek, a jeśli tak, to kiedy, jego słowa przylgną do niej i
jakie to będzie zdanie. A potem, w ciągu tygodnia, była w stanie
przypomnieć sobie aż trzy wypowiedziane przez niego zdania.
Zupełnie przypadkowe, ale przecież od czegoś trzeba zacząć.
Pierwsze z nich brzmiało: „W piątek rozmawiałem z Royem.
Mówiłem ci o Royu, prawda?”; następne: „Codziennie
przebiegam siedem i pół kilometra”. Potem było coś o hot
dogach z przyprawą chilli, ale dokładnie tego nie pamiętała.

* Byłe ćpuny... - nieprzetłumaczalna gra słów: ang. „Ex-heads
give better head”, gdzie „head” od „acidhead” - naćpany i „give
head” - ssać członek.

Podobnie wiele wysiłku kosztowało ją zapamiętanie jego wyglądu. Miewała nagle olśnienia, nagle wyobrażała sobie jego twarz, kiedy stała na światłach albo siedziała w wannie.

Czasami przeszkadzał jej widok jego stóp albo błysk jego okularów, odbijających światło, które padło na nie pod określonym kątem, albo też uczucie, którego doznawała, słysząc jak używa słowa, którego ona nie rozumie. Z drugiej strony czuła delikatny, jemu tylko właściwy, zapach, słuchała, jak czyta jej coś o jakichś rozruchach w Afryce Południowej, albo patrzyła, jak pochylony nad maszyną do pisania, poprawia jakiś błąd. Wtedy myślała: Jest mój. Mam go na własność. Bywało też, w jakiejś zdrowszej części swojego jestestwa, odnajdywała to staromodne poczucie przynależności, które ją wzruszało i żenowało jednocześnie. Czuła się tak, jakby była tą częścią obrazu Normana Rockwella, która pyta: Co jest z tym obrazem nie w porządku?

Nie była całkiem pewna, kiedy zaczął nazywać ją Gail. Chyba zaraz po tym, gdy się do niej wprowadził. Ona też zwracała się do niego na wiele różnych sposobów, począwszy od Joseph, a skończywszy na „sir”. Oboje wiedzieli, że używa tylu imion, bo on znaczył dla niej wiele.

Czasami przychodziła do niego, żeby porozmawiać na temat pojęcia szczęścia.

- Pamiętasz, jak w filmie „Ethan Frome” ci ludzie jeździli na sankach w blasku księżyca? Jak w tym połyskującym śniegu zanosili się od śmiechu? Myślę, że to właśnie jest szczęście.

Jesse zdjął okulary i przetarł oczy.

- Bardziej niż czymkolwiek innym jest ono chyba po prostu brakiem bólu czy troski. - Podniósł wzrok znad biurka i popatrzył na Suzanne z ukosa. - Co Lucy sądzi na ten temat? Pytałaś ją?

- Ona powiedziała, że szczęście oznacza członek wielkości kosza na śmieci, co z trudem można określić jako brak bólu, no chyba że ktoś lubi mieć zapalenie pęcherza.

- Co też ona zapewne uwielbia - dodał Jesse. - A więc Lowell ma członek wielkości kosza na śmieci.

- W jaki sposób doszliśmy do takiego tematu?

- Od szczęścia - odparł. Okulary znowu tkwiły na jego nosie, a ręce miał skrzyżowane na piersi. - Jadłaś coś dzisiaj?

- Tak mi się wydaje - odparła mętnie.

- I gdybyś coś zjadła, to pewnie byłabyś szczęśliwsza? - zapytał.

- Być może.

- Przynieść ci kanapkę z masłem orzechowym? Suzanne uśmiechnęła się. Może i była głodna.

Pewnego ranka, kiedy jechała do sali gimnastycznej, nagle ogarnęło ją przerażenie. Zaraz umrę, pomyślała. Zostanę zabita w wypadku samochodowym. Zaciśnęła ręce na kierownicy i zwolniła do dopuszczalnej prędkości.

Była przekonana, że umrze właśnie teraz, kiedy spotkało ją coś przyjemnego i trwałego. Kiedyś przyspieszała swoją śmierć, nadużywając środków chemicznych, a teraz bała się o życie, bo miała powód, by żyć. Przez całe lata czuła na karku gorący oddech ironii. Teraz oddychała ironią, niewidzialną ironią a zawarty w tej ironii strach unosił się w powietrzu, ładował atmosferę jakąś przerażającą elektrycznością, wdzierając się do jej płuc jak zimny front atmosferyczny.

Kiedyś w rozmowie z Lucy nonszalancko przepowiedziała własną śmierć, więc gdyby teraz naprawdę umarła, przynajmniej ktoś bliski wiedziałby, że to przeczuwała. Nie chciała, by myślano, że należy do tych, którzy umierają nieświadomie. Wyobrażała sobie, że słyszy, jak Lucy opowiada ludziom: „Przewidziała to. Skądś

o tym wiedziała. Co za talent”.

Miała wrażenie, że spogląda na niego znad przepaści i że została tam przeniesiona. Jednak zdawała sobie sprawę, że zawsze czuła w ten sposób. Kiedyś myślała, że czuje tak

dlatego, że to jest prawda. Teraz zrozumiała, że czuje tak, ponieważ jest sobą.

Ostrożnie wysunęła się z łóżka, żeby nie przeszkadzać Jesse. Poruszył się i otworzył oczy.

- Mówiłem coś? - zapytał nieprzytomnie.

- Dusisz mnie - odparła czule. Kiedy szła do łazienki, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Przyrządzi dla Jesse wafle naleśnikowe. Wafle i bułkę z bekonem i... To pewnie wystarczy. Och,

i jeszcze sok pomarańczowy, i kawę. Kawę z cynamonem.

Może jednak nie powinna robić wafli. Jej skłonności do błazenady miały zwyczaj wystawiania swych obrzydliwych łbów właśnie podczas robienia wafli. Chciała jednak zrobić dla Jesse coś miłego. Najpierw wgąpiła się w niego przez pół godziny, a potem, w pewnym sensie, obudziła go... Wziąwszy to wszystko pod uwagę, czuła, że winna mu jest te wafle. W tej sytuacji tylko taki ogromny gest w postaci przygotowania wafli mógłby wystarczyć. Pełna entuzjazmu, wywołanego tak śmiałym postanowieniem, uśmiechnęła się do swoich myśli.

Dwadzieścia minut później, w drodze do szpitala, Jesse spytał:

- Ale dlaczego wafle? Ja nawet nie bardzo lubię wafle.

- Daj spokój - powiedziała Suzanne ze stoickim spokojem - już zaczynają mi wyskakiwać pęcherze. - Lewą dłoń trzymała w górze, przez wierzchnią część palców, tam gdzie wylądowała metalowa płyta do smażenia wafli, biegła czerwona pręga.

Jesse z zakłopotaniem potrzęsął głową i poklepał Suzanne po głowie.

- Czy to nie jest przypadkiem to pogotowie, gdzie... dobrze cię znają?

- Tak - potaknęła Suzanne, uśmiechając się leciutko. - Może założyć tutaj prywatne konto?

- Przynajmniej powinni dać ci rabat - stwierdził, skręcając na południe, w stronę La Cienega. - Co to było ostatnim razem? Pokaşanie przez psa?

- Tak, pokaşanie przez psa - odparła radoşnie. - Chyba że wliczysz jeszcze ten raz, kiedy musiałam odprowadzić Lucy, żeby jej wyjęto spiralę.

Wyciągnęła rękę w jego kierunku.

- To boli - stwierdziła z pewnym zaskoczeniem w głosie.

- Jesteş dzielną dziewczyną.

- Duszą - poprawiła go. - Dzielną mam duszę. - Westchnęła. - Oto moja nagroda za to, że starałam się być tą gotującą połową.

- Nie dramatyzuj, Gail - odparł Jesse. - Kilka razy już zrobiłaş pulpety i spaghetti bez żadnych wypadków.

Milczała przez chwilę, a potem potulnie zapytała:

- Chyba dzisiaj wieczorem nie masz żadnej z tych swoich kawalerskich wypraw?

- Chodzi ci o to, czy wieczorem zostawiam cię samą z tą ręką? - spytał. - Nie, Gail, zostaję z tobą.

- Och, święty z ciebie człowiek - powiedziała Suzanne z nutą dojrzałości w głosie.

EPILOG

Drogi doktorze Blau,

Oczywiście, że pana pamiętam. Któż inny mógłby mi przysłać takie zwierzątko? Dokładnie takie samo jak to, które dostałam po pamiętnym płukaniu żołądka, tylko że dwadzieścia razy większe? Kiedy trzy lata temu, w szpitalu, dal mi pan malutkiego zwierzączka, początkowo myślałam, że jest to coś w rodzaju kciuka. Teraz jednak, kiedy je mam w tej ogromnej postaci, widzę, że to jest delfin. Jest wspaniały. Nigdy dotąd nikt nie dal mi gigantycznego różowego delfina. Skąd pan wiedział, że zawsze chciałam takiego mieć? Pewnie myśli pan, że jestem wyjątkowo nieuprzejma, bo nie odpowiedziałam na pański pierwszy list, ale właśnie przeprowadziłam się do nowego domu, mam mnóstwo prób do nowej sztuki, umarł mi dziadek, no i jestem nieuprzejma.

Naprawdę nie wiem, od czego mam zacząć odpowiedź na pańskie pytanie o to, „co robiłam przez te dwa i pół roku?” Zadowolę się stwierdzeniem, że ostatnim dniem, w którym brałam narkotyki był ten dzień, kiedy pana widziałam po raz ostatni. Nic osobistego. Ale nie chcę widzieć pana ani nikogo innego, stojącego przy mnie z wężem (no, chyba że stalibyśmy na podwórku przy grządce z kwiatami).

Czasami czuję, że moje życie się skończyło, a ja ciągle tutaj jestem. Innym razem jestem taka spokojna, że - przysięgam - słyszę, jak powietrze wolno przemieszcza się ponad ziemią. Ciągle jem bezwartościowe jedzenie, ćwiczę za mało, a w ostatnim tygodniu wypaliłam papierosa. Ale dochodzę do wniosku, że gdybym zrezygnowała ze wszystkiego, czym odgradziłam się od własnych uczuć, to stanęłabym w samym środku siebie i zaczęłabym wyc jak samotny, stary pies.

Niestety, jeśli chodzi o randkę, „nie jestem do dyspozycji”. Mieszkam z kimś i trwa to już ponad rok. Zdaje się, że to mi się podoba. Przyjmowanie właściwych rzeczy w niewłaściwy

sposób jest jednym z nałogów, którego najtrudniej przychodzi mi się pozbyć. Gdybym jednak była do dyspozycji, to z całą pewnością brałabym pana pod uwagę jako swojego ewentualnego towarzysza, gdyż nawet wtedy, gdy na pana zwymiotowałam, powiedział mi pan, że jestem „interesująca”. Jestem panu za to naprawdę wdzięczna.

Jakiś czas temu wydarzyło się coś, co nazywam swoim tryumfalnym powrotem do pogotowia ratunkowego w klinice Cedars Sinai, a mianowicie zjawiłam się tam z powodu oparzenia, ale pana nie widziałam.

Pana grupa psychodramy jest na pewno bardzo ciekawa, ale myślę, że na razie będę się trzymać tradycyjnej psychoterapii. Ciągle uważam, że nie czuję tak samo, jak widzę, że czują inni. Nie wiem, czy problem polega na właściwym postrzeganiu, czy na moim komforcie psychicznym. Bez względu na to, jak jest naprawdę, próbuję do pewnego stopnia walczyć, boksować się z własną naturą. I zdumiewa mnie, jaka ona jest. Czasami jednak przez cały dzień jeżdżę samochodem, słuchając głośnej muzyki, a dzień rozpościera się przede mną, cały do mojej dyspozycji. I jest we mnie wtedy coś potężnego, wspinałego, a uczucie to jest tak samo ogluszające jak ta muzyka. Czuję się tak, jakby tylko skóra przeszkadzała mi znaleźć się wszędzie jednocześnie. Jeśli to wszystko nie mówi panu dokładnie, co robię, to przynajmniej powinno panu wyjaśnić, jak się czuję, kiedy to robię, bez względu na to, co to jest.

Jeszcze raz dziękuję za delfina i za list. Myślę, że mój list zastanie pana w dobrym zdrowiu i ciągle po właściwej stronie tego węża. Muszę już kończyć, bo spóźnię się do terapeutki. W każdej chwili oczekuję przełomowego momentu w terapii.

Szczerze, Suzanne

PS Może przypomina pan sobie, czy tamtej nocy w pogotowiu zwymiotowałam coś, co było mi potrzebne? Jakaś malutką i trywialną rzecz, która należała do mojego wnętrza? Mam wrażenie, że czegoś mi brak.

Ale, z drugiej strony, zawsze przecież czułam w ten sposób.

RS